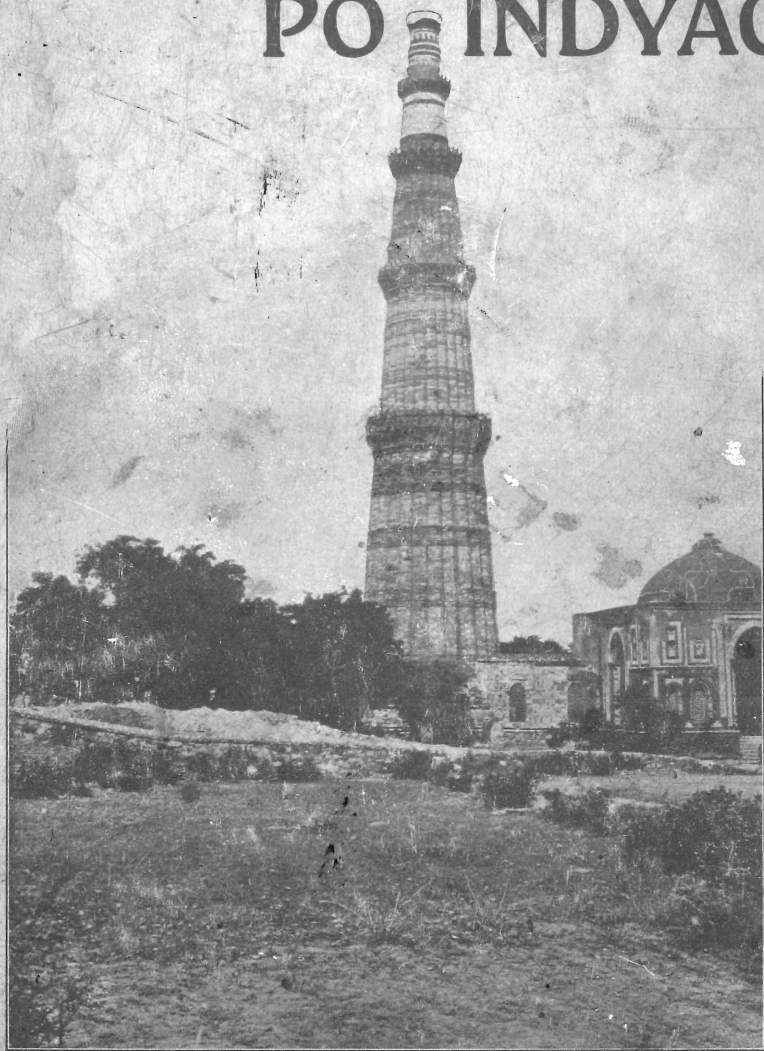


Z WĘDRÓWKI PO INDYACH



NAPISANE DR JAN HUPKA

Z WĘDRÓWKI PO INDYACH.

Dr JAN HUPKA

Z WĘDRÓWKI PO INDYACH

Endrick Nasiloni

KRAKÓW

CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«

1913.

71

NAKŁADEM WYDAWCY.

W moich zimowych wycieczkach na Południe, lubię odbywać długie morskie podróże, by użyć jak najwięcej na tem odcięciu od świata, na tej ciszy i spokoju, na tem ukojeniu nerwów, jakie przynosi dłuższa morska podróż.

Tu na statku, wśród wielkich przestrzeni wód w słońcu lśniących, czasem zielonych, błękitnych, a ku wieczorowi ciemno szafirowych i złotych, nie otrzymuje się żadnych listów z interesami, na któreby trzeba było odpisywać, tu nie psują humoru i nie budzą niesmaku żadne dzienniki, nie przestraszają i nie zmuszają do szybkiej decyzji żadne telegramy.

Wszystkie prace i usiłowania, dążenia i zawody życia, ludzka złość i małość — nie mają tu nad nami mocy żadnej. Stają się czemś dalekiem, prawie nierealnem — i tylko słońce i ciągle zmienna roztocz morska naokoło, tylko chłodzący, łagodny powiew i jednostajny szum fal, są jedyną rzeczą realną i naprawdę ukojenie tylko przynoszącą.

A przytem to odcięcie od świata nie jest znowu tak zupełnem, by nie było możności każdej chwili skomunikowania się ze światem i doniesienia najbliższym o sobie zapomocą telegrafu iskrowego. Nie ma więc niemiłej niepewności zupełnego odcięcia, a jest tylko ta niesłychanie cenna pewność, że na morzu nikt w niczem człowiekowi nie przeszkodzi, że się jest bezwarunkowym panem swych zajęć i swego czasu.

I to wszystko wśród przepysznego, dającego siły i zdrowie powietrza, wśród czarującej i ciągle zmiennej gry barw na morzu i niebie.

Te rozkosze morskiej podróży czuje się jednak dopiero w całej pełni na morzach tropikalnych wśród pędem statku spowodowanego, łagodzącego gorąco powiewu, wśród ciszy i gładkich niemal, lekko tylko pomarszczonych toni, wśród dziwnych złoto-różowych wschodów i zachodów i nocnych częstych fosforescencyj.

Tu staje się zupełnie obojętnem, kiedy znów stanie się nogą na lądzie. Raczej przeciwnie; chwilami chciałoby się nie widzieć lądu jak najdłużej, chciałoby się, by czarująca podróż bez uciążliwości, bez zgrzytów, bez trosk, bez obowiązkowej pracy i bez odpowiedzialności, przeciągała się długo, długo...

Tej zimy właśnie, w taką dłuższą morską ruszyliśmy podróż.

Po zwiedzeniu bliższego Południa, bliższych części Afryki i Azyi w poprzednich zimach, przyszła w tym roku kolej na dalszą, tropikalną już wycieczkę, do Indyj i Ceylonu.

Nie zapomnę naszego wyjazdu z domu do stacji kolejowej. Był słoneczny, mroźny dzień styczniowy. Po mglistem przedpołudniu wypogodziło się i zniżające się ku zachodowi słońce w złotawym blasku skąpało całą okolicę. Śniegu na ziemi i okiści śniegowej na drzewach niewiele, ale zato każda najdrobniejsza gałązka jak delikatny wyrób cukierniczy, jak srebrzyste koronki z białych puszystych nitek utkane.

Ustroiły się nam nasze lasy w najpiękniejszą szatę zimową; kłaniały się nam na pożegnanie drzewa białymi pióropuszcami okrytych szronem gałęzi i szpilek, obsypując brylantami lodowych igiełek.

Jeszcze raz potem na Semeringu mignęła zima w swej godowej szacie i zegnaliśmy niedługo potem białe czuby dalekich gór, wypływając na najnowszy, pyszny statek austr. Lloydu „Gablonz“ z tryesteńskiego portu.

Potem, jak w kalejdoskopie, zmieniały się obrazy. Zimna i wietrzna podróż przez Adryatyk. Słoneczny nadprogramowy postój w porcie Korfu. Widoki śnieżnych szczytów Ida na Krecie — i trochę kołysania na wielkich falach aż do Port Said.

W Port Said nocny postój i pełna wrzasku, ruchu, ognia, swędu i pyłu węglowego scena, jakby ilustracya do dantejskiego piekła: ładowanie na statek węgla przez arabsko-murzyńskich kulisów.

Długa, powolna bardzo, z początku interesująca, później jednak jednostajnością pustynnych widoków nużąca nieco jazda przez kanał Suezki; potem widoki na pasmo gór Sinai i cztery dni— z tych drugie dwa bardzo gorące — na morzu Czerwonym. Krótki postój w Adenie w obliczu nagich, czarnych, smutnych, spalonych słońcem skał i urwisk. Gwar i ścisk czarnych handlarzy, sprzedających strusie pióra, skóry lwów i panter, rogi antylop i t. p., i somaliskich kulisów, wyładowujących ze statku paki z cukrem.

Jeszcze pięć dni najmilszych z całej podróży— jazdy przez ocean Indyjski, wśród rozkosznych, chłodnych powiewów, gładkiej toni, całych stad ryb latających, rekinów, delfinów i fostorescencyi nocnej, miliardów świecących kulek igrających po fali.

Wreszcie po 17 dniach morskiej podróży rzucamy kotwicę w olbrzymim porcie Bombeju.

BOMBEJ.

Wylądowanie. — Hotel Tadž Mahal. — Bombej od morza. — Europejskie gmachy. — Black Town. — Miasto krajowców. — Czterdzieści języków. — Dżuma i cholera. — „Tiffin“. — Malabar Hill. — Wieże milczenia Parsów. — Latające trumny. — Parsowie. — Ich pochodzenie, religia i obecne stanowisko w Bombeju. — Świątynia Welkeszwar. — Wieczorne corso. — Indyjskie wrony. — Pinjrapol. — Przytułek dla zwierząt. — Sekta Dżajnów. — Park Wiktoryi. — Latające lisy. — Wycieczka na wyspę Elephanta. — Skalne świątynie Hindusów. — Ogólne wrażenie z Bombeju.

Wylądowanie w Bombeju nie jest wcale łatwe ani miłe. W olbrzymiej zatoce bombejskiej rzuca statek kotwicę, na 4 mile od brzegu. Trzeba więc ładować rzeczy i wsiadać do małej parowej łodzi i jechać nią długo w niebywałym ścisku od miejsca lądowania t. z. Apollo Bandar. Tu znów wśród ścisku i zgiełku załatwiać trzeba celne formalności, które, mimo że zwykły

bagaż turysty wolnym jest od rewizyi, trwają tak długo, że dopiero w dwie godziny po wylądowaniu znaleźliśmy się w zamówionych pokojach, w hotelu Tadź Mahal.

Hotel ten, dumnie nazwany „pierwszym hotelem Azji“, to gmach olbrzymi w gotycko-hindujskim stylu, prawdziwe cudo pod względem zwłaszcza wewnętrznego urządzenia, bardzo praktycznego w gorącym klimacie. Każdy pokój ma wielkie, nie zamykające się jednak nigdy, z obracaniem koło osi zielonemi szybami weneckie okna, a pod oknami zamiast ściany drewniane żaluzye do otwierania każdej chwili. Drzwi dziurkowane, łóżka pod namiotami z muślinu, nad każdym łóżkiem duży elektryczny wiatrak. Z umeblowania zwracają uwagę głębokie krzesła, z rozkładanemi poręczami, do siedzenia na sposób angielski z nogami wyżej głowy. Do pokoju sypialnego przylega łazienka.

Dostaliśmy pokoje na trzeciem piętrze, na którego korytarzach uderzył nas niemiłe zapach karbolu. Później dopiero po wyjeździe z Bombeju dowiedzieliśmy się, że w dzień przed naszym przyjazdem wybuchła na trzeciem piętrze hotelu cholera w bardzo ostrej formie.

Konieczne do podróży po Indjach sprawunki, zakupno hełmów korkowych, zawiniątek z pościelą i t. p. i zawarcie znajomości ze zgodzonymi dla nas na całą indyjską podróż służącymi

t. z. boyami, zabrało nie wiele czasu. Boye nasi są Mahometanami rodem z Kalkatty, czarni obaj, prawie jak murzyni. Imiona mają zbyt do siebie podobne — Abdul i Abul — co utrudnia wołanie jednego z nich, i najczęściej obaj równocześnie przybiegają. Mówią jednak obaj wcale dobrze po angielsku i jak na początek zwijają się dość żwawo.

Po załatwieniu tych różnych przedwstępnych interesów, wybieramy się powozami na pierwsze oględziny miasta.

Bombej, widziany od morza, wygląda wprost imponująco, jak czarodziejskie miasto pałaców wśród bujnej tropikalnej roślinności, z górami i skałami o dziwnie poszarpanych liniach na widnokręgu.

Może nigdzie na świecie nie zgromadzono na małej przestrzeni wybrzeża takiej ilości i tak wspaniałych budynków publicznych, jak w t. z. forcie Bombeju. Budynki te to dziwna mieszanka stylu hinduskiego z gotykiem angielskim i włoskim renesansem. Sekretaryat w weneckim stylu, gotycka biblioteka uniwersytecka i renesansowy gmach uniwersytetu ze wspaniałą wieżą, należą do najpiękniejszych. Pałac sprawiedliwości we wczesnym angielskim gotyku i gotycki gmach pocztowy, mógłby być najprzedniejszą ozdobą każdej z europejskich stolic.

Najokazalszym jednak budynkiem jest główny dworzec kolejowy, Victoria Railway Station, pod względem mieszaniwy stylów prawdziwe granitowe monstrum, ale robiący mimo to imponujące wrażenie. Anglicy w Bombeju chwala się, że nigdzie na świecie nie wybudowano jeszcze okazalszego dworca. Być może; okazalszego nie widziałem nigdzie, choć piękniejszych widziałem dużo. Również dziwactwem architektonicznym jest olbrzymi Tadźmahal Hotel, w którym mieszkamy, z jego lodziami, wieżyczkami i kopulastym dachem.

Te wszystkie wśród plantacyj leżące grupy pałacowych gmachów, graniczą z szeroką esplanadą, placem sportowym Bombeju, przez który idą szerokie aleje aż do Back Bay, na którego piaszczystem wybrzeżu nad morzem gromadzi się wieczorami całe eleganckie towarzystwo.

Od Apollo Bandar, miejsca lądowania parowców pasażerskich, ciągnie się przez cały Fort szeroka piękna ulica aż do Black Town, miasta krajowców, gdzie gubi się w labiryncie ciasnych i krętych uliczek, przepelnionych zawsze tłumami krajowców.

Bo ta piękna europejska część miasta, zwana Fortem, ten wspaniały front pałaców od morza, pałaców w gotyckim, wczesnym angielskim i indo-saraceńskim stylu, jest tylko parawanem, maską, za którą kryje się brudne, rojne jak mrowisko i mocno niepachnące miasto krajowców.

Ale jakie ciekawe to miasto czarne! Roi się poprostu od tłumów śniadych, brunatnych, czarnych i żółtych ludzi. Ulice są jak falujące morze fałdzistych szat o wszystkich barwach tęczy i różnokolorowych turbanów.

Zaraz po załatwieniu naszych interesów w forcie, wybraliśmy się do hinduskiego miasta. Wyjechaliśmy się powozem, który tylko krok za krokiem może się posuwać wśród rojących się tłumów, tak ruchliwych, barwnych, krzykliwych, rozmaitych barwą skóry, strojem, językiem, że zdawało nam się, że już chyba wszystkie drapichrusty całej Azji zgromadziły się tutaj, by dać z siebie widowisko. Kędzierzawi czarni murzyni, Chińczycy z warkoczami, Arabowie w zielonych zawojach, ludzie z Gutszeratu w szpiczastych czerwonych czapkach, Mahratówie z białoczerwono obwiązanymi płaskimi kapeluszymi, biało ubrani lub nieubrani Tamilowie i Bengalczycy, Parsowie w czarnych anglezach, z błyszczącymi, jakby z ceraty kaskami na głowach, ciemnoskórzy Afgańczycy o ostrych rysach twarzy i wysokich turbanach, żółci Malajowie, Eurazyjczycy i wreszcie Europejczycy. Co za mieszanina ras i języków! Czterdziestu językami mówią podobno w tem Nejtivtaun Bombeju.

Miasto to całe jest przytem jednym wielkim bazarem oryentalnym, gdzie sklep przy sklepie,

stragan przy straganie, kawiarnie, szulernie i najrozmaitszego rodzaju spelunki.

Razi jednak w tem mieście krajowców jedno, t. j. przeraźliwa chwilami woń przypalonego ludzkiego mięsa i tłuszczu, zalatująca od miejsc palenia zwłok, oraz woń gnijących śmieci i bydłęcego nawozu. Z tej jednak głównej, o rozmaitem miejscami natężeniu woni, wyłaniają się chwilami miłsze zapachy drzewa sandałowego, korzeni, safianu i kwiatów, zależnie od tego, obok jakich sklepów bazaru chwilowo przejeżdżamy.

Jakby jedną wielką, choć nie koniecznienie miłą kadzielnicą są te bazary Bombeju. Wobec niesłychanego wprost brudu i braku kanalizacji, nic dziwnego, że cholera i dżuma mają tu w tem mieście najgłówniejsze swe w Indyach siedlisko.

Nie miło tu dłużej zostawać. Pora południowego posiłku, który tu nazywają „tiffin“, już się zbliża.

Wracamy do hotelu, zatrzymując się jeszcze po drodze na targu owoców i jarzyn, Crawford Market, gdzie wśród dziwnych, nie widzianych dotąd nigdzie owoców, wśród całego morza cudnych wonnych kwiatów sprzedają także różne zwierzęta, ptaki egzotyczne, papugi i małpy.

Przed hotelem rozsiadły się teraz w cieniu drzew malownicze grupy krajowców, przekupniów i sztukmistrzów. Pierwsi chcą nam konie-

cznie wpakować swoje ciekawe towary, drudzy popisują się tańczącymi okularnikami, zgrabnemi zjadającemi węże mungo i przeróżnemi w zdumienie wprowadzającemi sztuczkami.

Prędko ułatwiamy się z tiffinem, który nas wcale nie zachwycał po wybornej i smacznej kuchni na statku. Najlepszem ze wszystkich licznych dań był ryż z przystawkami i ostrymi korzeniami t. zw. karyrajs, typowo hinduska potrawa. Wypróbowawszy tego ślicznego białego ryżu z najrozmaitszymi dodatkami, doszliśmy do przekonania, że jeżeli się zamiast ostrych i piekących korzeni doda suszonej ryby lub tartych orzechów kokosowych, to zjeść to ze smakiem można i posilić się należyście, gdyby nawet inne wszystkie potrawy — co w tym wypadku nie miało miejsca — były nie do przełknięcia.

Zaraz po posiłku siadamy z naszym przewodnikiem do czekających powozów i jedziemy do najzdrowszej dzielnicy Bombeju, na Malabarhill. Już w drodze przekonujemy się, jak uroczem jest położenie Bombeju, rozsiadłego na półwyspie z trzech stron morzem oblanym, z cudownymi widokami z każdego prawie miejsca nadbrzeżnej drogi na morze i dalekie zębate góry.

Najpiękniejszą w istocie co do położenia i wegetacyi miejscowością podmiejską, jest Malabarhill, z pałacami i gustownemi willami wśród egzo-

tycznych ogrodów i z czarującym widokiem na położony niżej Bombaj, na zygzakowate góry w głębi i niezmierzone roztocze morskie.

Wyjeżdżamy na pagórek, aż do bramy parku, gdzie wśród gęstwi palm kokosowych, wśród kwiatów o_zupajającej woni, wznosi się pięć — podobnych do małych cyrków kamiennych lub wielkich gazometrów — wież milczenia (Towers of silence) Parsów.

Kraje tych niskich, szerokich wież, korony palm i gałęzie mangowców, uginają się aż od ciężaru wielkich z gołemi szyjami sępów, które czekają cierpliwie na żer. W tych wieżach, otwartych ku niebu, składają Parsowie trupy swych zmarłych sępom na pożarcie. Obrzydliwe te, olbrzymie sępy, ochraniane i hodowane gorliwie, to latające trumny zmarłych parsyjskich.

Kto to są Parsowie, skąd ten dziwny zwyczaj pogrzebowy, tak niezwykły, tak niepodobny do zwyczajów pogrzebowych wszystkich innych ludów całego świata?

Parsowie, to właściwie Persowie, wyznawcy nauki Zoroastra. Gdy ich pierwotna ojczyzna Persya dostała się w VII stuleciu naszej ery pod panowanie półksiężycy, przesiedliła się grupa tych, co nie chcieli wyrzec się religii ojców i przyjąć islamu, do Indyj. Przynieśli ze sobą swój wiecznie płonący święty ogień, tu w Bombeju osiedlili się z czasem i stali się królami handlu.



AMBER. — STARY ZAMEK MAHARADZY.

Bombej głównie, a i niektóre miasta Gutszeratu są ekonomicznie w ich rękach. Jest ich wprawdzie w Bombeju tylko około 60.000 na milion przeszło ludności, ale prawie wszystkie większe przemysłowe i handlowe przedsiębiorstwa i cała niemal prasa jest w ich rękach; wywierają też największy wpływ na zarząd miasta.

Raptowny wzrost bogactw i znaczenia Parsów datuje się właściwie dopiero od chwili rządów angielskich, pod którymi, nie narażeni już na konfiskaty i łupieżę ze strony maharadzów i innych hinduskich władców, mogli bezpiecznie rozwinąć niezwykle handlowe uzdolnienia i przedsiębiorczość. Parsowie przyjęli język, kulturę i zwyczaje towarzyskie Anglików, używając swych bogactw hojnie bardzo na cele publiczne; fundując szkoły, szpitale, przyczynili się, choć bez zamiaru w tym kierunku, do ugruntowania angielskiego wpływu i kultury.

Mimo to, i mimo, że inteligentny z wykształceniem uniwersyteckim Pars niczem, z wyjątkiem oryginalnego nakrycia głowy, ani zewnętrznie, ani pod względem ogłady towarzyskiej od Anglika się nie różni, nie przypuszczają Anglicy Parsów do swego towarzystwa. Bojkotują ich towarzystwo na każdym kroku, i stąd zapewne niechętny wobec władców angielskich ton prasy, kierowanej przez Parsów.

Pod względem religijnym są Parsowie wyznawcami religii Zoroastra. Ze stanowczością odpierają posądzenie, jakoby byli czcicielami słońca lub ognia. Wprawdzie okazują dla słońca i ognia cześć nabożną, ale tylko jako dla widzialnych symbolów niewidzialnej najwyższej potęgi.

Ahuramazda czyli Ormuzd, stwórca jedyny utrzymujący życie stworzenia, jedyne źródło wszelkiego światła i dobra, jest nieskończonym i wiecznym w czasie i przestrzeni. Pod nim jednak na padole ziemskim rządzi szatan, Ariman wcielenie wszystkiego złego, wszelkiej nędzy i ciemności.

W ciągłej walce dobrego ze złem, światła z ciemnością tj. Ormuzda z Arimanem, jest obowiązkiem każdego wiernego, przez miłosierdzie, prawdę, trzymanie się dróg światła, czystość myśli, uczuć i uczynków, pomagać Ormuzdowi do zwycięstwa nad Arimanem.

Symbolem Ormuzda, jako najwyższego światła i ciepła, świętości i blasku, jest słońce i ogień. Dla tego Parsowie modlą się do słońca i ognia, tak jak my do obrazów świętych, które są dla nas także tylko wyobrażeniem i symbolem.

Parsowie przynieśli ze sobą z Persyi przed 1300 laty swój święty ogień, i mimo ciężkich przejść, jakim w ciągu wieków ulegali, ten sam ogień płonie w ich świątyni na Malabarhill.

Co do człowieka, Parsowie wierzą, że składa się z duszy i ciała. Dusza jest częścią Ormuzda, częścią dobra, światła i wieczności; po rozłączeniu się z ciałem wraca do swego jasnego źródła, do Ormuzda. Ciało natomiast jest zwierzęcem, jest częścią Arimana, częścią ogólnego zła i ciemności. Z chwilą gdy dobra i jasna część człowieka, dusza opuszcza ciało, by wrócić do Ormuzda, zostaje tylko rzecz nieczysta, niezaprzeczona własność Arimana, ciało. To też każde nawet dotknięcie martwego ciała zanieczyszcza.

Nie można więc ciała palić, boby się zanieczyściło symbol najwyższej istoty — ogień. Nie można go grzebać, boby się zanieczyściło ziemię, którą symbol Ormuzda, słońce ogrzewa, oświeca i uświęca.

Dla tego dają Parsowie swych zmarłych, natychmiast po śmierci, sępom na pożarcie.

Rozważywszy trochę ten dziwny zwyczaj, nie widzę w nim nic strasznego ani barbarzyńskiego. Gdy sobie człowiek tylko pomyśli, co się z jego ciałem w grobie dzieć będzie, to dojdzie do przekonania, że lepsze sępy, niż robaki, bo prędzej o wiele z ciałem się uporają, w przeciągu kwadransa biały tylko zostawiając szkielet.

Nasz przewodnik objaśnia i pokazuje na małym modelu urządzenie wewnętrzne wież milczenia. Objasnia, jak tam na górze wyznaczone są miejsca dla zwłok. Przy samym kraju dla męż-

czyzn, dalej dla kobiet, a najmniejszy wewnętrzny pierścień zostawiony jest dla dzieci.

Naraz przerywa swój wykład i wybiega ku schodom, prowadzącym z dołu do parku, wzywając nas za sobą i wymownymi ruchami rąk nakazując, byśmy się ukryli w zaroślach.

Oto z dołu nadchodzi właśnie i zbliża się do smutnych wież — pogrzeb parsyjski.

Na kamienne schody wstępuje uroczyście ci chy, biały pochód. Czterej biało ubrani ludzie niosą na białych noszach w białą materię zawinięte zwłoki. Za nimi grupa biało ubranych kapłanów w białych mitrach na głowach. Jeden z nich prowadzi na smyczy pięknego psa.

Zamyka pochód liczna gromada krewnych i przyjaciół zmarłego. Również biało wszyscy ubrani, tylko na głowach zwykle czarne, błyszczące kaski parsyjskie.

Pochód ustawia się w milczeniu przy wejściu do wieży. Naraz słychać w powietrzu silny łopot skrzydeł. Niespokojne cienie przesuwają się po oświetlonej słońcem ścieżce.

Sępy oddalają się dyskretnie z krawędzi wieży, obsiadając najbliższe korony drzew.

Czterej niosący zwłoki grabarze nikną we wnętrzu kamiennego budynku. Inni zostają w milczeniu.

Po kilku minutach grabarze wracają. I znów łopot skrzydeł wielkich ptaków. Cienie na ziemi

łączą się koncentrycznie i nikną. Cała chmura sępów rzuca się na jeden punkt na wieży, i choć nie widać i nie słyhać nic, ale wyobrażenia pracuje i zda się, że się wszystko i widzi i słyszy.

Walkę ptaków o każdą cząstkę rozdzieranego tam wysoko ciała.

W ponurym nastroju opuszczamy prześliczny, tropikalny ogród śmierci.

Schodzimy na dół, do naszych powozów. Co za przeskok gwałtowny! Zaledwie kilkaset metrów od miejsca, gdzie sępy kończą swą ucztę, wre życie w całej pełni. Życie wesołe, gwarne i błyszczące.

Na nadbrzeżnej malabarskiej drodze zaczyna się już zwykle wieczorne corso. Powozy, automobile, wykwintni jeźdźcy na arabskich koniach obok pięknych amazonek.

* * *

Zanim jednak wmieszamy się w szereg pojazdów, zbaczamy jeszcze w jedną z bocznych uliczek poza wspaniałą willę gubernatora Bombeju, by zobaczyć świątynię Hindusów t. zw. „Wal-keszwar“.

Stajemy wnet nad czworobocznym wodnym basenem, otoczonym dziwnymi budowlami na pół zrujnowanych świątyni

Do wody basenu wiodą ze wszystkich stron kamienne schody, na których pełno schodzących do wody i odbywających swe ablucye Hindusów. Widzimy tu po raz pierwszy nagich, oblepionych popiołem hinduskich pokutników, modlących się, żebrzących, lub pogrążonych w zadumie.

Każdy z nich, od dziesiątek lat, jak się zdaje, nie strzyżony i nie czesany, ma długie, na ramiona spadające, w strączki pozlepiane, skudłaczony włosy — i święte znaki Siwy lub Wisznu, malowane na czole. Te znaki mają tu zresztą i wszyscy inni koło basenu świątyni snujący się ludzie.

A nad basenem dziwne, rzeźbami zdobione świątynie; przed każdą kamienią byk Sziwy i dużo żywych, świętych krów.

Wracamy ze świątyni o zachodzie słońca, zatłoczoną teraz tłumem konnych, pieszych i wszelkiego rodzaju pojazdów nadbrzeżną drogą. Ogromny barwny korowód wije się wśród złotej kuzawy na tle bogatych fasad parsyjskich pałaców i cudnej tropikalnej roślinności.

Każdy powóz wiezie obok państwa dużo ja-skrawej, uturbanionej, ale bosej służby. Służący w zawoju obok furmana na koźle. Z tyłu za każdym powozem dwóch służących jedzie stojąco. Kilku biegnie przodem, krzyząc, by robić miejsce.

Koło przylądka, dokąd ta śliczna droga dochodzi, są liczne skały, na których wygodnie można siedzieć i przechodzące tłumy oraz przejeżdżające zaprzęgi podziwiać. Skały te są miejscem obserwacji oraz wystawą strojów i urody tutejszych piękności parsyjskich, błyszczących jak kwiaty w lekkich, barwnych jedwabnych szatach.

Słońce zachodzi, złocąc połowę nieba, przemieniając roztoz morską na nieskończoność roztopionego złota i zapalając czerwonym ogniem małe na wschodzie chmurki. Od morza wstaje chłodny, rzeźwy powiew; prawdziwa rozkosz po gorącym parnym dniu. Niezliczone stada wron zabierają się do odlotu ku większym grupom palm, napełniając powietrze rozdzierającym uszy, pożegnalnym wrzaskiem. Chmury ich takie, że aż przysłaniają płonące niebo.

Z poezyi tego widoku, wśród zapadającej szybko nocy, wracamy do hotelu, gdzie czeka nas proza przebierania się do wieczornego obiadu, gdzie mężczyźni we frakach i białych krawatach, lub przynajmniej w smokingach, a panie w balowych dekolowanych sukniach.

Wśród rześzystych światła, powodzi kwiatów i egzotycznych owoców zasiadają balowo przybrani goście. Setki bosej krajowej biało ubranej służby rzuca się ku stołom, elektryczne wachlarze zostają w ruch puszczane, powodując wcale

nie lekki wiatr, potrawa mknie za potrawą, nikną baterie flaszek mrożonego „pegu“ i szampana i trwa to tak długo, dopóki sztywne kołnierzyki panów, mimo sztucznego przewiewu, nie przemieniają się na mokre kompresy.

Kto jeszcze tego nie dopiął, może tańczyć po obiedzie aż do późnej nocy. W sąsiednich salach odzywają się już tony walca i sale jadalne zwolna się opróżniają. Jedni idą tańczyć, inni leniwym krokiem na przechadzkę wśród parnej nocy.

Należymy do tych drugich. Ale nie długo trwa przechadzka. Jest ciągle jeszcze bardzo męczące parne gorąco. Zasiadamy więc na terasie hotelowej i przy dźwiękach dolatującej z pobliskiego klubu muzyki, rokoszujemy się słabym niestety powiewem od morza i widokiem na olbrzymi port wśród księżycowej nocy.

Wielkie parowce w zatoce stoją na kotwicach, porozprasane na szerokiej przestrzeni cichych wód, a oświecone okienka ich kajut wyglądają jak świecące oczy kocie.

Na drugi dzień rano, zbyt wcześnie, bo o świcie, zbudziły nas wrzaskliwe krakania wron.

Trudno się tu przyzwyczaić do tej wroniej plagi. Wrony te nieco smuklejsze niż nasze, sto razy wrzaskliwsze i jest ich z pewnością tysiąc razy więcej, niż u nas. Dobrze się im tu dziać musi, bo mają co jeść w porcie i wśród brudu

miasta krajowców. Spełniają tu rolę i policyi sanitarnej i zakładu czyszczenia miasta; stąd są wesołe i swiergotliwe, bardzo siebie pewne i nad wszelką miarę poufałe i zuchwałe.

Wśród tego wroniego wrzasku przeleżeliśmy jeszcze, drzemiąc, czas dłuższy, dopóki nasz brunatny służący Abdul nie przyniósł do pokoju pierwszego śniadania t. zw. „czotta hazri“, składającego się z herbaty, sucharków, dżemów i owoców.

Po kąpieli i ubraniu się było naszym hotelowym obowiązkiem spożyć jeszcze w jadalni t. zw. „burra hazri“, śniadanie drugie, składające się z ryb i kilku potraw mięsnych, dżemów i owoców, t. j. papaji, gojów, bananów i zielonych barwą mandarynek.

Nabrawszy w ten sposób sił, siadamy znów do powozu i rozpoczęła się powolna jazda przez gwarne, barwne i niepachnące miasto krajowców, do t. zw. „Pinjrapol“, ogromnego przytułku dla starych, zniedołężniałych lub chorych zwierząt.

Przejeżdżając przez tłumne bazyry, zwróciliśmy teraz uwagę przedewszystkiem na kobiety. Pięknych co prawda widzieliśmy nie wiele, ale zgrabne i smukłe prawie wszystkie. Noszą na bosych nogach i obnażonych ramionach całą moc metalowych błyszczących i brzęczących pierścieni. Ogromne obręcze w uszach i gwiazdki srebrne w lewym skrzydełku nosowem. Między dol-

nem ubraniem t. j. kawałkiem owiniętej koło bioder materyi, a górnem, t. j. krótkim przykrywającym tylko piersi staniczkiem, wygląda u każdej szeroki pas brunatnego nagiego ciała. To Hinduski rozmaitych plemion. Widzimy jednak także kilka zakwefionych, prawdopodobnie Mahometanek.

Spotykamy również dwa dziecinne pochody weselne wśród wielkiej okazałości niesionych kandelabrow, bicia w gongi, trąbienia na klarynetach. — Pan młody wyglądał na lat 15, panna młoda najwyżej na lat 10. Nawet nietykalne zresztą święte krowy musiały ustępować z drogi przed tymi pochodami.

Zajeżdżamy wreszcie pod zwierzęcy przytułek Pinjrapol.

Już z daleka zalatuje niemiły zapach stajni, chlewa i padliny. W ogromnym tym przytułku bydłecym, zajmującym wielką przestrzeń, trzyma się i karmi tysiące starych, chorych, niedołącznych wszelkiego rodzaju krów, koni, wielbłądów, osłów, owiec, kóz, psów, kotów, małą i przeróżnego ptactwa i drobniejszych zwierzątek, nawet owadów.

Obraz odrażający, nie tylko zapachem. Widzi się bowiem przeraźliwie wychudłe, słaniające się na nogach bydła, inne ze spuchniętymi brzuchami, lub ranami i wrzodami okryte, oczekujące wśród żalosego ryku końca cierpień.

Ryki, wycie, szczekanie, miauczenie i żalosne „hu—hu“ chorych małą, słowem utrapienie dla uszów, oczów, powonienia i dla nerwów nie do wytrzymania. Między choremi i zdychającymi widzi się jednak i zdrowo wyglądające, ruchliwe zwierzęta, którym jednak otoczenie cierpiących współtowarzyszów widocznie humor psuje.

Bo twórcy i rządcy tego oryginalnego przytułku, Dżajnowie, uważają za nie małą wobec swych wierzeń religijnych zasługę, uratować od śmierci zdrowe, przeznaczone na rzeź bydło. Nie jeden wykupuje zdrowe sztuki od rzeźnika, by je tu umieścić, gdzie wśród obfitej karmy mogą w beczynności dożyć końca swych dni.

Co za dziwna sekta, ci Dżajnowie, mający taką cześć dla wszelkiego żyjącego tworu!

Zwierzęta szanują co prawda i Hindusi, bo wierząc w wędrówkę dusz, metempsychozę, przypuszczają zawsze, że w tem lub w owem bydłociu siedzieć może pokutująca dusza zmarłego przodka.

Ale Dżajnowie, to nie Hindusi. Sekta ta powstała na paręset lat przed Chrystusem a na kilkadziesiąt lat przed zjawieniem się Buddy w owych czasach gorączkowego szukania za nową religią, gdy na Zachodzie i Wschodzie wiara w starych bogów kuleć zaczynała.

Dżajnowie doszli z początkiem ery chrześcijańskiej do pewnej potęgi w Indjach i rozszerzyli

się dość gęsto po całym olbrzymim kraju. Największą ilość wyznawców liczy ta religia w prowincyi Bombej i w graniczącej z nią od północy prowincyi Gutszerat, która się stała świętym krajem Dżajnow. Jest ich także sporo w miastach Radżputany oraz środkowego biegu Gangesu.

Dżajnowie zaprzeczają boskiego początku świętym księgom Hindusów, Wedom. Oddają cześć boską nie tylko twórcy swej wiary, którego zowią Mahawira, ale też innym wielu ludziom, którzy przez zaparcie się siebie, wyzbycie się wszelkich pożądlivości, dążeń, pragnień stali się świętymi. Służbę bożą zostawiają Dżajnowie braminom i prawdopodobnie dla tego bramini nie zgnębili tej sekty tak, jak po 1000 letniem istnieniu zgnębili i wyparli z Indyj buddyzm.

Sekta Dżajnow jest jakąś dziwną kombinacją hinduizmu i buddyzmu. Od hinduizmu przyjęła cały jego Olimp, wszystkich demonów i wszystkie przesady. Dodała jeszcze swoje liczne wcielenia bóstwa, swoich świętych. Od buddyzmu zaś przyjęła zakaz pozbawiania życia jakiegokolwiek zwierzęcia i doprowadziła ten zakaz do absurdalnych wprost granic.

Gdy Dżajn złapie dokuczliwą pchłę, to pogłusze ją tylko i niesie na bezpieczne miejsce. Dżajnowie noszą zawsze kawałek gęstego muszli-
nu, aby cedzić wodę przed piciem, by jakiego żyjącego owada nie połknąć. Idąc, zatykają tym

muszlinem usta, by jakiego komara nie wciągnąć z oddechem. Noszą też zmiotkę z piór, by ścierać miejsce każde — nim usiądą, by jakiego żyjątko nie rozgnieść.

Całe ich szczęście, że nie znają mikroskopów, bo nie zaznaliby już ani chwili duchowego spokoju.

Dżajnowie dzielą się na dwie sekty: na chodzących nago, i noszących białe szaty. „Sky clad ones“ i „White robed ones“, jak to określają Anglicy. Pierwszych jednak, dżajnowskich ascetów, widuje się mało. Troska Dżajnow, by chodząc nie rozgnieść jakiego żyjątko, zmusza ich do obierania siedzących zajęć i zawodów. Nie ma też między Dżajnami ani żołnierzy, ani rolników, ani robotników. Wszyscy niemal utrzymują się z handlu. Są kupcami i bankierami; wielu z pomiędzy nich dochodzi do wielkich majątków, do olbrzymich wprost bogactw.

W Bombeju nie łatwo im konkurować ze sprytnymi Parsami, ale w Delhi, Dżajpur, Ahmedabad, Aczmer i w każdym prawie z miast Radżputany oni są królami handlu.

Mając w rękach olbrzymie środki pieniężne, odznaczyli się Dżajnowie w ciągu 2.000 lat wielką hojnością datków na budowę okazałych i kosztownych świątyń i przytułków dla zwierząt.

W budowie świątyń wytworzyli własny przedudny styl. Ich świątynie są najpiękniejszymi niemal pomnikami budownictwa w Indyach.

W stolicy Gutszeratu, Ahmedabadzie, wybudował bogaty Dżajn, Ilathi Sing, prześliczną marmurową świątynię, kosztem podobno 10 milionów rupij. Budowę tej świątyni skończono dopiero przed kilkudziesięciu laty.

W dawniejszych wiekach wybierali zawsze Dżajnowie na budowę swych świątyń odległe, samotne, ale pod względem pejzażu najromantyczniejsze miejsca. Najpiękniejsze z ich starych świątyń z XI wieku znajdują się na szczycie góry Abu w pasmie gór Arawali.

* * *

Zwiedziwszy szybko wstrętny i nie pachnący przytułek chorych bydła, chcemy jeszcze przed tiffinem zwiedzić choć pobieżnie najbliższe zamiejskie ogrody, okalające od północy, jakby zielonym wieńcem miasto krajowców.

Dojeżdżamy do najbliższego parku Wiktorii. Zwiedzamy znajdujące się tu muzeum etnograficzne i niezbyt bogaty zoologiczny ogród. Nie mogliśmy sobie odmówić choć zbyt krótkiej niestety przechadzki wśród wspaniałych palmowych szpalerów i cudnego wonnego kwiecia, wśród którego aż roiło się w powietrzu od ogromnych, prześlicznie barwionych motyli.

Po raz pierwszy widzimy wiszące na drzewach, jak wielkie wędzone szynki, olbrzymie tubylcze

nietoperze, Flying fox, latające lisy, jak je nazywają Anglicy. Kilka z nich zmuszamy do lotu rzucając kamiemi. Jak orły olbrzymie krążyły nad naszymi głowami.

Po tiffinie idziemy do portu i siadamy do Cookowskiej łodzi motorowej, która nas ma zawieść przez wielki port Bombeju do oddalonej o 7 mil morskich wyspy Elephanta, gdzie są stare hinduskie podziemne w skale kute świątynie.

W czasie jazdy możemy dopiero ocenić jak doskonałym i olbrzymim jest naturalny port, któremu Bombej zawdzięcza wielkość i bogactwo. Zasłonięty wybornie od wiatrów i fal, 16 mil angielskich szerokości, jest jednym z najlepszych naturalnych portów na świecie, i chyba nie gorszy i nie mniejszy od najlepszego austriackiego naturalnego portu, dalmatyńskiej zatoki Cattaro.

W miarę jak oddalamy się od wybrzeża, rozszerza się w naszych oczach widok na masę olbrzymich i wspaniałych budynków fortu Bombeju.

Obraz stapia się wśród mgieł i dymów wielkomijskich. Tylko kupała dworca Wiktoryi, wieża uniwersytetu i nasz kopulasty hotel Tadźmahal daje się jeszcze odróżnić od otoczenia.

Zbliżamy się coraz bardziej do górzystej, jak wielki zielony bukiet wyglądającej wyspy.

W półtorej godziny stajemy przy długiej kładce do lądowania, od której idą w górę, do naj-

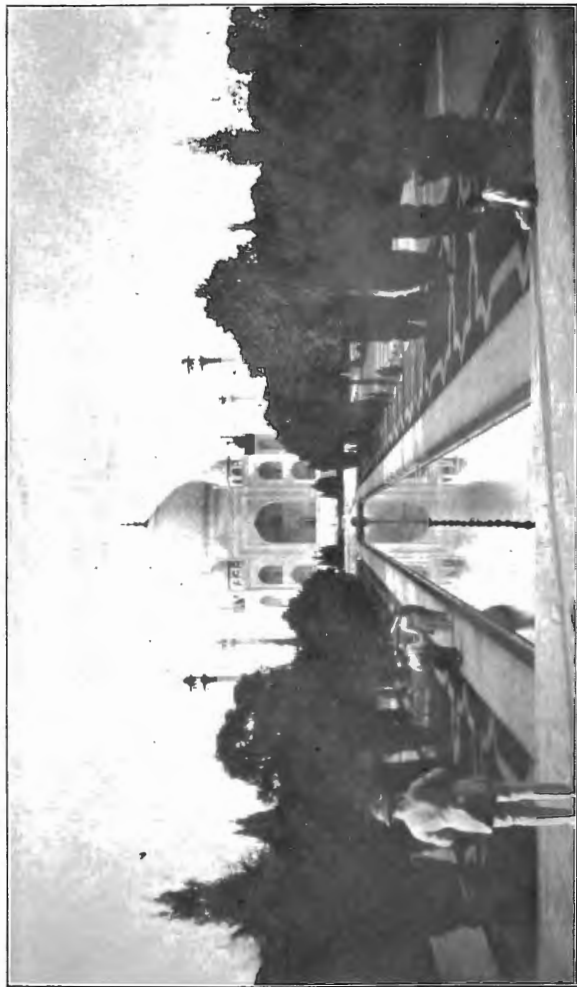
większej: skalnej świątyni stare kamienne schody. Przy lądowaniu napastują nas nagie dzieci, ofiarując na sprzedaż wypchane jaszczurki, piękne motyle i owady.

Zwiedzamy główną sztuczną grootę. Pochodzi ta pracowicie w skale żłobiona świątynia z VIII wieku naszej ery. Niestety zniszczona bardzo, podobno przez Portugalczyków, którym fanatyzm kazał niszczyć pogańskie świętości.

Zaledwie kilkadziesiąt granitowych z dziwnymi rzeźbami kolumn zachowało się w całości. Uszkodzone są mocno kolosalne, 10 metrów wysokości kamienne postacie bogów, poobijana olbrzymia kamienna trójca „trimutri“, t. j. Brama, Wisznu, Sziva w jednej osobie. Uszkodzone też mocno inne liczne rzeźby, przedstawiające męskich i żeńskich bogów i demonów, liczne skrzydlate postacie i bożki z głowami słoniów, cały kamienny Olimp hinduizmu, wśród którego nie prędko będziemy się mogli zorientować.

Z dalszych świątyń skalnych wyspy część zawalona, część zaś stoi pod wodą.

Wogole, o ile śliczną, choć nieco gorącą była półtoragodzinna jazda parowczykiem przez przepelniony okrętami i łodziami olbrzymi port, wśród licznych wysepek i wspaniałych rozległych widoków, to przeciwnie nie zachwycił nas wcale sam cel wycieczki, owe piwniczne skalne świątynie.



AGRA — TADŽ MAHAL.

Podobno jednak nie należą te skalne świątynie na wyspie Elephanta do najładniejszych w swym rodzaju. Są tylko najbliższe, najwygodniej położone i w przeciągu połowy dnia można je wygodnie zwiedzić. W dalszej okolicy Bombeju i na całym górzystym i skalnym zachodnim wybrzeżu Indyj, ma być piękniejszych o wiele podziemnych świątyń całe tysiące. Podobno kolonie skalnych świątyń w miejscowościach Karli, Kanchari, Montpenzir, Iogeshwar, Adszanta a zwłaszcza Ellora, mają być pod względem ekskawacyi i rzeźby niezwykłej piękności i ogromu zabytkami.

Niestety leżą te wszystkie miejscowości na uboczu, zdala od kolei. Ry dostać się Ellory np. trzeba 12 godzin jechać koleją i 8 mil końmi tam i tak samo z powrotem. Wymaga to więc trzech dni czasu, trzeba brać pożywienie z sobą, słowem narazić się na taką stratę czasu i niewygody, że mając czas na Indyę ograniczony musimy się już zadowolnić rzuceniem oka na najmniej okazałe świątynie skalne na Elephancie.

Przeżyłym był powrót z Elephanty. Mijamy tysiące wracających z połowu łodzi rybackich, z krótkimi masztami, a długim rejem, na którym rozpięty kwadratowy żagiel. Wysoki tył każdej łodzi malowany jaskrawymi farbami w różne linie i wzory. Łagodny wieczorny wietrzyk rozpina żagle licznych łodzi i przynosi z utęsknieniem wy-czekiwaną ochłodę.

W cudownym blasku jaśnieje wszystko na okół. Po jednej stronie długa, zielona linia wybrzeża z iluminowanymi zachodzącym słońcem oknami pysznych pałaców, po drugiej złota roztoz morska. A z boku na horyzoncie linie gór Gat ze szczytami, jak zamki i wieże fantastyczne.

Nad temi górami białe złoto obrzeżone chmurki. Woda zatoki świeci żółto i czerwono, złoci maszty i żagle w porcie spoczywających lub też krążących łodzi rybackich.

Słońce zachodzi, tonąc w morzu. Blaski czerwone i pomarańczowe gasną i w 10 minutach robi się noc, piękniejsza jeszcze może od wieczoru, bo jasna jak dzień niemal od blasku pełni księżyca. Długie, głębokie cienie zupełnie nie przeszkadzają oku widzieć wszystkie, nawet drobne szczegóły krajobrazu.

Trzeci dzień pobytu w Bombeju przeznaczony na wędrowki po sklepach, na jeszcze jedną wycieczkę do miasta krajowców, by się przypatrzeć smutnym obrzędom palenia zwłok, na zwiedzanie ogrodów. Pod wieczór automobilowa przejażdżka na Malabar Hill, potem wśród ścisku powozów, automobilów i jeźdźców jeszcze tam i z powrotem po nadbrzeżnem corso, gdzie widać się śliczne arabskie konie i ogromny oryentalny przepych powozów i strojów służby.

Wieczorem opuszczamy Bombej, dążąc na północ do Dżajpuru.

Po obiedzie, który już spożywamy w podróżnym stroju, wypoczynek na terasie nad morzem w blasku księżyca. Czarodziejska, bajeczna noc tropikalna.

Wreszcie uroczysty wymarsz z hotelu wśród nieprzerwanego szpaleru czekającej na napiwki służby. Szczęściem, że bosa, uturbaniona służba wymagająca co do wysokości napiwków nie jest. Kilkoma annami (anna = 10 halerzy) każdego się zadowolni. Ale ilość tej służby jest wprost przerażająca. Wprawdzie nie jest znowu tak, jak żartownisie angielscy opowiadają, że krajowiec, należący do kasty dziedzicznych czyścicieli lewego buta, nie oczyści już za nic w świecie prawego, niemniej jednak podział na kasty i dziedziczność zajęć powoduje, że Europejczyk tu zamieszkały, jeżeli jest kawalerem, potrzebuje niezbędnie najmniej ośmiu ludzi służby, a jeżeli żonaty i dietny, to już najmniej 20 płci obojga.

Później, nabrawszy doświadczenia, radziliśmy sobie w hotelach indyjskich z tym nadmiarem wyciągającej ręce po napiwki służby w ten sposób, że pytaliśmy każdego nieznanego, gdzie i w jaki sposób usługiwał. Bo przynoszenie śniadania i czyszczenie ubrań i wszystkie drobne usługi załatwiali nasi własni boye. Więc poza nimi, tylko obsługa w sali jadalnej, oraz najwięcej na napiwek zasługujący swiper (robiący

porządek w łazience i zastępujący W. C.) wchodzili w rachubę jako uprawnieni do napiwków.

Jakie wrażenie wynosimy z Bombeju, z tego indyjskiego przedsiönka Europy?

W rozmaitości wielkiej leży główny urok tego ogromnego miasta. Rozmaitości krajobrazu, ulic, zaułków miasta oraz jego ludności. Trzebaby mieć setki oczów, by te barwne, kalejdoskopiczne obrazy móc objąć.

Obok bajecznego przepychem barw i zachwycającego oczy, ale rażącego powonienie Oryentu — równocześnie bezbarwna, sztywna, handlowo-przemysłowa, rządząca Anglia.

Częścią azyatyckim, częścią kosmopolitycznym jest Bombej, mieszanina wszystkich ras i wszystkich religij świata.

I w tem główny jego urok i ciekawość.

RADŻPUTANA.

Jak się podróżuje kolejami indyjskimi? — Urządzenia przedziałów. — Prowincya Gutszerat. — Radżputana. — Kraj synów królewskich. — Słoneczne, księżycowe i ogniowe rody. — Katedra heraldyki. — 470 przodków. — Na własnym okręcie podczas potopu. — Przez Radżputanę. — Aczmir. — Dżajpur. — Hinduski hotel. — Fantastyczne miasto. — Orientalne pochody. — Kolorowane słonie i oswojone pantery. — Różowe pałace. — Dżaj Sing. — Amerykański prototyp. — Kontrasty. — Pałac maharadży. — Ogrody. — Krokodyl jezioro. — Tygrysy. — Stajnia. — Hinduskie muzeum. — Amber. — Jazda na słoniu. — Umarłe miasto.

Wyjazdy i przyjazdy nie należą w Indjach do przyjemności. Niczem był ścisk i krzyk przy lądowaniu w Bombeju, wobec tych wrzeszczących tłumów krajowców, tego tłoku i zamieszania, jakie zastaliśmy na bombejskim dworcu kolejowym Colaba.

W momencie straciliśmy z oczu naszych ciemnoskórych służących, nie wiedzieliśmy, gdzie

są rzeczy nasze. Nasz doskonały przewodnik z trudnością zdołał nas uspokoić i wytłómaczyć, że w Indyach wszędzie tak bywa i że wszystko będzie w porządku.

Odetchnęliśmy jednak dopiero wtedy, gdy narreszcie znaleźliśmy się w zamówionym zawczasu i opatrzonym adnotacją z naszymi nazwiskami obszernym przedziale, gdzie właśnie nasz boy słał łóżka.

Zakupione w Bombeju zawiniątko z pościelą okazało się bardzo praktyczne. Worek z impregnowanego płótna zawierał materace bawełniane tz. rezaj, ściśle zastosowane do wielkości sofy w przedziale kolejowym. Były i poduszki i prześcieradła i wszystko, co potrzeba.

Sam przedział, w którym nas wraz z rzeczami umieszczono, wprost nas zachwycił. Duży, jak nasz przedział salonowy, z ogromnemi szerokiemi sofami, ustawionemi wysoko pod oknami przedziału nie na poprzek, lecz w kierunku jazdy; pod temi sofami dość miejsca na dziesięć nawet kufrów. Nad sofami czworakie okna: ze zwykłą szybą szklaną, z szybą ciemną, z siatką drucianą i wreszcie drewniane żaluzye; w miarę potrzeby można takie lub inne okno zastosować. Oświetlenie wyborne; dwa elektryczne wirujące wiatraki nad sofami.

Z jednej strony obszernego, znacznie większego niż kabina okrętowa przedziału wiodą

drzwi do łazienki z wanną, z ciepłą i zimną wodą. Łazienka ta z toaletą, z szeregiem wieszadeł i stołeczków, jest zarazem obszerną i wygodną ubieralnią. Z drugiej strony drzwiczki do maleńkiego przedziału dla naszych służących, których w ten sposób każdej chwili zawołać i ciągle mieć można pod ręką.

Z małym spóźnieniem ruszył pociąg wśród przeraźliwego wrzasku. Spaliśmy nieźle i obudziliśmy się już w blasku słonecznym, wśród wesołego pejzażu prowincyi Gutszerat.

Żywnym bardzo, pięknym i bogatym jest kraj, przez który przejeżdżamy. Gęste plantacye bawełny, maku, ricinusu, ryżu i naszego jęczmienia. Dużo bardzo drzew, gęste wioski i osady, a każda wioska ma swój święty stawek i nad nim świątynię. Częste mniejsze lub większe potoki i rzeki zraszają łąki i pola.

Wzdłuż linii kolejowej skaczące po drzewach wielkie żółte ogoniaste małpy. Chwilami widzimy całe ich stada. Papugi, przeważnie zielone, kołyszą się na drutach telegraficznych. Wspaniałe pawie i sępy, żurawie i marabuty spacerują poważnie, a w oddali przesunęły się parę razy całe stada przeróżnych antylop.

Jedziemy jak przez jeden olbrzymi zwierzyniec.

O 9 rano stajemy w stolicy Gutszeratu, Ahmedabad, gdzie trzeba się przesiąść — po wcale dobrem śniadaniu na stacyi — do innego pocią-

gu, gdyż dalej jedzie się już wązkotorową koleją. Wszystkie bowiem koleje w Indyach są własnością prywatnych spółek i — rzecz dziwna — każda prawie kolej budowana o innej szerokości toru. Od szerokości rosyjskich kolei, aż do 60 cm. w dół, są w tym olbrzymim kraju wszystkie niemal typy szerokości. Przy niesłychanej taniości robotnika, koszta przeładowywania nie grają zbyt wielkiej roli.

Odpowiednio do mniejszej szerokości toru, jedziemy dalej w przedziale tak samo urządzonej tylko znacznie węższym.

Jadąc teraz dniem, przekonujemy się, że przedziały kolejowe w Indyach, doskonałe do nocnej jazdy i do spania, są natomiast bardzo niewygodne dla jazdy dziennej, gdy chciałoby się wygodnie siedzieć i okolicę obserwować.

Siedzieć niema na czym. Sofy bowiem choć szerokie i miękkie, ale bez żadnego oparcia. Przytem tak wysoko ustawione, że siadłszy trochę głębiej, nie dostaje się nogami do ziemi. Praktyczne to dla umieszczenia pakunków, których pod sofami mnóstwo można zmieścić, ale gdy dłużej trzeba siedzieć, istna tortura.

Anglicy nie narzekają na takie urządzenie, bo oni i za dnia wolą leżeć i nogi wyżej głowy trzymać — okolicą zaś się nie interesują. My jednak, chcąc widzieć z obu stron, musimy co chwila niewygodną pozycję na jeszcze niewy-

godniejszą zmieniać, i pół leżąc, pół siedząc po hindusku z podwiniętymi nogami, przepędzić dzień cały.

Do południa jedziemy jeszcze ciągle przez święty kraj Dżajnów, Gutszerat, lecz okolica zmienia się stopniowo. Na widnokręgu ukazują się wysokie skaliste góry, Arawoli. Potem przez dwie godziny wąwozy kamienne, wśród fantastycznych urwisk skalnych: okolica na pół pustynia, podobna do Karstu.

Stacye rzadkie i mniejsze na nich tłumy krajowców. Kraj widać zaludniony rzadko i biedny. Gdzieniegdzie tylko małe pólka oczyszczonej z kamieni uprawnej ziemi, obok studnie i kieraty, obracane przez woły zebu, ciągnące wodę do zraszania pól. Gdzie studni niema, tam prawie pustynia; tylko stada kóz znajdują jakie takie pożywienie.

Kraj ten częścią stepowy więcej, a częścią górzysty i pustynny, to kraj synów królewskich: Radżputów.

* * *

W przeciwieństwie do Gutszeratu, który jest siedzibą bogatych rodów kupieckich, kasty Setów, dżajnowską wyznających religię, jest na północ położona Radżputana dziedzina rodów rycerskich, wielkich właścicieli ziemskich. Kraj dla turysty

ciekawszy może jeszcze, niż Gutszerat, bo podczas gdy pomniki budownictwa w Gutszeracie, to przeważnie tylko marmurowe, cudne i kosztowne świątynie Dżajnów i stare maurytańskie meczety — to Radżputana znalazła najwyższy wyraz swej sztuki nie tylko w świątyniach wspaniałych, ale głównie w budownictwie zamków i pałaców sławnych słonecznych, księżycowych i ogniowych książęcych rodów.

Przypatrzwszy się mapie Indyj, zobaczymy, że kraj królewskich synów, Radżputana, rozciąga się między północnym Pandżabem a Gutszeratem na południu, prowincją Sind na zachodzie, a na wschód ciągnie się aż do bram Agry i Gwalioru. Obszar nieco większy od Węgier z Siedmiogrodem i Chorwacją; pasma gór Arawali dzielą tę krainę na północno-zachodnią pustynną i piaszczystą część i południowo-wschodnią, częścią stepową, częścią lesisto-górzystą, malowniczą a w dolinach bardzo nawet żyzną.

Każde z tych państweczek, obejmuje jakby jedną wielką rodzinę, klan. Węzły krwi łączą panującego radzę, maharadzę, maharanę — czy jaki tam który ma tytuł — z jego poddanymi, jak ojca z dziećmi lub starszego brata z młodszym rodzeństwem. Na tych węzłach krwi opierają się feudalne tych państweczek urządzenia. Panujący jest nominalnym właścicielem całej powierzchni kraju, całej ziemi, którą jednak jako

lenno trzymają dziedzicznie jego krewni i poddani. Ci, dzierżąc tę ziemię, siedzą na swoich zamkach, otoczeni dworem zbrojnych, i na każde zawołanie panującego mają stanąć na czele zbrojnych do jego dyspozycji.

Stąd pochodzi, że cała wielka kraina zasiana jest zamkami i warownymi pałacami, w których siedzą rody synów królewskich od wielu, wielu stuleci.

I żadna obca przemoc nie zdołała ich na stałe z ich zamków wyrzucić. Aż do obecnej chwili zachowali Radżputowie swoje dawne, patryarchalno-feudalne zwyczaje i urządzenia.

W tym dziwnym kraju 19 państw, a dziesiątków tysięcy siedzących na swych zamkach arystokratycznych rodów, kwitnęła od setek, setek lat sztuka, a zamięłowanie blasku, okazałości i piękna znajdowało najszlachetniejszy wyraz w rozsianych po całym kraju monumentalnych budowlach.

Radżputowie, twardy, wytrwały i piękny lud rycerzy, rolników i myśliwych, przyszedł tu niegdyś z północy i jest najczystszej w całych Indjach krwi aryjskiej. Radżputowie należą do najwyższej po braminach kasty rycerzy. Uzdolnieni i żądni sławy, blasku i rozgłosu władcy radżputańscy, zakładali kwitnące miasta, przecudne ogrody, budowali przepyszne świątynie, grobowce i pałace.

W wiecznej między sobą wojnie o terytoryalne zdobycze i przewodnictwo, łączyli się jednak

ze sobą w obronie przed każdym zewnętrznym wrogiem i najeźdźcą. Obronić się jednak nie zdołali wobec mongolskich i innych najeźdźców. Przez dwa wieki byli lennikami Wielkich Mongołów, a potem po krótkich latach niezawisłości, ulegli wojowniczym Mahratom. Dopiero owdzielenie Indyi przez Anglików zapewniło wyczerpanemu ciągłemi wojnami krajowi i pozostałym radżputańskim rodom korzyści trwałego pokoju.

Obecnie Radżputowie, tak panujący, jak i podwładni żyją w spokoju, starając się przewyższyć siebie nawzajem okazałością dworów, pałaców, obchodów weselnych i polowań. Dumni ze starożytności swych rodów zajmują się heraldyką i drzewami genealogicznymi z taką pilnością, że aż Anglicy umyślnie dla nich założyli osobne wyższe studyum heraldyczne.

I istotnie przed starożytnością niektórych rodów radżputańskich w kąć idzie najstarsza arystokracja Europy. Największą ilość przodków mogą wykazać maharadża Udajpuru oraz książęta z dolin himalajskich. Jeden z nich, książę małego państewka nad rzeką Bias, może się podobno wykazać szeregiem 470 przodków w swej rodzinie. Istotnie, przy zupełnem do niedawna odcięciu od świata niektórych państewek i utrzymaniu patryarchalnych obyczajów, jest bardzo prawdopodobnem, że te rody panowały

już w tym czasie, gdy Helenowie wyruszali na wyprawę trojańską.

Rody radżputańskie, jak wyżej wspomniałem, dzielą się na trzy główne gałęzie: na rody słoneczne, księżycowe i ogniowe. Najświetniejszym przedstawicielem rodów słonecznych jest syn słońca, maharana Udajpuru, mający słońce promienne na swej tarczy i mogący udowodnić, że jego przodkowie panują już od 2000 lat. W pantheonie Hindusów jest każdy maharana Udajpuru osobą świętą; przedstawianym bywa na portretach zawsze z aureolą koło głowy.

O dumie rodowej tych władców opowiadają Anglicy liczne anegdoty. Gdy raz np. jeden nie tyle dowcipny, co złośliwy magnat angielski zapytał się maharanę, jak się to dzieje, że mimo starożytności rodu niema przodka maharany w spisie pasażerów arki Noegi — odpowiedział tenże z poważną miną: „Bo moi przodkowie już w czasie potopu mieli swój własny okręt“.

Si non e vero e ben trorato. W każdym razie i władcy angielscy bardzo wysoko stawiają maharanę Udajparu, odznaczając go przy powitaniach aż 19 armatnimi strzałami, tak, że inni władcy, jak maharadzowie Dżajpuru, Jodhpuru, Bekaniru i inni, mający prawo tylko do znacznie mniejszej ilości strzałów, aż zielenieją z zazdrości.

Krótkość czasu, przeznaczonego na indyjską podróż, nie pozwala nam niestety odwiedzić najciekawszego państewka i miasta Radżputany: Udajpuru. Leży bowiem zdala od głównej linii kolejowej; trzeba do niego dojeżdżać z kilkakrotnem przesiadaniem się bocznymi kolejkami od Aczmiru i Czitoru i trzy dni czasu na to stracić. Również zwiedzenie pustynnego Bekaniru musimy sobie darować.

Jedynie największe w Radżputanie miasto Dżajpur, stolicę tej samej nazwy państewka, oraz starą stolicę Amber możemy dokładnie zwiedzić oraz kilka innych miast, jak Aczmir i Alwar, widzieć w przelocie. Żal nam bardzo, że się tak spieszyć musimy, bo tak nęcącymby było zobaczyć ten ciekawy kraj, z jego ludnością tak podobną wadami i zaletami do dawnej szlachty polskiej — i zwiedzić oprócz Udajpuru, choć jedno z miast i państewek zdala od kolei położonych np. cudowne podobno Bundi.

Słońce już zachodziło, gdy po nużącej wskutek niewygodnego siedzenia, gorąca i pyłu jeździe, przywitały nas wrzaski ogromnego tłumu krajowców, zalegającego dworzec stolicy angielskiej części Radżputany, 150 tysięcznego miasta, Aczmiru. Krótkość czasu nie pozwala nam zatrzymać się w tem mieście, sławnem bogactwem kupców i bankierów Setów, pełnem podobno wspaniałych pałaców i świątyń. Widzimy tyle, co z okna wa-

gonu tj. piękne górzyste położenie miasta oraz kopuły kilku świątyń.

O 11 w nocy stajemy w Dżajpurze, gdzie przedewszystkiem zawieramy znajomość z pierwszym czysto hinduskim, będącym nawet własnością Hindusa, hotelem.

Nosi szumną nazwę „Kaizar aj hajnd“ (cesarz Indyj), jest jednak tylko parterową długą budowlą, z podcieniami, z których wprost wchodzi się do pozbawionych drzwi, matą tylko zasłoniętych pokoiów sypialnych. W pokoju sypialnym jest tylko łóżko na środku — bez pościeli. Nasi boye zaścielają je zaraz naszą własną pościelą. Ze sypialni wchodzi się do t. zw. łazienki, w której jednak niema wanny, tylko dziura w kamiennej podłodze. Koło dziury stoi szaflik z wodą i na gwoździu wisi blaszanka. Kto się chce kąpać, staje obnażony na dziurze i polewa się za pomocą blaszanki wodą z szaflika.

A jednak w tym tak prymitywnie urządzonej hotelu spaliśmy doskonale i przez dwa dni pobytu nie zauważyliśmy ani śladu jakiegokolwiek nieczystości, robactwa lub niemiłych zapachów. Jedzenie, choć hinduskie, t. j. wszystko bardzo ostre i korzenne, dobre i zdrowe. Tylko brak lodu dokuczał nam nie mało: zwykły tutaj napój woda sodowa z wódką, smakuje bardzo z lodem, ale ciepła jest czemś właściwie pasku-

dnem, choć w braku czego innego, pić się ją musi.

* * *

Gdy się przejedzie jedną z okazałych, bardzo dekoracyjnych bram miasta i rzuci okiem na szeroką, prostą ulicę Dżajpuru, ma się wrażenie czegoś tak bajecznie kolorowego, tak błyszczącego i rojnego, tak fantastycznie nieprawdopodobnego, że się przypominają dekoracje w jakimś wspaniałym balecie, i trudno uwierzyć, że to rzeczywistość.

Widzi się na tle bogatych, na różowo malowanych, stiukami kwiatowymi i zwierzęcymi dekorowanych pałaców, jak pisze Loti: *tout l'Orient des fêtes processionant à grand spectacle dans l'inimaginable cadre de camaïeu rose.*

Jest się tu istotnie widzem barwnych, rojnych buńczucznych, zwłaszcza wieczorem bardzo tłumnych orientalno-cyrkowych procesyj.

Konie w jaskrawej uprzęży, postrojone osły, garbate małe woły zebu, zaprężone do najprzeróżniejszych i najdziwniejszych formą i barwą pojazdów; wałęsające się święte krowy i byki, woły z malowanymi rogami, dumnie z zadartymi łbami kroczące obładowane wielbłądy; olbrzymie słonie z malowanymi łbami i trąbami i pierścieniami na kłach, ubrane w pyszne czapra-



SIKANDRA. — BRAMA GROBU AKBARA.

ki i niosące bogate palankiny, a w nich postrojonych ludzi; oprowadzane z zakapturzonymi głowami i pierścieniami na ogonie oswojone pantery.

Wspaniałe męskie postacie Radźputów z kosztowną sadzoną kamieniami bronią, w barwnych szatach, pieszo lub konno. Kobiety i dziewczęta jaskrawo ubrane z gołemi brzuchami; szyja, uszy, nos, ramiona, łydki i nogi ozdobione metalowymi błyszczącymi pierścieniami i łańcuchami. Całkiem nadzy, popiołem oblepieni fakirowie i yoginowie, z włosiem farbowanym na ognisto. Robotnicy i żebracy, tylko z przepaską koło bioder. Całkiem nagie dzieci płci obojga.

A w powietrzu mnóstwo ptaków, wron, pawi, gołębi, sępów i orłów, w największej zgodzie obsiadających wszystkie gzymsy; mały na dachach i gzymsach. I to wszystko na tle różnych, fantastycznych do nieprawdopodobieństwa, przeładowanych stiukami i mnogością ozdób pałaców z mnóstwem balkonów i werand przed tysiącami okien!

Przy tem ulice szerokie jak bulwary, proste i pod kątem prostym się przecinające, zupełnie przeciwnie jak we wszystkich innych wschodnich, a zwłaszcza indyjskich miastach. A wszystko jednostajnie różowe z mnogością ozdób białych na różowym tle.

Skąd się tu wzięło, tak niesłychanie regularnie zbudowane, tak szerokie, powietrzne, a za-

razem tak barwno-rojne, tak co do ludności typowo hinduskie miasto?

To kaprys jednego z maharadzów stworzył przed dwoma wiekami te dziwolągi i te cuda.

Był raz w tej części Radżputany władca, zwany Dżaj Sing, który żył za czasów Wielkiego Mogola, Aurangzeba, i hołdował mu, dostarczając na każde zawołanie wojsk konnych i pieszych. Był on mędrceem i uczonym i artystą zarazem; gdy czasem nie trzeba było wojować i Auranzeb pozwolił złożyć broń, zajmował się sztuką, literaturą, a najwięcej astronomią. Miał też zwykłą u radżputów i powszechną w Indjach w tym czasie manię budowania.

On to opuścił dawną swoją górską, nad błękitnem jeziorem położoną stolicę, Amber, i zeszedłszy z ludem swym na równinę sześć mil od gór, zbudował sobie nową stolicę. Zbudował tak, jak jeszcze nikt miasta w Indjach nie budował, i nazwał je od imienia swego Dżaj — Dżajpurem. (Amber)

W jednym z opisów podróży typowego globtrottera czytałem, że ten Dżajpur o szerokich prostych ulicach zbudowany został według wzorów miast europejskich. Lecz sądzę, że to raczej Amerykanie mogli budować swoje miasta według wzorów Dżan Singa — jeżeli wogóle o nim coś wiedzieli. Bo pierwiej był Dżajpur, niż amerykańskie miasta prostolinijne.

Dżaj Sing budował w swem nowem mieście co i jak się mu podobało. Pałace, świątynie — i stworzył prawdziwą fantazyę, nie miasto.

Później znacznie po nim przyszedł sukcesor, wykształcony w angielskich szkołach i praktyczny, który z Dżajpuru zrobił zadziwiający absurd.

Założył kamienne chodniki i jasne światło gazowe po ulicach, założył szkołę sztuki i ufundował muzeum. Rezultat jest, że w czarodziejskim Dżajpurze przybyło dużo niesłychanych kontrastów, jakimi są chodniki i oświetlenie gazowe, do tego tła i do tej ludności — barwnej, rojnej i buńczucznej.

O ile w dzień, w jaskrawem świetle tropikalnego słońca, wygląda to miasto, jak fantazyja w balecie, a różowe pałace z białemi ozdobami jak wyolbrzymiona wystawa cukiernika, co z kolorowego cukru buduje koronkowe cacka, o tyle całkiem prawie nowocześnie i nieledwie po europejsku wygląda Dżajpur w nocy, gdy nie ma już barwnych tłumów, słoni, wielbłądów, panter i dziwnych pojazdów, gdy zaczyna być na szerokich, prostych ulicach pusto, a różowe w dzień pałace tracą barwę i wyglądają w jasnem gazowym oświetleniu, jak z marmuru lub alabastru.

Miasto otoczone jest pięknym, bardzo dekoracyjnym murem z siedmioma wspaniałemi bramami. Siódmą część powierzchni miasta zajmują

pałace maharadży z należącymi do nich dziedzińcami, ogrodami, szeregiem budynków, stajni. Są one, jak Kremlia w Moskwie, miastem w mieście.

Piramidalny front pałacu maharadży, widny od ulicy, front t. zw. pałacu wiatrów, z tysiącami balkoników i werand przed oknami pięciu pięter, szpiców i chorągiewek na szczycie — robi wrażenie czegoś może nie pięknego, ale tak dziwnie oryginalnego, że oczy trudno oderwać. Ten dziwny front, to jednak tylko część jednego skrzydła olbrzymich zabudowań.

Przedewszystkiem udajemy się do pałacowych ogrodów. W ogrodach tych cisza uroczysta, nie tu nie przypomina naszych ogrodów. Egzotyczne wszystko i jakieś dziwne.

Stajemy przed podobnym do jeziora cichym basenem wodnym, w którym przebywają ogromne krokodyle i żółwie. Idzie z nami Hindus w białej szacie, z wielkim ochłapem mięsa na sznurze, staje na marmurowych stopniach, do wody wiodących, i zaczyna jakby śpiewać, monotennie i tęsknie. Spokojna powierzchnia wody zaczyna się marszczyć i poruszać i ukazują się na razie tylko olbrzymie żółwie jak wysepki na powierzchni. Krokodyle niedawno nakarmione, przyjść nie chcą. Po chwili jednak wyłazi jeden, olbrzymi — ale nie na schody, tylko na małą piaszczystą wysepkę w oddali, i wygrzewa się na

słońcu. Spędzony rzuconym kamieniem skacze znów błyskawicznym ruchem i kryje się w wodzie.

Niedaleko od krokodylego jeziora wznosi się ta część pałacu maharadży, w której jest t. zw. zenana, t. j. harem maharadży.

Podobno dawniej karmiono krokodyle podstarzałymi i wybrakowanymi mieszkankami tego skrzydła pałacu. Nie musi być i obecnie miło tym licznym paniom, co tu zamknięte, mieszkać w domu, z którego okien widzi się takie jezioro i wspominać sobie w ciemne noce te dawne czasy, straszne zdarzenia, jakie się tu miały rozgrywać.

W innej części ogrodów pałacowych dzikie bestye, w klatkach zamknięte, wściekle ryczą, a tłum brunatnych chłopców drażni się z nimi i śmieje. Jedną z ciekawości każdej stolicy udzielnego państewka w Indjach są całkiem dzikie, co roku świeżo łapane tygrysy, wystawione na widok publiczny i narażone na zaczepki tłumu, który naigrawa się z ich wściekłości. Każdy radza czy maharadża Hindostanu musi mieć swoje tygrysy w klatkach, tak jak u nas niejedna starsza panna miewa w klatce kanarka lub papugę.

Tygrysów w ogrodach pałacowych Dżajpuru było jeszcze na parę dni przed naszym przyjazdem znacznie więcej, ale maharadża kazał dla

wygody zaproszonych na polowanie angielskich gości wypuścić 13 niedawno w górach połapanych najdzikszych tygrysów w dżangłę pod Amberem, o 6 mil od Dżajpuru, by goście nie potrzebowali daleko ich szukać.

Wskutek tego około tysiąca biednych mieszkańców ruin Amberu musiało opuścić swój przytułek, gdyż okolica zaczęła być bardzo niebezpieczną. Opowiadano, że poprzedniej nocy tygrys napadł posłańca pocztowego, który cudem tylko ocalał ciężko poraniony. Ale takie drobiazgi nie psują apetytu maharadży, który tylko Anglików się boi — a Anglicy tak lubią strzelać tygrysy, że na niejedno za to przez palce patrzą.

Od tygrysów przechodzimy do zwiedzenia stajni maharadży. Ma koni około 300, do wyjazdu lub pod siodło; stroi się je tak, że wyglądają, jakby z cyrku uciekły; ale dobrych i pięknych koni widzieliśmy tu niewiele. Więcej nas zajęły słonie, między którymi były bardzo ładne okazy.

Pałaców wewnątrz nie zwiedzaliśmy. Trzeba wprzód prosić o pozwolenie angielskiego rezydenta (nie maharadżę), co jest kłopotliwem, a przy tem mówiono nam, że nie bardzo warto zwiedzać. Byliśmy tylko w sali prywatnych i publicznych audyencyi, obie w maurytańskim stylu, zepsute jednak i zeszpecone wewnątrz ochydami wprost malowidłami ściennymi.

Dużo natomiast stosunkowo czasu poświęciliśmy na zwiedzenie hinduskiego muzeum w Dżajpurze. Gmach muzeum, położony wśród ogrodów, to prawdziwy dziwoląg z piaskowca i marmuru, w indomaurytańskim stylu. Przeładowany różnokolorowymi marmurami, jak klatka schodowa „Kunsthistorisches Museum“ w Wiedniu, przeładowany też setkami kopulek hinduskich i wieżyczek, dostraja się jednak dobrze do całego przesadnego w barwie, ozdobach, stiukach i wieżyczkach miasta. A wewnątrz kolumny z zielonego, czerwonego, czarnego i białego marmuru z Aczmiru, podwórza z wodotryskami, bogato w drzewie rzeźbione drzwi i kolorowe, jaskrawe freski. W głównym przedsionku muzeum malowane na ścianie portrety — zapewne dużo z fantazyi — wszystkich maharadzów Dżajpuru, w cudacznych strojach i krynolinach; dalej część wielkich fresków, przedstawiających sceny z Mahabaraty i Ramajany, głośnych starohinduskich epei.

Muzeum zawiera między innymi — i to nas najwięcej zaciekało — kilkanaście tysięcy okazów sztuki rękodzielniczej Radżputany: od emalii w szlachetnych metalach do marmurowych rzeźb i mosiężnych ślicznie zdobionych naczyń, wreszcie modele świątyń, pałaców i podobizny mieszkańców wszystkich kast i zawodów.

Obok jednak tych ciekawych i ślicznych okazów, bez żadnego sensu i porządku umieszczone

gipsowe odlewy Laokona i fryzów Thorwaldsena, modele maszyn parowych i rozkładanego konia do nauki końskiej anatomii, i dużo innych rzeczy, nie z Indjami nie mających wspólnego - lichych, tandetnych i brzydkich.

Przypatrzywszy się w muzeum najprzeróżniejszym krajowym wyrobom, jedziemy znów w różowe, tłumne ulice i wstępujemy do kilku sklepów. Specjalnością Dżajpuru są wyroby z mosiądzu oraz emalje w złocie. Pierwsze prześlizgnięcie, w drugich natomiast, t. j. emaljach, mimo że czegoś podobnego w całej Europie żaden złotnik zrobić nie potrafi, trudniej zagustować.

Drugidzień pobytu w Dżajpur poświęcamy na wycieczkę do starej, opuszczonej przed dwoma wiekami stolicy państewka, do umarłego miasta Amber. *(Amber)*

Jedzie się najprzód powozem przez spaloną słońcem skalistą równicę, usianą gęsto kopułami i kopułkami na strzelistych kolumienkach z czerwonego piaskowca i marmuru. Są to Czatris tj. grobowce możnych radźputańskich rodzin oraz przodków maharadży Dżajpuru. Niektóre już w ruinie, inne nie skończone jeszcze; pracuje koło nich setki robotników. Śliczne niektóre z nich i pełne uroczystego nastroju.

Wśród grobów dojeżdżamy do podnóża gór skalistych, gdzie czeka słoń, na którego przesiąść się trzeba, jeżeli się kto nie chce w żarze palącego słońca drapać milę przeszło bystro pod górę.

Olbrzym klęka, przystawiają drabinę i wydostajemy się na twarde, niewygodne siedzenie, urządzone na grzbiecie słonia. Siedzimy do siebie tyłem na grzbiecie olbrzyma, na karku zaś zwierza kierujący nim krajowiec. Daje znak. Słoń wstaje na tylne nogi, rzucając nas ku przodowi, wstaje na przednie, a my lecimy na tył. W rezultacie dwa sińce dość długą będą pamiątką.

Wreszcie rusza naprzód kołyszącym, szybkim stępem. Musimy się konwulsyjnie trzymać, by nie spaść z wielkiej wysokości. W rezultacie nie widzimy przez całą drogę nic, zajęci trzymaniem się i własnym bezpieczeństwem. Odechnęliśmy dopiero, gdy słoń, po godzinnem przeszło wspinaniu się, nareszcie stanął na obszernym dziedzińcu starego pałacu maharadzów.

Powrotną drogę na dół woleliśmy odbyć piechotą, mimo palącego żarem słońca.

I już nigdy nikt nas nie skusi do jazdy na słoniu. Krajowcy są przyzwyczajeni do siedzenia wszędzie, a zatem i na słoniu na własnych piętach, więc może im być względnie wygodnie, zaś wicekról Indyj, który musi przy darberach odbywać uroczystew jazdy na słoniu, ma dla siebie zapewne całkiem inaczej i wygodniej urządzone siedzenie. Inaczej bowiem trudnoby może było znaleźć kandydata na to wysokie, w ogromną władzę wyposażone i niesłychanym wschodnim przepychem otoczone stanowisko.

Amber, to prawdziwy kamienny i marmurowy poemat, pełen ciszy, samotności i uroczystych nastrojów. Nad błękitnem górskiem jeziorem rozsiało się, po wszystkich stokach skalistych gór się czepiając, umarłe, od dwóch wieków opuszczone miasto. Znaczna część miasta to zupełne już ruiny; na murach rosną krzewy i drzewa, wśród marmurowych, pnączem oplątanych kolumnienek igrają mały i papugi, poważne pawie spacerują po pałacowych galeryach i podcieniach.

Wszystko to otoczone gigantycznym, gdzieś niedzie basztami poprzerwanym, po szczytach gór wspinającym się murem warownym.

Tylko stary pałac maharadży, choć również od wieków pustką stojący, utrzymany dobrze, i znać, że go od czasu do czasu restaurują.

Nic dziwnego. Wart troskliwej konserwacji ten olbrzymi pałac ze swemi galeryami, podcieniami, wieżami, erkerami i sztucznymi małemi hinduskiemi kopułkami na smukłych kolumnienkach. Wobec niego w kąć okazałe i ogromne, ale zbyt pstre i przeładowane pałace Dżajpuru. A wewnątrz co za przepych koronkowych marmurowych okien, majolik, różnokolorowych marmurów.

Urok Amberu zaćmił nam oryginalność i barwność Dżajpuru.

W uroczystym nastroju opuszczamy Amber i Dżajpur. Ruszamy w dalszą drogę do Agry.

AGRA.

Wjazd do Agry. — Pierwsze wrażenia. — Wielcy Mogołowie. — Ich historia, państwo i pomniki. — Dżingis i Timur. — „Kulawy podpalacz i rzeźnik świata“. — Wielki Akbar. — Jego następcy. — Angielscy spadkobiercy Mogołów. — Fort Agry. — Najpiękniejszy na świecie grobowiec: Tadż Mahal. — Pomnik miłości małżeńskiej. — Wielki marnotrawca. — Tadż przy księżycu. — Białe zjawisko. — Śpiew ulemów. — Grobowiec Akbara w Sikandra. — Sarkofag na słonecznej terasie. — Itimad-ud-daulah. — Meczety Agry. — Pałace. — Turyści amerykańscy. — Brzydkie strony. — Bazary. — Zakład więzienny.

Niebo różowiło się dopiero na wschodzie, gdy dojeżdżając do Agry, zobaczyliśmy z pociągu po raz pierwszy wychylający się nad wielką srebrną rzeką najpiękniejszy na świecie marmurowy budynek Taj Mahal, Tadż, jak w skróceniu wymawiają Anglicy.

Chcąc w tej chwili zrozumieć nasze uczucia, trzeba by przedtem przeczytać niejedną książkę

o tem arcydziele budownictwa, jego rysunku i proporcjach, o romantyczno smutnej historii tej budowy, naczytać się i nasłuchać hymnów pochwalnych o białym marmurowym pałacu, który zdaniem całego świata sam jeden wart jest i czasu i trudów podjęcia podróży do Indyj.

Z opalowych mgieł wyrasta w oddali Tadź, jakby oderwany od ziemi i w powietrzu czarodziejsko wiszący, z kopułą zaróżowioną wstającym słońcem. W widoku tym jest poprostu coś mistycznego i nie zapomnianego nigdy.

A później, w drodze z dworca do hotelu, przesuwają się nam przed oczami inne cuda: pałace, meczety, czerwone gigantyczne mury olbrzymiego zamku, a z po za murów i baszt z czerwonego piaskowca wychyla swe wieżyczki, kioski i dachy złote, całe miasto pałaców, będących najszlachetniejszymi na świecie zabytkami starej maurytańskiej sztuki.

Jesteśmy w jednej z najwspanialszych stolic olbrzymiego niegdyś państwa Wielkich Mogołów.

Władcy ci, co w cieniu zwycięskiej chorągwi proroka zawładnęli całymi Indjami, niezwykłymi i dziwnymi byli ludźmi. Potomkowie najkrwawszych w świecie zdobywców, najstraszniejszych okrutników, Dżingishana i Timura, co z głów świętych stawiali gnijące pomniki krwawych zwycięstw — wyszlachetniali pod niebem Indyi, i stali się Medyceuszami Azji.

Pierwsi zdobywcy Indyi z rasy Mongołów, Dżingis i Timur, zostawili po sobie tylko zgłiszcza i pustynie. Zwłaszcza Timur osiągnął wprost rekord mordów, krwi, pożarów i zniszczenia. Pamiętnym jest pod tym względem sławny marsz Timura na Indye z r. 1398, wyprawa zdobywcza „kulawego podpalacza i rzeźnika świata“, tem łatwiejsza, że ludy i książęta Indyi nie zdobyły się na żaden zorganizowany opór. Ani jedno miasto, ani jedna wieś nie ocalała od podpalenia, ani jeden dorosły mężczyzna nie uszedł z życiem, bez względu na to, czy się od razu poddawano czy też próbowano obrony.

Najkrwawszem było zdobycie Delhi, po którym Timur okrzyknięty został władcą Indyj we wszystkich meczetach. Po krótkim jednak pobycie Timur opuścił Delhi, zdążając inną drogą i pałac niezniszczone jeszcze osady i mordując wszystko, co jeszcze żyło, z powrotem do swej stolicy w Samarkandzie. I nie zostawił w Indyach ani wojsk, ani rządu, ani organizacyi żadnej, tylko jedynie zgłiszcza, trupy, anarchię i zarazę.

Przez dwa miesiące potem Delhi było umarłym całkiem i wyludnionem miastem, a przez następnych lat 40 nie miały Indye ani władzy, ani rządów żadnych, nietylko w rzeczywistości, ale ani nawet z imienia. Spustoszone, wyludnione, zdemoralizowane, śniły Indye przez lat 40

złe sny o strasznych przejściach wśród wewnętrznej niemocy.

W 120 lat po tej krwawej orgii przedsięwziął znów wyprawy zdobywcze do Indyj i zaczął tu na seryo budować państwo pierwszy z wielkich Mogołów, potomek Timura po mieczu, a Dżingishana po kądzieli, Babar.

Jakże jednak inaczej wyglądały te wyprawy zdobywcze Babara w porównaniu do wypraw jego krwawych przodków.

Wielkim zdobywcą, ale i wielkim i szlachetnym człowiekiem był Babar.

Zamiast w krwi i pożarach, jak przodkowie, lubował się w sztuce i naukach. Był muzykiem, poetą, malarzem i awanturniczym romantycznym rycerzem. Historia jego przejść rycerskich i wypraw wojennych, w których często bywał i pod wozem, bo pozbawionym władzy wygnańcem po lat kilka — jest wprost niesłychanie zajmującym rycerskim romansiem.

Ostatecznie w szeregu wypraw zawojował Pandżab a potem całe północne Indye, i to przeważnie bez rozlewu krwi — bo w Indjach przekonano się rychło, że miano do czynienia z ludzkim wojownikiem, co tylko na polu walki potrafił zabijać, zwyciężonych jednak i ich mienie oszczędzał i chronił.

Po zdobyciu Delhi i Agry użył Babar zdobytych olbrzymich skarbów na poprawę doli mie-

szkańców, na budowie i inwestycje, i na organizację olbrzymiego państwa. Następca Babara, Humajun, rozszerzył państwo ku południu w szeregu ze zmiennem szczęściem podejmowanych wypraw.

Głównym jednak budowniczym i organizatorem państwa był trzeci z kolei władca z rasy Mogołów, jeden z największych ludzi i władców w dziejach świata, Akbar. W kilka lat po wstąpieniu na tron, w 18 roku życia ogłosił jakby program swych rządów, tak ludzki i sprawiedliwy, że do dziś dnia może być wzorem dla niejednego władcy i dla niejednego rządu — nie tylko w Azji. W 16 wieku ogłosił wielki władca Azji zupełną tolerancję wiary i języka i równe dla wszystkich prawa, oznajmiając, że chce panować nie dla własnej satysfakcji ani dla wywyższenia swego ludu, z którego pochodzi, lecz dla dobra i szczęścia wszystkich swych ludów.

Programowi temu pozostał wierny do śmierci. W pierwszym dziesięcioleciu panowania dokonał dzieła zdobycia reszty Indyi.

Wojnę uważał za przykry i bolesny, ale nieunikniony środek do wielkiego celu. Po dokonaniu zdobywczego dzieła, zaczął budować i organizować. W Delhi, Agra, Tatepur, Sikri wznosi setki świątyń, pałaców i gmachów, wyciskając na tych pomnikach wybitne piętno swego geniuszu.

Następnie podjął reformę administracyi i systemu podatkowego. Największa część jego urzędzeń administracyjnych istnieje do dziś dnia, utrzymana i przestrzegana przez angielskie rządy. Wyborna, ^{sz} przez Akbara stosowana mieszanina despotyizmu i tolerancyi, stała się wzorem dla Anglików i jest może jednym z sekretów powodzenia ich polityki i ich rządów w Indjach.

Akbar umarł po 50 letnich blisko rządach. Umarł władcą, co wyśnił sen wspaniały stworzenia, zorganizowania i utrwalenia olbrzymiego i najbogatszego na świecie państwa, i ten sen wcielił w życie i faktem uczynił na przeciąg swego życia — ale tylko na przeciąg życia.

Następca jego, Dżehangir, nie dorównał wielkiemu ojcu i pradziadowi pod tym względem. Za jego rządów rozpoczęły się na dobre portugalskie, francuskie, holenderskie i angielskie wyprawy do Indyj i opanowywanie rozmaitych części kraju przez europejskie kompanie wojskowo-handlowe. I nie pozostało po Dżehangirze nic, tylko kilka pięknych budowli i rozprężenie olbrzymiego państwa.

Następny władca, szach Dżehan, zdołał jeszcze podtrzymać i utrzymać w całości spadek Babara i Akbara. Naśladował też we wszystkim swego wielkiego dziada. W jednym jednak tylko zdołał mu dorównać i przewyższyć, tj. w dobrym smaku i twórczości na polu budownictwa. Przewyż-



DELHI — WIELKI MECZET.

szył go znacznie liczbą, ogromem, kosztownością materiału i pięknością wzniesionych przez siebie monumentalnych budowli.

Koniec życia spędził szach Dżehan w więzieniu, strącony z tronu i uwięziony (z powodu marnotrawstwa i zadłużenia skarbu) przez swego syna i następcę Aurangzeba.

Marnotrawcą — ale bardzo wspaniałym marnotrawcą był istotnie Dżehan. Jemu głównie zawdzięczają Agra i Delhi te swoje budowle, które czynią zwłaszcza z Agry jakby zaklętą w murze bajkę z tysiąca i jednej nocy. Sam „najpiękniejszy na świecie Tadż“ miał podobno kosztować 20 lat czasu i 60 milionów rupij.

Aurangzeb był ostatnim z panujących jeszcze nad całymi Indiami wielkich Mogołów. Będąc fanatycznym mahometaninem, doprowadził przez krwawą nietolerancję religijną do osłabienia państwa. Jego nietolerancja wywołała groźne powstania Mahratów. Zwycięski wódz Mahratów Siva - ji ogłosił się królem, i dwie potęgi, t. j. nietoleranckiego hinduizmu i muzułmanizmu rozdarły państwo, zmagając się ze sobą przez lat dziesiątki, z czego korzystała Anglia.

Na tem kończy się wielkość państwa wielkich Mogołów.

Obecnie z państwa niezmiernego nie ma już śladu. Spadkobierczynią potęgi i sławy azyatyckich dynastów stała się Anglia. Ale po tych

władcach zostało przecież to, co zapewnia im nieśmiertelność. — Cudami architektury zasiali miasta północnych Indyj i stworzyli cudów krainę.

Jak zwyczajny człowiek każe sobie robić nowe ubranie, z taką samą łatwością oni budowali nowe miasta z setkami pomnikowych pałaców. Gdy im się sprzykrzyły, porzucali je na mieszkanie małpom i pawiom — i budowali nowe miasta i pałace. I gdy zwyczajny człowiek 6 stóp ziemi potrzebuje na swój grób, zakładali oni dla siebie całe miasta grobowe na wieczny spoczynek.

Wśród bram, ogrodów, kiosków, meczetów — budowali mauzolea olbrzymie jak piramidy, a jak senne marzenia dziwne i piękne.

* * *

Po tem niedługim zboczeniu w dziedzinę historii Indyj i państwa wielkich Mogołów, zboczeniu koniecznem, jeżeli się nie wychodzi z przypuszczenia, że każdy z czytelników będzie znał i pamiętał dzieje Indyj — wracam do zabytków obecnej Agry.

Najwspanialszemu na świecie pałacowi grobowemu, cudnemu Tadź Mahal, należy się oczywiście pierwszeństwo. Więc choć przed odwiedzeniem Tadżu poświęciliśmy całe pół dnia na zwiedzenie t. z. fortu, również najwspanialszego z pe-

wnością zamku monarszego z jego perłowym meczetem, pałacem cudów, łaźnią księżniczek, wieżą jaśminową, słoniowymi schodami i salami publicznych i prywatnych audyencyj — to jednak zajrzawszy potem przed zachodem słońca do ogrodów, w których wznosi się Tadż, nie mogliśmy się oderwać od tego widoku, i wracaliśmy doń kilkakrotnie, w dzień i w nocy, poświęcając każdą wolną w czasie pobytu w Agrze chwilę na to, by Tadż jeszcze zobaczyć.

Tadż z jego ogrodem, bramami, meczetami i karawanserajami leży dość daleko od miasta na wysokim brzegu świętej rzeki Dżamny. Jedzie się z pół godziny przeszło przez ogrody, przez angielską część miasta i place sportowe, aż wjeżdża się w kwadrat starych z czerwonego piaskowca, gustownych budowli: karawanserajów z mieszkaniami dla pielgrzymów.

Kwadrat obszerny, arkadami, jak plac świętego Marka w Wenecyi, z trzech stron objęty, zamknięty jest z czwartej strony kopulastą, z wieżami minaretów po bokach, z czerwonego piaskowca budowlą, ozdobioną u góry całym lasem wdzięcznych i lekkich maurytańsko-hinduskich wieżyczek z daszkami i galeryjkami.

Budowla ta olbrzymia, kształtem pyszny meczet przypominająca, a pełna powagi i wdzięku: to tylko brama do ogrodu Tadżu. Wchodzimy na schody do bramy, i za chwilę jesteśmy we wnętrzu,

pod kopułą; przed nami jednak drugi łuk bramy, w którym jak w ramach rysuje się białe, olśniewające zjawisko.

Zamknąć trzeba na chwilę olśnione oczy: aż krew żywiej w żyłach krążyć poczyna ze wzruszenia i podziwu nad tym białym architektonicznym cudem, jaki się naraz z pośród ciemnej zieleni cyprysów parku wyłania i w długiej wstędze w marmurowe ramy ujętej, ku mauzoleum ciągnącej się wody, jak w zwierciadle, z niesłychaną czystością odbija.

Mamy przed sobą największe i najszlachetniejsze dzieło sztuki budowniczej.

Spokój i prostota linii architektonicznych, czyste proporcje, żadnej wady lub błędu: oko i umysł ma prawdziwą uctę, patrząc na ten biały pałac grobowy.

Do spotęgowania wrażenia przyczynia się niewątpliwie całe otoczenie. Z cienia, z pod olbrzymiej kopuły bramy, odsłania się w ramach potężnego łuku biały marmurowy pałac, jak niespodziane i nieoczekiwane zjawisko, a jego sąsiedztwo: dwa zamykające boki ogrodu meczety z czerwonego piaskowca, i czarność zieleni cyprysów ogrodu, i ciemno-zielone jego głębie, i błyszczące lustrzane szyby wody, biegnące ku białemu pałacowi — wszystko to wskazuje, że przed wiekami, gdy ten marmurowy grobowiec budowano, umiano z niezrówna-

nem wprost mistrzostwem wywoływać nastroj pożądany za pomocą odpowiedniego ugrupowania łagodnych kontrastów barw i światła, i umiano potęgować wrażenie białości i smukłości.

Wszystko wśród tych monumentalnych budowli w tym czarownym parku wskazuje, że środkowym, głównym i najważniejszym punktem jest białe mauzoleum, a wszystko inne, i bramy, i mury, i meczety, i cyprysy, i grupy drzew, i wodne na różnych poziomach wstęgi i baseny, i kwiaty, i przestrzenie, że wszystko to, to tylko godna klejnotu oprawa, że to tylko ramy, umiejętnie użyte dla podniesienia wdzięku samego obrazu.

Ponad wszystkim, jak zjawisko góruje i świeci na niebie biała kopuła grobowca, środkowy punkt całego tego uroczego otoczenia — a pod kopułą we wnętrzu mały sarkofag ukochanej małżonki władcy, szach Dżehana: Mumtaz Mahali. Jego sarkofag skromnie z boku.

I tu wewnątrz grobowca o nastroju melancholijnego smutku umiejętnie i z artyzmem pomyślano. Światło dzienne, dostając się tutaj, musi się precedzić przez cały szereg koronkowych, marmurowych, przepysznych woali, i dochodzi przyćmione, białe i smutne, jakby księżycowe, a przecież jasne.

Głos tu wydany, głośniejsze westchnienie lub słowo rzucone półgłosem, potęguje się w tysiąc-krotnem echu, a potem brzmi coraz ciszej i wra-

ca coraz dźwięczniejsze, delikatniejsze, doskonałe.

Biały marmur wewnątrz sadzony drogimi kamieniami w najszlachetniejsze, spokojne arabeski, w gałęzie kwiatów i owoców. Żaden wzór, żaden liść, kwiat żaden nie powtarza się dwa razy. Na każdym gzymsie co innego. Te nigdy nie więdnące, zawsze barwą świeże i świetne wiązanki kwiatów, tak wprawione w marmur z całym przepychem barw kamieni, rubinów, szmaragdów, szafirów gwiazdzistych, lapis lazuli, turkusów, topazów, opali, że stanowią w nim gładką, lśniącą powierzchnię, dodają wnętrzu uroku, wykwiutnego smaku i okazałości.

Wśród tych czarów, wśród tego nastroju najwspanialszego i najszlachetniejszego przytułku śmierci, wśród myśli wirujących w głowie, przychodzi mi niespodzianie i natrętnie, jak najprzykrejszy dysonans, wspomnienie czegoś wstrętnego, przypomnienie najbrzydszego, najbanalniejszego, najwięcej parweniuszowskiego mauzoleum jakie widziałem: grobowca pruskich królów, mauzoleum Hohenzollernów w Charlottenburgu, gdzie nie umiając inaczej, próbowano wywołać nastrój przez wprawienie jaskrawo niebieskich szybek — by choć taka „światłość niebieska“ świeciła staremu cesarzowi Wilhelmowi i jego grobowym towarzyszom.

Zgrzyt tego wspomnienia zmaćił mi na chwilę wrażenie otaczających mię przepychów; chcąc się go pozbyć, wychodzę na zewnątrz na jaskrawe światło słoneczne.

I tu na zewnętrznych płaszczyznach imponuje prostota i piękność ornamentacyj. Ściany wykładane są tylko wąskimi paskami i arabeskami z czarnego i czerwonego marmuru na wielkich lśniących płaszczyznach marmuru białego. Zresztą tylko nische, wgłębienia, gzymsy, pełne prostoty i spokoju. Nic tu oka nie razi, nic nie niepokoi. Nawet żadne schody nie przerywają i nie psują długich, poważnych linii olbrzymiego frontu. Schody bowiem poprowadzono w ten sposób, że się ich, stojąc przed grobowcem, całkiem nie widzi. Wygląda to z dołu, jak jasny i uroczysty, ale dla żyjących niedostępny przytułek śmierci.

Największe jednak wrażenie robi Tadź nie z bliska, lecz z oddali, z pod łuku bramy wchodowej.

O każdej porze robi inne wrażenie. W dzieńm słonecznym światło olśniewa poprostu, o zachodzie słońca różowi się i błyszczy, jak „Alpenglühen“. Przy jasnym blasku pełni księżyca wygląda wprost zjawiskowo i całkiem niezemiako.

Takiem jest to najpiękniejsze w Indyach i w świecie dzieło sztuki, zrodzone z największego bólu i najczulszej miłości.

Bo z bólu po stracie ukochanej małżonki Szach Dżahana ono powstało. Gdy mu przy urodzeniu dziewiątego dziecka umarła pierwsza i najukochańsza małżonka i sułtanka, którą Mumtaz Mahal t. j. dumą pałacu nazywał, postanowił wielki władca i artysta zbudować jej pamięci i swemu bólowi pomnik grobowy, jakiego nie miała jeszcze żadna królowa świata.

Ze wszystkich stron Indyj sprowadzono marmury i drogie kamienie na grzbietach wielbłądów. Przez lat 20 pracowało 20.000 robotników i rzeźbiarzy nad tym pomnikiem małżeńskiego przywiązania.

Po skończeniu marmurowego poematu miłości, syn zamknął Szach-Dżahana w więzieniu — jako marnotrawcę. I przez szereg lat jeszcze spoglądał strącony z tronu więzień z jaśminowej wieży zamku w stronę, gdzie nad Dżamną błyszczała biała kopuła, kryjąca to, co miał w życiu najdroższego.

Mówią, że umarł z twarzą ku Tadżowi zwróconą! Wielki marnotrawca!

Odwiedzaliśmy Tadż kilkakrotnie, w dzień, wieczór i w nocy przy pełni księżyca. Zwiedzaliśmy dokładnie i boczne także meczety, z których galeryj i minaretów coraz to nowe niespodziewane widoki na biały Tadż i ogród z jednej, a na błyszczącą wstęgę wielkiej świętej rzeki z drugiej strony. Z pod arkad minare-

tów widzi się Tadż z różnych stron, w różnym oświetleniu, a i z zakątków cienistych parku wszędzie widoki to na całość, to na tę lub inną część białego grobowca. I nastrój nie słabnie, lecz przeciwnie potęguje się w miarę im dłużej się przebywa.

Tadż jest symbolem, jest kamiennem uosobieniem czystości i świętości wielkiego nieszczęścia i wielkiego bólu.

Myśl ucieka do klasycznych pomników bliższej nam starej sztuki, przypomina się inny marmurowy symbol: grupa Nioby. Tak tam jak i tu widzi się arcydzieło, pełne skamieniałego bólu, tam bólu matki, tu bólu męża, co to zbudował dla pamięci kobiety, którą nad wszystko ukochał.

Nie zapomnę nigdy nocnych odwiedzin Tadżu przy księżycu.

Wyszedłszy z cienia kopuły olbrzymiej bramy, znalazłem się w tajemniczym, zalanym potokami księżycowego światła ogrodzie, a nademną w powietrzu błyszczała białe zielonkawym odcieniem kopuła grobowca. Błyszczała ona jakby własnym światłem świecąca, błyszczały płaszczyzny frontu i strzeliste minarety — a na prawo i lewo ponure czarne plamy cyprysowych grup, rzucających czarne cienie na wyłożone białym marmurem ścieżki, na ruchliwą, błyskotliwą wodę w długim wśród marmurowych opasek basenie.

Z zarośli ogrodu idzie ku nam delikatny szelest lekkim wiatrem poruszanych liści i gałązek, bije ku nam jak z kadzielnicy upajająca woń kwiatów.

Coś niezziemskiego, coś mistycznego jest w tym obrazie i tej chwili, gdy powoli wśród blasków księżycowych, cisi i uroczyści zbliżamy się do białego zjawiska.

Wchodzimy do środka, skąd dochodzą nas śpiewne głosy.

Po przez marmurowe woale wpada mdły promień księżycowego światła, ukazując zjawiskowo marmurowy sarkofag a u jego stóp dwie postacie w turbanach i białych szatach modlących się ulemów. Jeden recytuje przyciszonym głosem jakąś surę z Koranu. Przy końcu podnosi głos i wpada w śpiew tęskny. Śpiew ten idzie wśród marmurowych koronkowych zasłon wysoko pod kopułę i odbijając się dźwięcznym echem wraca do nas, coraz tęskniejszy.

Trwa ten dźwięk długo, choć ulemowie siedzą już milczący — wreszcie cichnie westchnieniem, szmerem.

I zaczyna się we wnętrzu grobowego pałacu najwymowniejsza, uroczysta cisza.

Tych chwil końcowych, w tem miejscu w nocy przepędzonych, nie zapomnę do śmierci.

Najokazalszymi zabytkami Agry, są monarsze grobowce w pierwszym rzędzie, potem dopiero meczety i pałace.

W budowę swoich grobowców, które stawiali sobie za życia, wkładali wielcy Mogołowie najwięcej czasu, pracy, pieniędzy i wrodzonego im dobrego gustu. Wszystkie te grobowce, to całe miasta pałaców w przepysznych ogrodach; zadaniem ich bowiem było służyć za życia do przechadzki, spoczynku i miłej zabawy w gronie rodziny i przyjaciół, a po śmierci na grobowy przytułek władcy.

Jeden Szach Dżehan nie zdążył ufundować sobie grobowego ustronia. Miał zamiar, po wybudowaniu Tadż Mahalu dla żony, podobny grobowiec z czarnego marmuru po drugiej stronie Dżamny ufundować i oba ogrody grobowe, swój i żony, połączyć marmurowym mostem.

Byłby zapewne jeszcze więcej długów następcy zostawił. Uwięziony jednak przez następcę, spoczął po śmierci u boku żony, w Tadż Mahalu.

Inni jego rodu monarchowie ufundowali sobie sami swoje grobowe miasta, przeważnie w pobliżu głównych stolic, Delhi i Agry, niektórzy jednak w innych dalszych ogromnych Indijskich ustroniach, które sobie za życia upodobali.

Pod Agrą, oprócz najcudniejszego Tadżu, są jeszcze dwa prześliczne, zadziwiające ogromem

lub kosztownością materiału i artyzmem, grobowe pomniki, nie licząc wielu mniejszych, choć bardzo ozdobnych grobowców żon i krewnych monarszych.

Najpiękniejszym po Tadżu miastem grobowym w ogrodzie jest grób wielkiego Akbara w Sikandra, godzinę drogi od Agry.

Jedzie się przez bazyliki barwne i rojne, a później przez przedmieścia i osady krajowców, wreszcie przez grobowe pola, zasiane gęsto mniej lub więcej okazałymi grobowcami.

Pałac grobowy Akbara otoczony jest, podobnie jak Tadż, malowniczym ogrodem i potężnymi budowlami z czerwonego piaskowca, służącymi za bramy ogrodu. W środku ogrodu czteropiętrowy pałac w kształcie ściętej piramidy. Trzy dolne piętra z czerwonego piaskowca, czwarte, najwyższe, z białego marmuru.

Naokoło każdego piętra galerye i podcienia, otoczone kolumnadą i mnóstwem kopulastych wieżyczek. Każde wyższe piętro zajmuje mniejszą powierzchnię. Najwyższe piętro z białego marmuru, to już tylko kwadratowa, nie przykryta niczem, oświetlona jaskrawym słońcem terasa, zamknięta z boków łukowymi oknami, w których zamiast ram i szyb, najmisterniejszej roboty marmurowe siatki, jak koronkowe woale delikatne, wdzięczne i lekkie.

W środku białej platformy marmurowy sarkofag, a na nim jedno tylko słowo: Akbar.

W żarze słonecznym, pod gołem niebem, na wywyższeniu wyniosłem, skąd widok rozległy na miasto Agrę, wsie, pola, pomniki, pałace i srebrną wstęgę rzeki Dżamny leży wielki Akbar, i panuje stąd duchem zawsze jeszcze nad hinduską krainą.

Z wyżyny, na której spoczywa sarkofag, ocenić można wybornie całość grobowego ogrodu i okazałość bram, z których każda jak zamek, lub meczet, z wieżami minaretów po bokach.

Całość głównego grobowego pałacu, gdy się nań patrzy od jednej z bram, robi wrażenie czegoś bardzo wybujałego, czegoś już nie maurytańskiego, ale raczej hinduskiego.

Są znawcy bardzo poważni, n. p. Karol Lancoroński, którzy wyżej stawiają Sikandrę od Tadż Mahalu. Ale podczas gdy Tadż czyni wrażenie powagi, słodyczy i doskonałego spokoju, nie widzę tego spokoju i doskonałości w fantastycznych liniach architektonicznych grobowca Akbara. Jest w tem jakby coś z egzotycznego rococo. Piękne nad podziw i smukłe są białe i czerwone wieżyczki i hinduskie daszki. Jest w nich wdzięk egzotycznych motywów, ale powagi i spokoju ani śladu.

Mimo to, na tle indyjskiego krajobrazu, pięknem jest to olbrzymie mauzoleum Akbara, wśród

bram, kiosków, szerokich trawników, wód i drzew rozłożystych. Odzwierciedleniem niezwyklej duszy i ideałów zmarłego, który z muzułmańskich i hinduskich części składowych zgodną całość chciał utworzyć, jest ten pomnik. Jest w nim hindusko dżajnowski styl, złączony z maurytańskimi formami.

Trzecim, kunsztownym artystycznym wykonaniem szczegółów i kosztownością materiału, choć nie imponującym już ogromem grobowcem Agry, jest tak zwany I'timad-ud-daulah. Również w ogrodzie, również w otoczeniu czterech pałacowych bram z minaretami, jest mały, z białego marmuru, sadzony drogimi kamieniami pałacyk prawdziwem cackiem nietylko architektonicznej, ale jubilerskiej sztuki. Tu i w salach pałacowych fortu najlepiej można widzieć i ocenić wytworność i doskonałość tz. „pietra dura“ robót, t. j. wkładania w gładką powierzchnię marmuru różnokolorowych kamieni, tworzących arabeski, stylizowane kwiaty i owoce.

Grobowiec I'timad-ud-daulah służy za pośmierne schronienie ojcu ukochanej żony wielkiego Mogoła Dżehangira, Nur dżehan. I inni krewni władcy tu spoczywają, bo marmurowych sarkofagów naliczyłem dziewięć.

Wspaniałymi są też meczety Agry, zwłaszcza dwa wielkie Moti Maszid i Jama Masjid (Dżama Maszid) zbudowane przez Szach Dżehana. Meczety Agry, jak i wogóle wszystkie prawie meczety

Indyj, odznaczają się tem, że nie ma w nich właściwego zabudowanego wnętrza. Są to długie, nakryte kopułami; z trzech stron całkiem otwarte i przewiewne kolumnady; tylko z jednej strony, tam gdzie w środku Mihrab, zamknięte marmurową ścianą. Niektóre zawierają setki marmurowych kolumn i wielkie bardzo przestrzenie. Czerwony piaskowiec i biały marmur są jedynymi materiałami, jakich do ich budowy użyto.

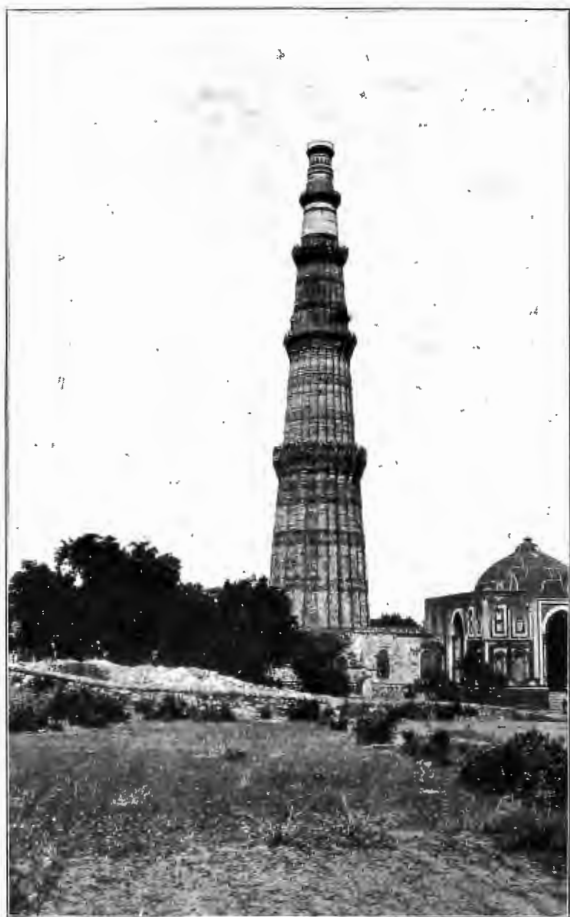
Najwykwintniejszym meczetem Agry jest małej perłowy meczecik pałacowy w formie. Prawdziwe to cacko, wykonane w białym marmurze, pełne rzeźb i stalaktytowych między kolumnkami ozdób, nisz i framug precudnej roboty w maurytańskim stylu.

Pałace monarsze w formie Agry, to taki ogrom, taka różnorodność form architektonicznych, taki labirynt pałaców, kiosków, wież, hal, kolumnad, łaźni, obszernych dziedzińców i ogrodów, że trzeba by tydzień, by móc uporządkować wrażenia. Otoczone te pałace olbrzymim, 70 stóp wysokości, bardzo fundamentalnym i prześliznym, różnorodności pełnym murem z czerwonego piaskowca. Rozciągają się one na powierzchni półtorej mili angielskiej.

Szereg bram monumentalnych, jedna piękniejsza od drugiej, wiedzie do wnętrza. Hale publicznych i prywatnych audyencyj, pałac cudów, łaźnie

księżniczek i złoty pawilon, wszystko to odznacza się taką prawdziwą doskonałością i wdziękiem linii architektonicznych, takim precyzyjnym wykończeniem szczegółów, że śmiało powiedzieć można, że nigdzie na świecie, nawet w hiszpańskiej Granadzie, nie wznosił się geniusz maurytańskich architektów, do takich wyżyn doskonałości.

Bogate roboty pietra dura, a nadewszystko przebijane koronkową robotą w cienkich płytach marmuru okna, to szczegóły wprost podziwu godne. Niestety w wielu salach w robotach pietra dura znać zniszczenie. Tu i ówdzie widać się puste miejsca po kamieniach drogich, które za pomocą ostrych narzędzi wylupano. To amerykańscy turyści, którzy od jakiegoś czasu bardzo sobie upodobili Indye i bandami po kilkuset je zwiedzają, opętani żądzą kolekcyonerstwa i chęcią przywiezienia sobie oryginalnych pamiątek z Indyj, spowodowali te zniszczenia. Drogie kamienie powędrowały w kieszeniach amerykańskich do ich zbiorów, a w girlandach kwiatów na powierzchni lśniącego marmuru w Agrze zostały przerwy, luki i ślady barbarzyńskiego wylupywania. Obecnie władze angielskie lepiej już trochę tych cennych zabytków pilnują, nie sądzę jednak, by można było upilnować, używając do dozoru krajowców tylko. z których każdy, za parę rupij przymknie



DELHI. — KUTAB MINAR.

oczy w odpowiedniej chwili lub też i sam do-
pomoże.

Wracając jeszcze do pałaców w forcie Agry, to jako całość mniejsze na mnie zrobiły wrażenie marmurowe pałace szach Dżebana, niż skromny stosunkowo, z czerwonego piaskowca stary pałac wielkiego Akbara. Równie oryginalnej i szczęśliwej mieszanki stylu, maurytańskiego i stylu świątyń Dżajnów nie ma nigdzie w Indjach. Całość o dziwnych, egzotycznych formach, a zarazem pełna smaku i harmonii.

* * *

W Agrze, mieście pomników architektury, są i rzeczy brzydkie, są nawet nieznośne. Hotel, w całym ujemnym tego słowa znaczeniu indyjski, kuchnia tak indyjska, że aż ogień czuje się w ustach i gardle i pragnienie nie do ugaszenia. Angielskie t. zw. ogrodowe miasto, banalne i brzydkie. W bazarach i w mieście krajowców tumany pyłu wprost nie do wytrzymania.

Widzieliśmy jednak w tych bazarach prześlizczone wyroby indyjskich rękodzieł: roboty w marmurze, sadzonym kamieniami kolorowymi t. zw. pietra dura, wyroby z kości słoniowej nad podziw piękne, brzozy, stare materye i dywany. Niestety, czasu dużo i cierpliwości mieć trzeba, by coś prawdziwie ładnego kupić, a nie przepłacić!

Amerykanie, płacący bajeczne sumy często bez targu, zdemoralizowali zupełnie kupców, z których każdy teraz próbuje, czy przypadkiem nie ma z głupim a bogatym do czynienia. Targować się też trzeba w sposób niesłychany a i tak nieraz później przekonuje się, że za drogo się zapłaciło lub też kupi się nieraz coś całkiem niespodzianie i wbrew woli. Kupiłem np. w jednym ze sklepów bazaru brązową wieloramienną Durgę po długich targach za 10 rupji. Później na stacyi kolei zaofiarował mi wędrowny przekupień zupełnie taką samą brązową figurę bogini na sprzedaż. Z ciekawości spytałem się, ile żąda: 20 rupji była odpowiedź. Nie chcąc kupować drugiego takiego samego przedmiotu i by się kupna pozbyć, powiedziałem, że dam 4. rupie. Przekupień oddalił się wśród gestów głębokiego oburzenia. Wrócił jednak po chwili z propozycją, że wyjątkowo za 8 rupji sprzeda. Podniosłem cenę na 5 rupji; tymczasem dano sygnał do odjazdu pociągu i mój przekupień zgodził się w tej chwili. Za połowę poprzednio zapłaconej ceny zostałem właścicielem drugiej Durgi. Takich samych mniej więcej niespodzianek przy zakupach miałem potem w Indyach nie mało.

Z nowożytnych ciekawości Agry, które zwiedzaliśmy, muszę jeszcze wymienić wielką w rękach niemieckich znajdującą się pracownię dywanów oraz wzorowe centralne więzienie dla kra-

jowców, z którego Anglicy słusznie całkiem są dumni i z widoczną satysfakcją turystów po więzieniu oprowadzają. Urządzenia wszystkie, cele dla pojedynczych więźniów, wspólne sale więzienne, warsztaty przymusowych robót, kuchnie i jadalnie, wszystko to mogłoby za model służyć w Europie, gdzie zapomniano niestety pod wpływem nierozumnej czułościowości, że więzienie ma być karą poprawczą, tak urządzoną, by nie budzić pragnienia — powrotu.

Tu, w więzieniu dla krajowców w Agrze, praca przymusowa jest istotną ciężką pracą, więzienie istotną karą, bo i o kijach, tym najdzielniejszym dla zwyrodniałych jednostek środka pedagogicznym, nie zapomina się, i często się je, dla zaostrzenia kary więziennej lub za przestępstwa przeciw karności i porządkowi więzieniu stosuje. Żywi się więźniów dostatnio i wszyscy wyglądają dobrze, ale żywi się ich tak, by to było może obficie, ale nie lepiej, niż każdy w domu jest przyzwyczajony. Głównym pożywieniem jest ryż. Na dodatki do swego ryżu musi sobie każdy więzień pracą w warsztacie zarobić. — Omasta, korzenie, jarzyny do ryżu są nagrodą wydatniejszej, nadobowiązkowej pracy. Kto tylko wyznaczoną mu pracę wykona, dostaje sam suchy ryż lub prażone ziarno, bez dodatków; kto nie wykona żądanej pracy, dostaje w dodatku do ryżu, kije. Kto

wykona więcej, dostaje żadaną omastę i przyprawy.

Z cen uzyskanych za wyroby więźniów, tworzy się fundusz, z którego każdy po skończeniu kary więziennej otrzymuje swój udział, najczęściej w naturze, w narzędziach pracy i urządzeniu warsztatu.

Podobno te więzienia w Indyach urządzone są całkiem dokładnie według tych przepisów, jakie przed trzema wiekami wydał wielki Akbar.

Tak mi przynajmniej opowiadano.

DELHI I GWOLIOR.

Delhi. — Miasto namiotów. — Zakładanie nowej stolicy. — Groźby Bengalczyków. — Powody przeniesienia stolicy. — Rozmowa z Prusakiem. — Największy w Indjach meczet. — Dżama Maszid. — Zamek Wielkich Mogołów. — Po zamachu na wicekróla. — Tszandni Czauk. — Bazary indyjskie. — Ich charakter. — Apteki hinduskie. — Tandeciarnie i ich skarby. — Kampania delhicka. — Jej zabytki. — Obiad hinduski. — Gwolior. — Stare pałace i świątynie. — Nowe miasto Laszkar. — Pałace maharadży. — Wasale Anglii. — Ich bogactwa. — Ambicye i próżności. — Szkoła książąt. — Rezydenci angielscy.

Z Agry do Delhi (czyt. Deli) droga nie długa, ale nad wyraz brzydka i nudna. Szara, bezbrzeżna, spalona słońcem, gdzieniegdzie ruinami zasiana równina. Wśród tej rozpaczliwie smutnej kampanii obecne miasto Delhi a naokoło drugie miasto: białych, mniejszych lub większych namiotów. W namiotach mieszkają przeważnie Europejczycy, zwłaszcza urzędnicy i wojskowi an-

gielscy, dla których w mieście miejsca już nie stało.

Wśród kolonii namiotów pozaczynane mrowane wielkie budynki, składy kamienia, cegły, stopy żelaza, cementu i innych materiałów budowlanych; tysiące robotników pracuje przy sełkach pozaczynanych budowli. Masę wojska angielskiego i krajowego widzi się wszędzie. Czarni żołnierze w żółtych khaki mundurach i wysokich turbanach, i biali w jaskrawo czerwonych kurtkach, szkockich spodnicach z gołemi kolanami. Wspaniałe krajowe gwardye wicekróla ubrane w szkarłat i złoto widzi się również często. Snuje się to wszystko i odbywa ćwiczenia wśród pozaczynanych murów i tysięcy białych namiotów.

To Anglia po świeżo ogłoszonym na ostatnim koronacyjnym darberze przeniesieniu stolicy cesarskiej Indyi z Kalkutty do Delhi, buduje forsownie z nakładem olbrzymim, który na pół miliarda rupii obliczają, nowe gmachy, pałace, na pomieszczenie wojsk, urzędów i naczelników władz oraz urzędników w nowej stolicy. Tymczasem zaś mieści się wicekról w skromnym białym domu za miastem, a dom i ogród otoczony w dzień i w nocy licznymi oddziałami szkarłatnych gwardyj i jeszcze liczniejszymi europejskich wojsk angielskich. Zbliżyć się do tego domu nie wolno.

Roboty budowlane idą szalenie spiesznie. Opowiadano mi, że za pół roku już wszystko będzie gotowe: i wielki pałac wicekróla, i pałace dla gubernatorów i generałów, i nowe hotele, i koszary i gmachy na urzędy i setki nowych domów na mieszkania.

Być może. Bo Anglicy nie znają trudności żadnych, mogą, gdy będzie trzeba, miliardy na budowę indyjskiej stolicy poświęcić.

Tymczasem jednak trudno znaleźć umieszczenie w trzechkroć stotysięcznym Delhi. W programie naszym było najpierw zwiedzić Delhi, a potem dopiero o wiele ciekawszą Agrę. Niestety jednak w żadnym hotelu miejsca nie było. Musieliśmy zmienić plan i najpierw jechać do Agry, mając obiecanne pokoje w hotelu dopiero o trzy dni później.

Istotnie dostaliśmy po przyjeździe z Agry pokoje bardzo liche i ciasne, z bardzo prymitywnymi łazienkami, w przepelnionym rzeczywiście hotelu. Widzieliśmy łóżka dla tych, dla których już miejsca nie było, w sieniach i pod kolumnadą hotelu; prócz tego liczne porozbijane hotelowe namioty.

Nawa stolica anglo-indyjskiego imperyum wygląda jak obóz wojenny i skład materiałów budowlanych. Złoto płynie do miasta wciąż rosnącą falą. Hotelarze, kupcy i wogóle stali mieszkańcy miasta rozpromienieni i szczęśliwi. Mi-

liony będą im płynąć do kieszeni, bo już teraz ceny placów budowlanych o 300 procent podskoczyły.

Natomiast w opuszczonej, milionowej dotychczasowej stolicy Kalkucie, płacz i zgrzytanie zębów. Ceny domów spadły o 50 proc., place budowlane żadnej już nie mają wartości, szereg bankructw notują, więcej jeszcze grozi. Rozwściekieni mieszkańcy i wszyscy Bengalczycy wogóle zaczynają tworzyć obóz niezadowolonych i do wszystkiego gotowych.

Już w chwili uroczystego wjazdu wicekróla do Delhi zorganizowano zamach skrytobójczy zapomocą rzuconej bomby. Kilku ludzi zginęło. Wicekról ranny ocalał, ale do tej chwili nie przyszedł jeszcze do zdrowia. Bengalczycy grożą nowymi zamachami na wicekróla i dygnitarzy angielskich, którzy nie czują się bezpieczni, choć są pod osłoną całych pułków europejskich wojsk. W Anglii i wśród Anglików w Indjach zdenerwowanie rośnie.

Są to wszystko następstwa przeniesienia stolicy. Czy nie za pospiesznym, czy nie za ryzykownym był ten krok, który cofniętym już być nie może, bez względu na następstwa? Jaki był powód tego przeniesienia?

Anglicy tłómaczą to tradycjami indyjskimi, urokiem starej stolicy i tem w całym Hindostanie od wieków utrwalonem przekonaniem, że kto

panuje w Delhi, ten jest prawowitym panem Indyj, że właściwą stolicą rządu Indyj tylko Delhi być może; że dla zadośćuczynienia temu przekonaniu, nie gdzieindziej, tylko właśnie w Delhi przyjmował od lat szerzegu wicekról Indyj wszystkich książąt Indyj na uroczystym darberze; że tę tradycję, głęboko tkwiącą w przekonaniach setek milionów w Indjach, należało utrwalić i wyzyskać na swą korzyść, przez stałe przeniesienie tu stolicy; że dalej położenie Delhi jest więcej centralnem, a klimat chłodniejszy i o wiele zdrowszy, niż w gorącej, palonej żarem słonecznym Kalkucie, gdzie Europejczyk tylko przez parę zimowych miesięcy wytrzymać może, na pół roku zaś musi uciekać w góry.

Tak mówili Anglicy. Ale z innej znów strony — od człowieka znającego doskonale Indye i tamtejsze stosunki, a dla Anglii nieprzychylnie usposobionego — od Prusaka, którego w podróży poznałem, słyszałem o innych powodach przeniesienia stolicy.

Ten krok Anglii — mówił mój informator — to dowód strachu i słabości. Rządy angielskie w Indjach posługują się wprawdzie zasadą „*diwite et impera*“, ale ostatecznie na czemś i na kimś oprzeć się muszą. Wśród licznych, ruchliwych i zuchwałych Bengalczyków w Kalkucie już od dawna nie czują się władcy angielscy bezpieczni. Przez niezręczność i fałszywą polity-

kę potrafili sobie zrazić i zapędzić do obozu zdecydowanych i na wszystko gotowych wrogów Anglii — kilkudziesięciomilionową rzeszę bengalskiej ludności. Niebezpieczeństwo wybuchu w Kalkucie rosło z każdym dniem. Trzeba było z tamąd uciekać, a przynajmniej władze centralne i króla, ten symbol najwyższego zwierzchnictwa Anglii, z tamąd wywieść.

I trzeba się było na kimś oprzeć. Na Hindu-sach, którymi kierują Bengalczycy, nie można; sprobowano więc oprzeć się na 80 milionach Mahometan w Indyach. Największy procent Mahometan żyje w północnych Indyach. Delhi, to przeważnie mahometkańskie miasto. Więc dać Mahometanom ponętny cukierek, napchać ich kieszonki i pogłaskać ich ambicje przez przeniesienie stolicy do ich głównego miasta, do Delhi. To była cena, zapłacona za poparcie Mahometan.

Takie wyjaśnienie otrzymałem od znajomego Prusaka. Czy prawdziwe i bezstronne, nie wiem. Informator mój bowiem nie krył się wcale z głęboką nienawiścią do wszystkiego, co angielskie. Rządy angielskie w Indyach są tyrańskie — mówił mi — ludność doprowadzona już do ostateczności.

— A jednak — zauważyłem — ta ludność azjatycka i ciemnoskóra, te 100 ludów mówiących 100 językami, mają swe szkoły narodowe, swój język w sądzie i urzędzie, na każdym kroku

widzi się krajowych urzędników, mają zupełną wolność religijną. Ani zaś śladu z tego wszystkiego nie mają n. p. Polacy w Prusiech.

Na to nie otrzymałem już odpowiedzi, tylko zapewnienie, że „polityką się nie zajmuje“, a tylko znając azyatyckie stosunki, może mię zapewnić, że panowania Anglii w Indyach i Egipcie wisi na włosku, i że nie długo przyjdzie sądny dzień na Anglię, tyle nienawiści wszystkich ludów świata przeciw niej się nagromadziło.

— Przeciw Prusom nagromadziło się jej chyba jeszcze więcej i w Azji i w Europie — odparłem, przerywając rozmowę, które już niemiłą być zaczynała.

* * *

Pominąwszy ścisk, złe pokoje i złą obsługę w hotelu, trafiliśmy z naszym przyjazdem w Delhi bardzo dobrze. W nocy bowiem szalała burza i deszcz lał strumieniami, jakby tuż tuż nowy potop miał nastąpić. Nad ranem wypogodziło się zupełnie, powietrze ochłodziło się znacznie. Na ulicach kałuże wody, i pyłu, tej plagi miast indyjskich, ani śladu. Przy tem temperatura przemiła. Tylko 16^o R. w cieniu. W najlepszych więc humorach, z miłym uczuciem świeżości sił, zabraliśmy się do zwiedzenia Delhi.

Pierwsze odwiedziny należały się oczywiście olbrzymiej Dżama Masjid, największemu w In-

dyach, a jak twierdzą i największemu na świecie meczetowi, wybudowanemu przez Szah-Dżehana. Śliczny i rozmiarami potężny, z czerwonego piaskowca o trzech ogromnych kopułach. Wniosłe schody kamienne wiodą na platformę, na której się wznosi. Nam jednak temi schodami iść na górę nie wolno; wskazują nam mniejsze, boczne; główne bowiem przeznaczone są tylko dla imperatora Indyi i jego zastępcy, wicekróla.

Front świątyni imponuje okazałością; pełne wdzięku są też smukłe minarety. Wnętrza właściwego, zabudowanego nie ma. W tym klimacie to niepotrzebne. Pod kolumnadą jednak i na dziedzińcu meczetu może się pomieścić, jak zapewniają, 100.000 ludzi.

Po meczecie przychodzi kolej na zamek Wielkich Mogołów, na fort. Porównania z zamkiem monarszym w Agrze ten zamek wytrzymać nie może. Podczas gdy wśród labiryntu pałaców, hal, łaźni i meczetów w Agrze, wszystko utrzymanem jest w dobrym stanie, tu na zamku w Delhi pozostało stosunkowo nie wiele. Szerokie przestrzenie, na których niegdyś stały pałace, zabudowali Anglicy swymi brzydkimi, banalnymi koszarowymi budynkami. Wśród budynków angielskich i wolnych przestrzeni utrzymały się jednak i tutaj prawdziwie cuda architektury.

Wchodzimy najprzód do hali audyencji publicznych. Owiewa nas od razu powietrze starych

Indyj; tu żyją jeszcze duchy Wielkich Mogołów. Ta hala Diwan — i — Am, dzieło również Szah-Dżehana, piękniejszą jest o wiele od tego samego nazwiska hali na zamku w Agrze. Zachwyca spokojem linii i bogactwem szczegółów. Biały marmur i mnóstwo drogich kamieni użyto do ozdobienia hali wewnątrz girlandami kwiatów i owoców na sposób pietra dura, który tu w tej hali doprowadzono do najwyższego stopnia doskonałości. Jedną tą halą przekonuje nas, że nawet po zwiedzeniu Agry warto było przyjechać i do Delhi.

Tu stał niegdyś, uważany za jeden z cudów świata, głoszący tron Wielkich Mogołów, w którym same tylko drogie kamienie szacowano na 30 milionów rupji (około 50 milionów koron). Tron ten ma się jeszcze podobno znajdować, choć obrabowany z najcenniejszych drogich kamieni, w Teheranie.

Druga z kolei, hala prywatnych audyencji, Diwan — i — Khas, równie wspaniała, ale więcej jeszcze ceniona i sławiona przez Anglików, bo tu odbywały się główne historyczne momenty w ich walce o Indye, tu ogłoszono cesarstwo indyjskie i potem obchodzono najświetniejsze „darbery“. Natomiast tutejszy „perłowy meczet“ choć bardzo sławny, nie wywołuje szczególniejszego zajęcia; traci w porównaniu z wielkim meczetem tutejszym i z małym perłowym meczecikiem w Agrze.

Resztę dnia, poświęcamy zwiedzeniu bazarów Delhi. Udajemy się powozami na tutejszą Muski Tszandni Czauk, przez Anglików srebrną ulicą, Silver Street nazwaną. Pokazują nam dom, z którego w czasie nie dawnego uroczystego wjazdu wicekróla na słońiu, rzucono na niego bombę. Sprawcy dotąd nie ujęto, mimo wysokich nagród wyznaczonych przez rząd za wskazanie jego śladów. Mówią, że należący do spisku Bengalczycy otruli odrazu właściwszego sprawcę, i że trupa znaleziono przy przeszukiwaniu domu.

Opowiadają, że nowe zamachy się gotują. Bajecznym, oryentalnym i monarszym przepychem otoczone, pierwsze w angielskim imperyum po królu stanowisko wicekróla Indyj, staje się coraz bardziej trudnym i niebezpiecznym posterunkiem. Dawniej wicekról musiał być bardzo nieszczęśliwy, gdy po upływie pięciolecia musiał ustępować i zapadać w cień powszedniości. Dziś łatwiej może przyjdzie każdemu wielkiemu Mogołowi składać po pięciu latach władzę nad 350 milionami i o pompie zapomnieć, jeżeli tylko uda mu się ująć z życiem.

Masowy jakiś bunt, powstanie w Indjach Anglii nie groźne. Zbyt wiele mają wojska, okrętów i rozległą sieć kolejową, pozwalającą wielkie siły w dniach kilku zgromadzić w jednym punkcie. Zresztą wobec rozdarcia ludów Indyj na

setki szczepów, wyznań religijnych i kast, o powstaniu w całych Indjach nie może być mowy. Ale wobec garstki sprzysiężonych rewolucjonistów bengalskich, operujących bombą i brownin-giem, czują się władcy angielscy — bezsilnymi. Robią co mogą, by się zabezpieczyć. Przywóz i sprzedaż broni i amunicji w Indjach poddana jest niesłychanie czujnej, drobiazgowej kontroli. O każdym przywiezionym sztuczu myśliwskim, o każdym rewolwerze wiedzą władze angielskie doskonale i czuwają, by się nie dostał w niepo-wołane ręce. Ale na to, by na miejscu potaje-mnie nie fabrykowano bomb, nie ma sposobu.

Na Tszandzi Czauk, głównej ulicy bazarów Delhi, otacza nas odrazu to, co w Indjach zaw-sze najciekawsze: rojne, błyszczące wszystkimi barwami tęczy, przenoszące nas myślą gdzieś w czasy włoskiego quattrocenta, życie ludowe. Próbujemy wysiąść z powozów, przejść się wśród tłumów i zaglądnąć do sklepów. Ale to okazuje się wnet bardzo ryzykownem przedsięwzięciem. Bo gdy ucieknie się jakoś szczęśliwie przed roz-bestwionym (nie wiadomo dla czego) świętym by-kiem lub krową, to nie umknie się z pewnością przed napastliwością kupców, którzy gwał-tem ciągną do swoich sklepów.

— Chodź Sahibie i zobacz mój sklep i moje towary. Nie potrzebujesz nic kupować. Przyje-mnością mi będzie, jeżeli tylko zechcesz usiąść

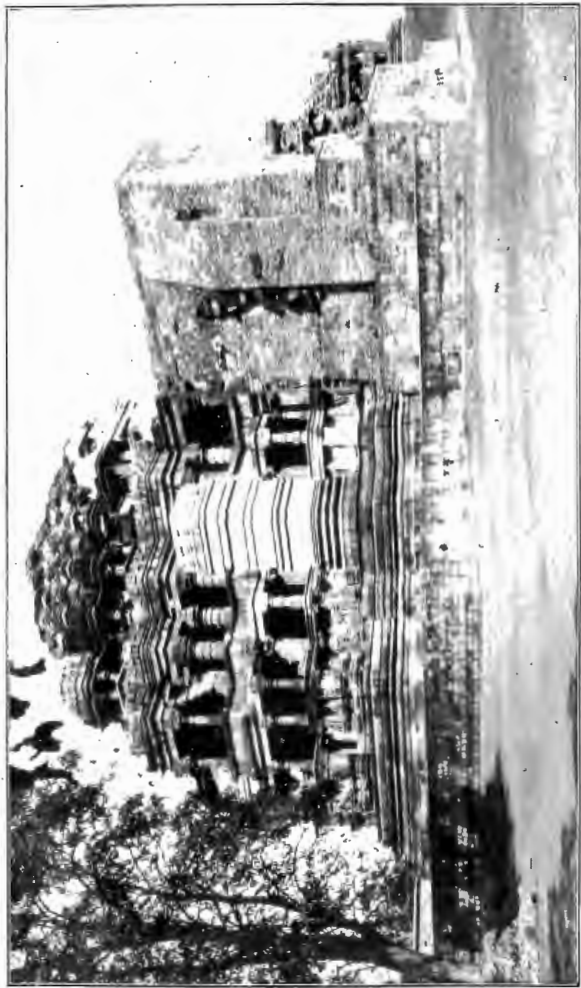
u mnie i pozwolić pokazać sobie jakie nadzwyczajne i tanie rzeczy posiadam.

Tak brzmi zwykła śpiewka każdego kupca. I istotnie kupcy ci czasu mają pod dostatkiem. Gdy wejdiesz, przewrócą ci cały sklep do góry nogami. Pokażą wszystko, od najdroższych i najrzadszych rzeczy zaczynając. I chociaż po dwóch godzinach oglądania i targowania się, nie kupisz nic, odprowadzą cię uprzejmie do powozu, życząc szczęścia i błogosławieństwa bożego i ostrzegając przed lichymi towarami konkurenta. Swoją drogą nie często się to trafia, by się wyszło, nic nie kupiwszy. Takie śliczne i oryginalne mają rzeczy, tak umieją je zachwalać i sławić, i tak zrećźnie pokazywać. Specjalnością Delhi są zwłaszcza hafty, materye złotolite, mozaiki w marmurze, wyroby z kości słoniowej i emalie.

* * *

Bazary w Delhi są typowe dla całych Indyj, dla każdego miasta olbrzymiego półwyspu. Ten sam rozkład, ten sam rodzaj, to samo urządzenie kramów i sklepów powtarza się w mniejszych lub większych rozmiarach w każdym innym bazarze. Chcę więc bazary w Delhi, jako typowy przykład pokrótce opisać.

Przedewszystkiem charakterystyczny zapach bazarów. Trudno określić z czego on się składa. Pot ludzki, przypalone włoki ludzkie, odchody



GWOLIŃ. — RUINY ŚWIĄTYNI DZIAJNÓW.

i assafoetida pomieszane z wonią kwiatów, owoców, olejów i tłuszczów, safianu, korzeni i sandałowego drzewa. A dla wzroku wrażenie nie mniej rozmaite. Rojny, kłębiący się, kupczący i wrzeszczący tłum, z którego błyska tu ognisto czerwony turban, tam ognisto czerwona szata i dalej wszystkie gorące barwy, wszystkie odcienia szkarłatu, złota, barw żółtych, pomarańczowych i wreszcie fioletu. Nie brak i barw zimnych, niebieskości, błękitów i wszystkich odcieni jaskrawej zieleni, choć na ogół biorąc, przeważają barwy gorące.

Co do kramów i sklepów, to ich układ i porządek jest mniej więcej taki: Rozpoczynają szereg sklepów sprzedający zboże. Pod ciemnym, prymitywnym dachem kram, a w nim i przed nim całe piramidy koszów z jęczmieniem, grochami i fasolami rozmaitemi, pszenicą, mąką, ryżem, cukrem i t. p. Koło sklepu obłężenie. Wielu kupuje za miedziaka trochę mąki, kaszy lub ryżu oraz soli i zawija to razem w węzeł na rogu szaty. Bogatsi kupują jeszcze za drugiego miedziaka trochę topionego masła lub kwaśnego mleka, zawijając to w tulejkę z zielonego liścia. I mają już co jeść na cały dzień. Magnaci lub zbytńicy kupują jeszcze za trzeciego miedziaka i chowają w róg turbana trochę cukru i herbaty, a czasem i za czwartego suszone owoce, tarte orzechy, pieczywo, ziemniaki

lub tłuste słodczy. Taki najzbytkowniejszy już w hinduskich pojęciach posiłek kupuje się za 1 annę tj. naszych 10 halerzy.

Po sklepach ze zbożem i pożywieniem, których jest dziesiątki, następują sklepy, a zarazem i warsztaty złotników. Sklep taki, to podwyższenie pod daszkiem, z małym kociołkiem w środku, w który złotnik dmucha swą dmuchawką. Sklepy te obchodziliśmy zawsze z daleka, bo nam mówiono, że złotnik hinduski oszuka nawet własną matkę, tak się już do tego przyzwyczaił.

Następny szereg sklepów, to coś jak hinduskie apteki. Czego tam nie ma w takiej aptece. Tyśiące pudełek, koszyczków, garnuszków, flaszeczek. Najwięcej sprzedaje się opium, które jest monopolem rządowym; ale dostanie tu i takich rzeczy, jak Epsom albo Eno's fruit salt, powszechnie przez Europejczyków używany łagodny środek przeczyszczający. Dostanie też reklamowego odolu do płukania ust. Jest jednak także mnóstwo tajemniczych środków dla krajowców.

Dalej sklepy z ubraniami. Niestety, więcej w nich wyrobów z Manchester i perkalów kolorowych made in Germany, niż krajowych materij. Na żądanie jednak wyciągnie czasem kupiec gdzieś z kąta zawiniątka z wyrobami z Samarkandu, Ispahanu, Benaresu, Medras i Madżu-

ry. I widzimy cudne, złotem przetykane muśliny, jakieś dziwne materye, przeblyskujące srebrzysto na fioletowem tle.

Następnie czysto już hinduskie sklepy spożywcze, gdzie praży się i sprzedaje rozmaite ziarno. Jest tam piec duży, w którym gałązkami, suchym liściem i wyschlłym nawozem utrzymuje się wieczny żar. Pół Indyj żywi się prażonym ziarnem. Wszyscy tu gryzą ziarno prażone: bób, groch, pszenicę i ryż. Niejeden nosi pożywienie na wiele dni: prażone ziarno w węzłach swej szaty lub turbanach. Dalej sklepy z owocami. Najwięcej małych melonów papaja i bananów. Są jednak i gojawy i zielone pomarańcze i orzechy przeróżne i innych mnóstwo.

Gęste chmury much oznajmiają nam już z daleka sklepy z hinduskiemi słodyczami. Łakocie robi się, gotuje, piecze i smarzy w oczach. Są to przeważnie mieszaniny cukru i miodu z mlekiem, śmietaną, masłem i rozmaitymi tłuszczami roślinnymi. Wszystkie te łakocie aż ociekają tłuszczem. Chcieliśmy się przekonać, które z łakoci są najwięcej lubiane i daliśmy po jednym miedziaku żebrzącym koło sklepów dzieciom. Wszystkie poszły kupić t. zw. luddu, robione z trzcinowego syropu i z siadłego mleka, a obwinięte małym srebrzystym liściem. Tylko jeden chłopiec, bardziej widocznie głodny, czy łakomy, wybrał hulva, smakołyk pożywniejszy, ro-

biony z mąki, oleju palmowego i cukru, rodzaj ciastka tłustego, którem się można najeść. Wszystko to byłoby może i apetyczne, gdyby nie miliardy much, siadających na nosie lepkiemi, ocukrzonemi łapkami.

Za sklepami cukierników muszą być naturalnie sklepy z napojami, bo kto się naje takich tłustych, upstrzonych przez muchy słodkości, musi mieć odrazu pragnienie. W sklepach z napojami dostać można oprócz wody zwykłej i ocukrzonanej, którą się nalewa z wielkich mosiężnych naczyń do małych mosiężnych czarek, także wody z sokiem tomaryndowym, lemonady, wody sodowej, a niemniej wódki. Dalej kuchnie i restauracje, w których się smaży i gotuje rozmaite jarzyny z tłuczonymi korzeniami, ryż z kari, pilaw itp.

Wreszcie — najciekawsze w całym bazarze sklepy ze starymi rzeczami, tandeciarnie. Czego tu nie ma! Między stosami bezwartościowych rupieci można znaleźć perły prawdziwe, można znaleźć broń starą i tkaniny przedziwne i mosiężne naczynia i stare sprzęty i bogów oraz demonów z marmuru, drzewa, brązu, mosiądzu i kości słoniowej. Jedyne to sklepy, do których warto zaglądać i można tanio coś pięknego kupić; ale trzeba mieć masę czasu i cierpliwości i umieć się targować.

Tak wyglądają wszystkie bazyry miast Hindostanu. Ta tylko różnica, że inne sklepy z wy-

robami miejscowego rękodzieła, z lokalną specjalnością. Zresztą jeden bazar indyjski podobny do drugiego; różnica tylko w rozmiarach, okazałości i typach ludzkich.

Drugi dzień pobytu w Delhi, po zwiedzeniu fortu, meczetów i bazarów, poświęciliśmy w całości na objazd kampanii delhickiej z ruinami miast, poprzedniczek obecnego Delhi, jakie przed tysiącami i setkami lat tu istniały i opuszczone leżą w ruinie. Tu na tej kampanii, na tej smutnej, nieprzejranej, ruinami miast, świątyń i grobowców zasianej równinie jest poezji smętnej i uroku dużo. Dopiero tu poznaje się dawną wielkość i sławę, dawne znaczenie i nie zblakły dotąd urok miasta Delhi. W ruinach już całkiem leżące Indrapat i cyklopowymi murami otoczone Tuglabad i Firozabad; meczety i świątynie, jedne w ruinie, inne jeszcze utrzymane dobrze; grobowce, jak Wielkiego Mogoła Humajuna, wśród ogrodów i bram, równe rozmiarami, ale gorsze i słabsze poprzedniki boskiego Tadżu; jak klejnot przepyszny, mały grobowiec poety, papugi Indyi tz. Kusrau; wreszcie potężny Kutab Minar, minaret strzelisty na znak zwycięstwa przed wiekami postawiony, któremu co do wysokości dopiero wieża Eifla zwycięską zrobiła konkurencję. I słupy króla Asoki żelazne, z napisami w piśmie Pali przed 24 wiekami na cześć Buddy i dla rozszerzenia jego nauki postawione.

I dalej koło ruin Indrapatu stylowy, doskonale jeszcze utrzymany meczet Kila Kana; grobowiec świętego Nizam - ud - din Aulia; szereg innych przepięknych i bardzo nastrojowych grobowców; głębokie rzęsą zarosłe baseny, otoczone grobowcami i wysokimi murami z kamienia. A na szczytowym murze szereg nagich brązowych postaci chłopców, skaczących za pieniądze z wysokości 20 metrów do zielonkawej gęstej wody.

Dzień cały trwała nasza wędrówka wśród niezmiierzonych przestrzeni ruin. Widzimy wśród tych ruin kwitnące wioski krajowców i mamy sposobność przypatrzeć się życiu tych wiosek, zajęciom rolniczym i rękodziełom wioskowym, zwłaszcza garncarstwu.

W schronisku dla turystów t. zw. Dag bangało przy Kutab Minar jedliśmy obiad bardzo hinduski. Zupa pieprzna, jak piekło; wszystkie inne potrawy z pieprzem, papryką i rozmaitymi korzeniami; na deser konserwy z niebywale ostrych owoców „dżyndże“, a czarna kawa wprost nie do połknięcia, bo gotowana z palonego pieprzu bez śladu kawy prawdziwej. Do popicia ogromnie pieprzny i korzenny trunek, dżyndżerbir, oczywiście całkiem ciepły. Koroną wszystkiego była owa czarna kawa. Zabawną była nasza wzajemna złośliwość: kto bowiem pierwszy umoczył usta w tej kawie, nie ostrzegł bynajmniej towarzysów niedoli, lecz przeciwnie chwa-

lił bardzo, śledząc pilnie miny, jakie robić będą inni, gdy tego nektaru skosztują. Obiad ten jednak, choć okropny, nie zaszkodził nikomu z nas. Widocznie korzenne ostre przyprawy są pewnem antydotum przeciw otruciu się takim jadłem.

Z wysokiej wieży Kutab Minar widok bardzo rozległy na niezmierną, szarą płaszczyznę, usianą ruinami, a zieleniącą tylko gdzieniegdzie runią zbóż koło nielicznych wiosek.

Późno w noc powróciliśmy z tej wędrówki do naszego hotelu w Delhi, by się posilić, zabrać rzeczy i jechać dalej — przez Gwoliar do Benares

* * *

Wśród płaszczyzny — na sto pięćdziesiąt metrów stercząca skała, 2 kilometry długości i 600 metrów szerokości; na tej skale stare zamki maharadzów Gwoliaru: warowne, majoliką wykładane mury, stare dziwaczne świątynie i świątynie podziemne w skale kute, wreszcie 30 metrów wysokości postacie bogów hinduskich i dżajnowskich, rzeźbione w litej skale. To stary Gwoliar — twierdza niegdyś w całych Indyach najpotężniejsza, stolica mahradzkich władców — maharadzów Gwoliaru z rodu Sindja. W oddali od skały warownej, na równinie białe nowe miasto stołeczne, z nowymi, ślicznymi pałacami maharadży: Laszkar.

Przybywszy koleją do Gwolioru znaleźliśmy zamówione naprzód pomieszczenie w jednym z pałaców maharadży u stóp skały, przerobionym obecnie na hotel dla europejskich turystów. Przed laty przyjmował maharadża każdego zatrzymującego się tu Europejczyka, jako swego gościa, dając mu do rozporządzenia jeden ze swych pałaców, służbę, kuchnię i słonie wierzchowe. Później gdy turystów europejskich zaczęło przyjeżdżać coraz więcej, opiekunowie angielscy na tę gościnność zaczęli się patrzeć krzywem okiem i zapragnęli baczną nad tem rozciągnąć kontrolę, zaniechał maharadża zwyczaju przyjmowania wszystkich Europejczyków; przerobił natomiast jeden ze swych pałacyków na hotel, powierzając kierownictwo doświadczonemu Niemcowi. Jest to teraz jeden z najlepiej urządzonych hotelików w Indyach. Jedzenie wyborne, obsługa bez zarzutu. Pokojów sypialnych nie potrzebowaliśmy, mając zamiar tylko przez 8 godzin się tu zatrzymać, a nocą jechać dalej do Benares.

Po smacznym posiłku dostajemy powóz i ruszamy ku wyniosłej skale zamkowej. Niestety jednak tylko do stóp skały dojechać można powozem. Potem drapać się trzeba piechotą, w zakosy wykutą drogą, w żarze słonecznym, znacząc drogę gęstymi kroplami potu. Po godzinnym przeszło, wolnym, ale bardzo uciążliwym marszu

w górę, wyczerpani zupełnie, stajemy nareszcie przed bramą zamkową, u stóp długiego, gdzieś w nieskończoność ciągnącego się muru warownego. Mur z różnokolorowego kamienia, wykładany barwnymi błyszczącymi ceglami majolikowymi. Wzorem najpiękniejszym na tych majolikowych kaflach i najczęściej się powtarzającym są biegnące jedna za drugą kaczki. Na murze szereg wieżyczek, nakrytych hinduskimi daszkami, bastiony, wykusze i wgłębienia framug. Równie dekoracyjnego muru warownego nigdzie jeszcze dotąd nie widziałem.

Przeszedłszy wspaniałą bramę mamy przed sobą pięć pałaców władców Gwoliuru. Wszystkie już opuszczone, niektóre jednak w dobrym stanie, jeszcze inne w ruinie. Najpiękniejszy — Man Singh Mandir — dalej Tikram Mandir, Karan Mandir i wreszcie dwa pałace, noszące imiona zwierzchników władców Gwoliuru, wielkich mogołów Dżehangira i Szach Dżehana. Ale ciekawszymi i oryginalniejszymi niż stare pałace, są odwieczne świątynie, tak dziwnie fantastyczne, że patrząc na nie, oczy się przeciera ze zdumienia, i myśli, czy przypadkiem nie znalazło się na jakiejś innej planecie.

Na najwyższym punkcie góry zamkowej wielka świątynia Teli-Ka Mandir, poświęcona Sziwie, zbudowana w IX wieku. Widok z terasu przed nią malowniczy i rozległy. Dalej wielka świątynia

Dżajnów i mała śliczna świątynka, obie z XII wieku, obie z całym lasem kolum rzeźbionych, połączonych łukami rzeźbionymi w girlandy kwiatów, postacie bogów i ludzi. Niema centimetra kwadratowego, nie pokrytego rzeźbą, dziwnie poplątaną, jakby cyzelowany las dziewiczy tropikalny ze splotami drzew, gałęzi, lianów, liści i owoców. Świątynia Teli-Ka Mandir, zwana także od hojnego fundatora świątynią kupca oliwy, jest to budowa kamienna, kwadratowa, o niesłychanie niestosunkowo wysokich, od góry do dołu ornamentalnemi rzeźbami pokrytych ścianach, zwięzających się łukowo ku górze. Wygląda to, jak olbrzymia wieża lub baszta, piramidalna, łukowo zakończona ściętym dachem. Wreszcie gdy się powraca w dół inną drogą, świątynia skalna Chator Bhuj Mandir, i co najciekawsze, cała w skale kuta droga, strzeżona przez szereg kolosalnych, w skale rzeźbionych postaci 15, 20 i 30 metrów wysokości, przedstawiających bogów hinduskich i świętych dżajnowskich. Najogromniejsza postać kamiennego Sziwy, 30 metrowej wysokości. Olbrzym kamienny kąpie stopy w świętej sadzawce czy basenie, wypełnionym przez sączące się święte źródółko.

Na całej górze zamkowej dwa kultury dominują, zmagając się ze sobą okazałością i oryginalnością świątyń i olbrzymiością kamiennych bogów: hinduski kult Sziwy, niszczyciela, i kult

Dżajnów, religia bogatych kupców, współcześnie niemal z buddyzmem przez proroka Mahawirę założona. Kult Sziwy górą jest ogromem i dziwactwem form świątyn i pomników. Dżajнизм jednak tryumfuje artyzmem i przepięknym wykończeniem szczegółów. Oba kulty i ich, kamiennymi pomnikamiznaczona walka o przewagę na skale Gwoliuru, uczyniły z tej sławnej góry warownej jedno z najdziwniejszych miejsc w całych Indyach.

Pod wrażeniem silnem i niezwykłym opuszczamy starą warownię. Jedziemy ku równinie rozległej, do nowego miasta, nowej stolicy państewka: Laszkaru. Poznajemy jedno z najbardziej może indyjskich miast całego Hindustanu. Wspomnienie różanego Dżajpuru idzie w kątowobec tego śnieżnie białego miasta, o ulicach szerokich, ale krętych, wypełnionych tłumami w jasnych szatach, słońmi, wielbłędami, szeregiem szczególnych zaprzęgów. W całym mieście nie ma ani jednego Europejczyka, bo rezydent angielski i jego gwardya mieszcza się daleko za miastem. W rojnych, gwarnych bazarach, pełnych cudów wschodniego aryzmu, przeważa w szatach ludności barwa biała, tak jak śnieżno białymi są wszystkie, często bardzo bogato rzeźbione fronty domów.

Ludność, jeszcze do częstego widoku Europejczyków nie przyzwyczajona, obserwuje nas cie-

kawie i pozdrawia uprzejmie prawie każdy dotknięciem czoła. Oddziały wojsk maharadży, fantastycznie umundurowane i uzbrojone w stare skałkowe karabiny (bo na inne Anglicy nie pozwalają) prezentują przed nami broń. Prawda, że jedziemy powozem maharadży.

Wjedźmy do wspaniałych ogrodów pałacowych i oglądamy z wierzchu oba pałace, starszy i nowszy. Nowy, to jeden z najładniejszych pałaców monarszych, jakie widziałem, ale całkiem europejski: śliczny renesansowy budynek z białego marmuru. Wewnątrz zwiedzać pałaców nie można, bo na to (rzecz dziwna) potrzeba pozwolenia, nie mieszkańca pałacu, maharadży, lecz czuwającego nad jego krokami rezydenta angielskiego, rezydent ten zaś mieszka daleko za miastem, i czasu na udanie się do niego za mało. Nawet jeżeli maharadża kogoś sam zaprosi, to zaproszenie nie może być zrealizowanym bez zgody rezydenta angielskiego.

Rządowi angielskiemu chodzi podobno o to, by mieć ewidencję wszystkich osób, które w pałacu bywają, i ciągłą kontrolę nad tem, kogo maharadża przyjmuje, z kim i o czem rozmawia. Wierność dla Anglii małych królików Indyi nie musi być widać tak pewną, skoro się jej w tak drobiazgowy i drażniący sposób pilnuje. Co prawda, maharadża Gwoloru należy do większych władców. Państwo jego przewyższa wielkością

Bawaryę; jest on też jednym z najbogatszych władców w całych Indiach.

Nie mogąc zwiedzić pałaców, użyliśmy pozostałego czasu na obejrzenie stajni i menażeryi maharadży. Konie w ogromnej ilości, pięknych rzeczywiście dużo, a stajnie (pod gołym niebem) słoni dają nam zobaczyć prawdziwe olbrzymy. Podobno takich słoni, jak możny maharadża Gwoliorku, nie posiada żaden inny z władców Indyj. Oczywiście muszą też być i tygrysy w klatkach. Każdy z książąt Indyj mieć je musi. Tak każe zwyczaj i moda, od której się i w ogrodach pałacowych Laszkaru nie wyłamano. Okazalsze jednak stanowczo i dziksze są tygrysy w Dżajpurze.

* * *

Na zakończenie tej notatki turystycznej o Gwoliorku jeszcze kilka słów o książętach panujących Hindustanu i ich stosunku do anglo-indyjskiego imperyum.

Liczni władcy, Maharadzowie, Maharanowie, Radzowie, Ranowie, Gajkwarowie, Nizamowie, Nabobowie, i jak się tam ich tytuły nazywają, są obecnie wasalami indyjskiej cesarskiej korony, i ten stan rzeczy został przez nich faktycznie uznany w chwili, gdy królowa Wiktorya ogłosiła się w roku 1877 cesarzą Indyj. Obecnie w swych dziedzinach, z których niektóre są ogromne, jak np. Heyderabad, obsza-

rem równy Anglii ze Szkocją i Irlandą, mający 11 milionów ludności, rządzą pod kontrolą angielskich rezydentów, popartych mocnymi załogami wojskowymi. Z losem swoim, szczerze czy pozornie tylko, pogodzili się prawie wszyscy, mając pewność, że wprawdzie muszą we wszystkim słuchać Anglików, lecz za to ci Anglicy gwarantują im i ich następcom spokojne panowanie w ich krajach i używanie niezmiernych bogactw.

Z reguły też słuchają ci władcy bez oporu rad i nakazów angielskiego rezydenta. Czasem się który sprzeciwi i odwoła do wicekróla, lecz jego woli nie opiera się już żaden, bo też i nie może, mając tylko szczupłą, skałkowymi karabinami uzbrojoną milicję wobec doskonale uzbrojonych, licznych wojsk angielskich. Nie mają też ci władcy trosk prawie żadnych, chyba tę jedyłą, by w przepychu sąsiadów przewyższyć, znakomitego Anglika lepiej i wystawniej niż sąsiedni władca przyjąć, mieć lepsze konie, więcej słoń, piękniejsze ogrody i pałace. Mają też tyle żon, ile się każdemu spodoba. Pracować i myśleć, jeżeli nie chcą, nie potrzebują. Anglia za nich myśli, rachuje i walczy. Angielskie armaty chronią ich pałace i oddają im powitalne wystrzały. Anglicy respektują bardzo ich wysokośćie maharadzów i strzelają z lubością ich tygrysy.

Nieszczęściem niektórych książąt indyjskich, są ich małostkowe ambicje. Są tacy, co całe la-

ta i miliony poświęcają na to, by uzyskać wyższe miejsce w anglo indyjskiej liście rang, (którą Anglicy dla książęcych domów prowadzą i od czasu do czasu uzupełniają), lub też by uzyskać większą ilość strzałów powitalnych przy przyjęciach. W tym marnym kierunku wyteża niejedyn władca całą ambicyę i rozwija zadziwiającą a godną ważniejszej sprawy pomysłowość i chytryść.

Te stosunki zaczynają się jednak powoli poprawiać. Od synów władców, którzy w małoletności dziedziczą tron, żądają teraz Anglicy, by byli wychowani i kształceni pod kierunkiem angielskich pedagogów. Założyli w tym celu osobne szkoły dla synów książęcych t. zw. Radschkamara Colleges.

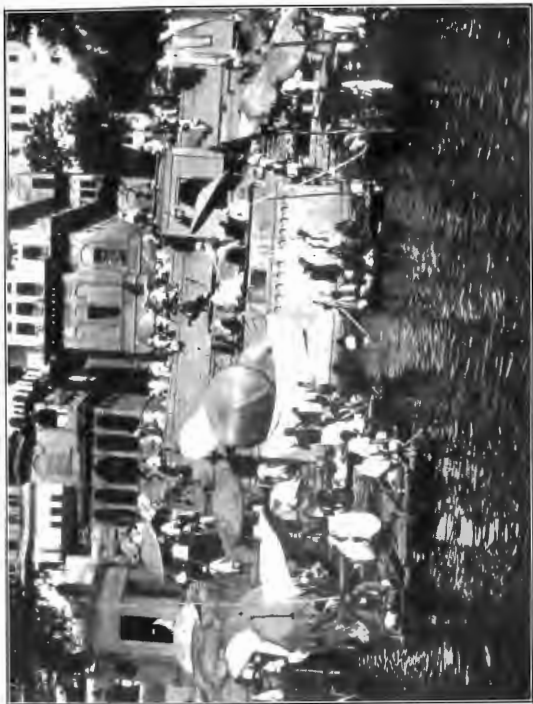
W środkowych Indyach jest taka szkoła w Indor, a w północnych w Aczmir. Ci też młodzi książęta, co wyszli już z tych szkół i odbywali podróże do Anglii, interesują się więcej rządami kraju, dobrem ludności, jej ekonomicznem i kulturalnem podniesieniem. Kilku z tych młodszych odznaczyło się też rzeczywiście milionowymi wkładami w szkoły, szpitale i apteki.

Jest razem w Indyach 153 panujących książąt, lenników anglo-indyjskiej korony. Dochody osobiste tych panujących są olbrzymie. Pochodzą one głównie z podatku gruntowego. Podatek ten w państewkach jest właściwie czynszem dzierżawnym, który płacą uprawiający ziemię posiadacze właścicielowi całej ziemi w państew-

ku: panującemu. Te czynsze, to lista cywilna panującego. Wynoszą one przeciętnie około 6-tej części zbioru i są płacone przeważnie w pieniądzach. W państewkach Radżputary jednak płaci się część w naturze.

Obowiązki władców wobec cesarstwa anglo-indyjskiego są nieliczne. Każdy z wasalów płaci niewielką kwotę, jako przyczynienie się do kosztów utrzymania anglo-indyjskiej armii. Po za tem mają tylko jeden ważny obowiązek: słuchać we wszystkim angielskiego rezydenta. Na każdym dworze jest taki angielski rezydent lub agent, który nad wszystkim czuwa, o wszystkim wicekrólowi Indyi donosi, a często sam z radą lub interwencją wkracza. Stanowisko rezydenta jest nad wyraz odpowiedzialne i trudne, gdyż musi tak swe obowiązki wykonywać, by panującego i jego ministrów bez potrzeby nie drażnić. Trzeba więc tu nie tylko znajomości gruntownej spraw i stosunków, nie tylko energii, ale i taktu niezwykłego. O ile jednak słyszałem, wyznacza rząd cesarstwa na te esko-powane stanowiska najlepszych swych ludzi. Dla poparcia rad rezydenta jest w każdym państewku angielska wojskowa załoga. Załoga n. p. w Hajderabadzie, stojąca pod stolicą w Sikan-drabad, liczy 10.000 wojska.

Dobrze więc strzeżoną jest wierność panujących Hindostanu.



BENARES. — KĄPIELE RYTUALNE.

BENARES.

Międzyrzecze równiny. — Benares i jego znaczenie. — Łodzią po Gangesie. — Rytualne kąpiele. — Święte schody. — Obrzędy palenia zwłok. — Przekłęty brzeg. — Świątynie Benaresu. — Święte małpy i krowy. — Świątynia Nepalu. — Zewnętrzne objawy kultu hinduskiego. — Ascetyzm i zmysłowość. — Kult zwierząt i kult zwierzęcy. — Podstawy kształcenia dusz. — Panteistyczne odruchy. — Hinduizm a umysły europejskie. — Annie Besant. — Jej historia i działalność. — Związki teozoficzne. — Co to jest teozofia? — Tajemna wiedza Indyj. — Kuglarstwo fakirów. — Bazary w Benares.

Droga z Gwoliuru do Benares długa jest i nudna. Ciągłe płaskie, jednostajne choć doskonale uprawne równiny. Przejeżdżamy niesłychanie żyzny i najgęściej w całych Indyach, o wiele gęściej niż Belgia zaludniony kraj Oudh między dwoma świętymi rzekami, Dżamną i Gangesem. Nieprzerwany szereg podzielonych grobelkami

pólek ryżowych, łąny bawełny, indyga, prosa, jęczmienia, maku, ricinusu i t. p. Gęste wioski, obsadzone drzewami mengowemi. Potem od Allahabadu, świętego również miasta, pod którem Dżamna wpada do Gangesu, jedziemy ciągle taką samą, pysznie uprawną, siecią sztucznych kanałów nawodnioną równiną, wciąż w niewielkiem oddaleniu od Gangesu. Wreszcie po 30 godzinnej podróży wjeżdżamy na most na wielkiej rzece. Stajemy w Benares.

Niestety, zwiedzenie najświętszego miasta Hindusów i najciekawszej może na całym świecie miejscowości, wymaga ofiar niemałych. Ofiarą jest niezawodnie przepędzenie paru dni i nocy w jednym z tutejszych hoteli. Są tylko dwa, a jeden gorszy podobno od drugiego.

Ten, do którego zajechaliśmy, jest nad wyraz niemiłym. W bocznym arkadowym budynku pokoje ciemne i wilgotne, z piwnicznym ziemistym zapachem. Przyległa łazienka, to tylko ciemna wycementowana przestrzeń, z kurkiem w ścianie i dziurą w podłodze na odpływ wody, z wiszącym na gwoździu blaszanym, zaśniedziałym naczyniem do polewania się. W sypialnym pokoju liche moskityery. Trzeba jednak przyznać, że owadów niemiłych nie było żadnych, oprócz okazałych w łazience karakonów. Jedzenie znowu bardzo indyjskie. Począwszy od pieprznej zupy aż do zwykłego kari z ryżem i owoców dżyn-

dże, jak ogień palących, je się ogień i gasi się go wodą sodową z wódką i kawałkami lodu. Ale to jakoś nikomu nie szkodzi. Po tem dziwnem jedzeniu najzupełniej jesteśmy zdrowi.

Znajdujemy się w najstarożytniejszem i najświętszem mieście Hindostanu. Bo zanim Benares stał się Mekką hinduizmu, był przedtem w odległej bardzo starożytności centralnym punktem wiedzy i filozofii wedyjskiej, potem świętem miastem buddyzmu, gdyż tutaj to, w Sarnath pod Benaresem dostąpił Budda uświadamiającego go w jego posłannictwie natchnienia. Był też czas, gdy po zburzeniu tysiąca świątyń Hindusów, panował tu za Wielkiego Mogoła Aurangzeba mahometanizm i stąd promieniował na całe Indye.

Ale przedewszystkiem jest Benares najświętszem miejscem hinduizmu bez względu na sekty. Jest Benares dla Hindusów świętszy niż Mekka dla Muzułmanów, bo tu nie jedna świątynia, nie jedno miejsce, lecz całe miasto i ziemia i powietrze i woda w Gangesie jest świętą. Tym, którzy mają szczęście umrzeć w tem mieście lub w okolicy, skąd miasto widać, czy są wyznawcami którejkolwiek z licznych sekt hinduizmu, czy mahometanami czy chrześcianami, choćby byli kłamcami, złodziejami i mordercami, odpuszczone są w chwili śmierci wszystkie grzechy: czyści idą do nieba Sziwy, uwolnieni od dalszych wszelakich wcieleń.

Jest zarazem Benares najwięcej hinduskiem, najwięcej typowem pod względem etnicznym i architektonicznym ze wszystkich miast olbrzymiego półwyspu. Widzi się tu rasy, ludy i plemiona ze wszystkich stron Indyj. Europejczyków nie widzi się tu prawie, z wyjątkiem zimy, gdy turyści całego świata odwiedzają tę nieporównaną w swoim rodzaju osobliwość. Nieopisany, choć pełen ponurego smętku urok rzuca to miasto na każdego turystę, który tu zajrzy. Urok czegoś nie widzianego nigdzie, czegoś w najfantastyczniejszych ponurych snach nie wyśnionego, czegoś absurdalnie nieprawdopodobnego, tajemniczego, okropnego, a tak starożytnego, jakby to z dawniejszych jeszcze pochodziło czasów, niż najstarsze zabytki Egiptu.

Główną ciekawością dla turysty jest rzeka, jej otoczenie i życie religijne na jej brzegu, na kamiennych, zstępujących do wody schodach i w samej wodzie. By dobrze widzieć i dobrze odczuć te widoki, te czary, ten odrębny świat pogański, pełen ruchu, życia, uroczystości, dziwnych jakichś religijnych uniesień, praktyk i obrzędów, trzeba o wschodzie słońca sięść na łódź z szerokim płaskim pokładem, sięść na niej twarzą do brzegu Benares i płynąć zwolna, o ile możliwości jak najbliżej kamiennych schodów i kąpiących się uroczystych tłumów. Pływać tak można po rzece, tam i napowrót, całe długie go-

dziny, nie odwracając oczu od tłumnych brzegów; można zapomnieć i o posiłku i o palącym coraz mocniej słońcu, zapamiętać się całkiem wśród oryginalności tych widoków.

Lepiej jest choćby cały czas pobytu w Benares spędzić na rzece, która jest tego miasta i ciekawością i świętością największą i ulicą główną, niż wysiadłszy na brzeg, przepychać się przez tłumy ludzi i niepodobnych do ludzi ascetów, obłąkańców religijnych, świętych krów i byków nie ustępujących nikomu z drogi, a przepychając się, wdychiwać najstraszniejsze zapachy, najbardziej zabijające, choć według wierzeń Hinduśców, święte wyziewy. Lepiej na rzece, niż zwiedzać świątynie i święte, aż pod niebo woniejące studnie, bo rozchorować się można, gdy widzi się ludzi pijących pożądliwie podobną do gnojówki a nie pachnącą jak sześciodniowy trup, wodę, lub innych, jak rzucają się, gdy święte bydle ogon podniesie, by wyłapać wszystek święty kał i w naszych oczach namazywać się nawozem.

Te wstrętne szczegóły i praktyki giną jakoś dla oczów, gdy patrzy się z pewnego oddalenia z rzeki na te religijne szale. Powietrze też na Gangesie, mimo niedopalonych trupów, pływających i gnijących wieńców kwiatów ofiarnych, znośne przecie, chłodniejsze i względnie nawet czyste.

Zajmującym jest niesłychanie śledzić obrządek świętej kąpieli przy schodach, zbiegających do

wody. Każdy z biorących udział w obrządku — a widzi się ich dziesiątki tysięcy równocześnie — opłaca się najpierw siedzącym na górnych stopniach schodów, pod dużymi trzcinowymi parasolami, braminom. Rzuca ze schodów do wody swą ofiarę z wonnych, białych lub żółtych kwiatów; następnie zaczerpnąwszy ręką wody zwilża nią czoło, oczy i usta. Potem modli się z oczami wzniesionymi w górę, stojąc na jednej, to na prawej, to na lewej nodze, poczem upada i całuje schody święte. Niektórzy wykonują przytem szczególne gimnastyczne sztuki: przewracają koziołki i stają na zgiętym grzbiecie lub na głowie, z nogami do góry itp. Następuje uroczysty ukłon na wszystkie strony świata. Dalej, patrząc w niebo, zaczerpuje wody z rzeki w święte błyszczące naczynie z polerowanego mosiądzu i wylewa powoli do rzeki, poruszając ustami. Wreszcie wstępuje do rzeki, pije dłonią wodę Gangesu, zanurza się z głową, trwa chwilę w wodzie po szyję i wychodzi powoli, namazując ciało mułem rzecznym.

Schodów świętych, prowadzących do rzeki, jest całe dziesiątki, a każde odmienne i otoczeniem spiętrzonych fantastycznie budowli i typami ludzi, którzy na nich siedzą i z nich się kąpią. Każde plemię, każda sekta ma swoje osobne schody, zwane ghatami.

Zaczynając od południa i płynąc wzdłuż brzegu Benaresu, spotykamy najpierw t. zw. Sziwala

ghat: schody, na których pełno ascetów, fakirów, yoginów, symniasi, i t. p. opętańców. Potem Smasan ghat, schody grobowe: na nich grobowe kamienie i nagrobki Sati t. j. wdów hinduskich, które w dawnych czasach dały się spalić żywcem ze zwłokami mężów. Dalej Keder ghat, schody jedne z najzdobniejszych pod względem architektonicznym. Mnóstwo na nich kąpiących się całkiem czarnych plemion z południowych Indyj. Potem Mensarowa ghat, Munszi ghat, Nepali ghat; na każdych kąpią się inne plemiona i narody. Następują najślawniejsze i najświętsze schody Manikarnika ghat, tak malownicze, że oczy trudno oderwać. Są głównymi schodami palenia zwłok i ostatnich grobowych obrzędów.

* * *

Gdy w pierwszym dniu pobytu w Benares przybiliśmy łódką do brzegu Gangesu, by wyjść na Manikarnika gat, czekaliśmy długo — żadnego zmarłego nie przynoszono. Nasz przewodnik przypomniał sobie wtedy, że dojeżdżając, a potem idąc ku Gangesowi, widzieliśmy po drodze wśród tłumów trupa na ulicy i kobietę, zebrzącą na kosztą spalenia zwłok zmarłego męża. Można więc spełnić dobry uczynek i mieć odrazu grobowe widowisko. Idziemy wszyscy na to miejsce. Trup leży pod kamienną ścianą w śmieciach,

a musi już dawno być trupem, sądząc po woni. Wdowa siedzi nad wychudłemi, jak szkielet, zwłokami; już nie żebrze: niemym wzrokiem tylko błaga zmiłowania.

Dajemy pięć rupij na koszta drzewa i opłatę domsów, sprzedających święty ogień do podpalenia stosu. Przywołani grabarze porywają trupa i niosą do schodów. Na najwyższym ich stopniu — niższe należą się bogatym — układają skromny stos biedaka. Żona, jak posąg, przypatrzuje się suchem okiem. Stos gotów. Rzucają nań trupa, jak kłodę, przykrywając patykami. Jeden z domsów niesie płonące łuczywo. W braku męskiego krewnego — bo zmarły przywędrował gdzieś z daleka po śmierć głodową — chwiejąca się na nogach żona dopełnia straszego obrzędu rozbicia czaszki trupa. Potem, dym, swąd przypalonego ciała, ogień — i w pół godziny potem rzucają domsowie popiół i niedopałki w nurty Gangesu.

Dajemy jeszcze kilka rupij wdowie. Rozpromienia się cała. Przewodnik zaręcza, że za te pieniądze może żyć tygodnie w Benares lub wrócić do swoich jeszcze z pieniędzmi.

Następnego dnia widzieliśmy na tych samych schodach dziesięć stosów płonących. Na dolnych stopniach nad wodą wspaniałe z wonnego drzewa stosy bogatych, i jeszcze dwa trupy, całe obwinięte w purpurowe, złotem przetyka-

ne materye, z przewleczonym bambusowym kijem, czekające swej kolei, moknące do połowy w świętym Gangesie. Krewni targują się z domsami o cenę ognia. Targi te odbywają się krzykliwie z całym cynicznym realizmem.

Wstrętem również napełniać musi rozbijanie czaszki zmarłego, leżącego na stosie. Rozbicia czaszki ojca dokonać musi najstarszy syn lub najbliższy męski krewny. Ten akt dziwnej synowskiej w obec zmarłego ojca czułości, ma swe źródło w przesądzie, że dusza złego człowieka wychodzi w chwili podpalenia stosu przez dolny otwór, dusza zaś uczciwego wyjść może tylko z czaszki po jej rozbiciu. Więc rozbicie czaszki przez syna jest dowodem miłości i szacunku dla zmarłego.

Na schodach palenia zwłok wyłącznymi mistrzami ceremonii i panami są domsowie, Hindusi niskiej kasty, w której z ojca na syna przechodzi dziedzictwem tradycyjna własność świętego ognia do podpalania stosów oraz urząd układania stosów, oznaczania miejsca i porządku. Zajęcie to niesłychanie rentowne: domsowie, choć przez wyższe kasty pogardzani, dochodzą do wielkich bogactw. I niezrozumiałem wprost jest, widząc na każdym kroku objawy chciwości braminów, że sobie tego zyskowego zajęcia nie zastrzegli, lecz zostawili je pogardzanym domsom. Jest w tem jakaś tajemnica, której nikt nie umiał mi wytłumaczyć.

•

Następnymi po Manikarnika gat schodami są Scindia gat, otoczone niezmiernie malowniczymi ruinami. Schody te są przytułkiem t. zw. Sādhu, sekty fanatycznych żebraków i włóczęgów, chodzących nago, nie czeszących i nie myjących się nigdy, tylko malujących swe ciała w żółte pasy. Przepływamy dalej koło t. zw. Panczanga gat, znanych najczęściej z fotografii i obrazków, gdyż nad nimi górują strzeliste minieraty meczetu, wybudowanego przez wielkiego Mogoła, Aurangzeba. Meczet sam duży, ale brzydki. Jeden z minaratów nachylił się i zapewne zawalił się niedługo, posyłając setki Hindusów do rajy Sziwy. Ostatnimi schodami są Sittah ghat, poświęcone bogu ospy.

Przejeżdżając łodzią wzdłuż tych wszystkich świętych schodów, przykuwających całą uwagę otoczeniem dziwnych budowli, na pół zrujnowanych wież, wieżyczek, pałaców i świątyń, oraz mnogością typów ludzkich, rojących się tłumami w pobożnym szale i zapamiętaniu — nie zwraca się początkowo uwagi na drugi brzeg Gangesu. Dopiero w powrotnej drodze spostrzegłem, że przeciwległy brzeg, to zupełna pustka. Ani jednego domu, ani jednego szałas, ani jednego człowieka. Bo brzeg tamten jest przeklęty. Ktoby się tam wykapał i umarł, potępionym jest bez ratunku; dusza jego wchodzi w najpodlejsze jakieś zwierzę lub owada na długą wędrów-

kę. Z tej klątwy wyjęte jest jedno tylko miejsce, na którym maharadża Benaresu ma swój pałac.

Płynąc z powrotem nieco dalej od świętych schodów i brzegu Benaresu a więcej ku środkowi rzeki, możemy dopiero, nie rozpraszać uwagi, ocenić wspaniałe położenie świętego miasta. Wznosi się ono na wysokim brzegu, na wzgórzach, amfiteatralnie, zwartą masą spiczastych, wysokich, dziwacznych, pokrzywionych a częścią walących się do wody i podmytych falą budowli. Ciągnie się to na trzy milowej długości wybrzeża. Rzeka sama przedstawia czarodziejski obraz, zwłaszcza o wschodzie słońca. Lekko zamglona dal wody wygląda jak morze roztopionego srebra, przechodzącego w złoto, a wyłaniające się z opalowej mgły kontury piramidalne świątyń, wież, kiosków, pałaców, geometrycznych kształtów, przypominających Egipt stary — wszystko to przenosi myśl do jakiegoś legendarnego, pogańskiego, jakby assyryjskiego miasta.

Świątyniami, które warto zwiedzać w Benares, są tż. złota świątynia, przykryta grubo złożonym piramidalnym dachem; dalej tż. Annapurna — czyli krowia świątynia; wreszcie świątynia Durgi zwana także małpią, od mnóstwa świętych małp, które się tu kręcą, skaczą i wcale nieodpowiednio do swej boskiej godności i świętości zachowują, przekładając całkiem widocznie obfiłość łakoci nad oddawaną im cześć.

Złota świątynia jest największą w Benares świątynią Sziwy. Tylko Hindusom, czcicielom Sziwy, wolno wejść do głównego sanctuarium. Turysta może zajrzeć do wnętrza jedynie z kwadratowego przedsionka. W środku tego przedsionka znajduje się święta „studnia mądrości“. Do brzegu tej studni można się z wielkim trudem przecisnąć przez tłumy, jeżeli się kto nie boi dostać mdłości ze strasznych woni, i na widok setek ludzi, pijących gęstą, szarozółtą, wydzielającą trupie zapachy, wodę. Bo do studni rzucają pobożni obfite ofiary z kwiatów, które naturalnie masami gniją, wydzielając wcale nie kwiatowe zapachy. Studnia, odkąd pamięć ludzka, nigdy nie była czyszczoną. Niedaleko od obserwatorium astronomicznego — takiego samego jak w Dżajpurze. — jest maleńka świątynia, poświęcona bogu deszczu. Bożek ten ma obowiązek sprowadzać deszcz. Gdy posucha trwa już zbyt długo, oblewają bramini bożka wodą, gdy zaś to nie pomoże i deszczu nie ma, rzucają go uwiązanego na sznurze kwiecistym do „studni mądrości“, głową na dół, by zmądrzał i zaczął pełnić swój mokry obowiązek.

Świątynia Annapurna, czyli krowia, jest jedną z niewielu dostępnych dla turystów, a bardzo ciekawą, choć nie pachnącą i brudną. Wznosi się na małym placu, wciśniętym między wysokie, zaniedbane domostwa. Przed świątynią spoczywa

ogromny kamienny święty byk Sziwy, Nandu, ze złożonym łbem. Na ciasnym placu, obryzganym i nasmarowanym mułem z Gangesu i nawozem krowim, kręcą się i kroczą poważnie święte byki i krowy. Na drodze do głównego wejścia tłoczy się tłum pobożnych, przeważnie kobiet, z brudnemi od mułu i nawozu nogami, by, złożywszy swą ofiarę z kwiatów bogu a z pieniędzy braminom, wracać potem z błogiem zadowoleniem w twarzy, przeciskając się między przeżuwającym świętem bydłem. Muł spływa ze schodów; trzeba uważać, by się nie poślizgnąć i nie złożyć zbyt nagłego pokłonu tym świętościom, coby nie było apetycznem wobec mnóstwa nawozu i gnijących kwiatów ofiarnych. Wygląda to wszystko jak krowia, nigdy nie czyszczona stajnia; mimo to zajmujące jest bardzo. Godzina czasu zeszła nam na przypatrywanie się cisnącym się między krowy tłumom, głoszącym brunatnemi rękami tłuste grzbiety przeżuwających bogów. Mimowoli przypomina mi się znany wiersz Heinego:

O König Wisvamisra
 O welch ein Ochs bist du,
 Es ist kein Gott mein Lieber,
 Er ist nur eine Kuh.

Wracamy ze świątyni, przesuwając się przez tłumy, wąską uliczką. Na prawo i na lewo pod

ścianami i we framugach posągi bogów wieloramiennych i wielonogich lub z głowami zwierząt. Bezpośrednio przed nami kroczy Hindus, trzymający w jednej ręce naczynie z topionym masłem, w drugiej kropidełko: kropi na prawo i na lewo, uważając, by to kropienie sprawiedliwie rozdzielić i żadnej świętości nie pominąć. Kropi tak obficie i zawzięcie, że i naszym ubrańiom dostaje się część ofiary.

Po drodze widzimy ascetów, dziwnych i strasznych, ze skudłaczonymi włosami i umęczonemi do niemożliwości ciałami. Jednego pokazują nam, że stoi wciąż na jednym miejscu od lat 20-tu; potem znów na małym placyku widzimy łożo kolczaste ze sterzających ostrych gwoździ, a na niem kładzie się w naszych oczach nagi yogin, pozwalając fotografować się za pieniądze.

Wreszcie zwiedzamy — sami mężczyźni — świątynię Nepalu. Z paniami zwiedzać jej nie można, nie tylko z powodu w najwyższym stopniu wyuzdanych lubieżnych płaskorzeźb, jak także dla tego, że bramini świątyni z ogromną lubością i dokładnością pokazują patykiem każdy najbardziej pornograficzny szczegół. Gdyby nie to, możnaby wielu rzeźbionych pornografij wcale nie zauważyć.

Świątynię tę przepelniają młode kobiety, składające ofiary, by sobie uprosić potomstwo.

I co to jest właściwie to dziwne i straszne miasto, to Benares odwieczne?

Dla Hindusa może ono być bramą nieba nawet, dla europejskiego turysty jest ciekawem niesłychanie, ale mało zrozumiałem zbiegowiskiem ludzkim i zwierzęcem. Ludność miasta, w oczach turysty, składa się z ruchliwych pielgrzymów różnych ras i strojów, nieruchomych braminów i wałęsającego się bydła rogatego. Jest się ciągle jakby w krowiej stajni, mającej setki tysięcy ludzi do obsługi, wykonywanej na skinienie siedzących pod parasolami braminów. Bramini doją lud, a lud modli się i składa ofiary — krowom!

Tak to wygląda na zewnątrz. Jaka jest jednak treść istotna tego widowiska?

Zrozumieć to trudno, ale im mniej się rozumie, tem większa pokusa, by to próbować sobie wytłumaczyć, by to jakoś zdefiniować słowami.

Ogólnie rzecz biorąc, przedstawia się Benares, jako miasto rozpętanego religijnego szału, który przez wieki wszystko pokonał i wszystko przetrwał. Nie poradził tu ani Gustama (Sakya Muni), który właśnie pod Benares dostąpił objawienia i stał się Buddą, nie poradził, choć obecnie 400 milionów ludzi na wschodzie Azji wyznaje mniej lub więcej zmienioną i wynaturzoną jego naukę. Nie poradził i drugi prorok Mahavira, twórca religii Dżajnów, która prze-

trwała do dziś dnia, która ozdobiła i zdoła ciągle świątyniami szczyty gór w Gutszeracie i Radżputanie. Nie poradził zdobywcy, wojujący i niszczący inne wiary mahometanizm, którego chorągiew z półksiężcem przez lat 600 powiewała nad Benares. Nie poradził najbardziej nietolerancki i okrutny szerzyciel muzułmanizmu, wielki Mogoł Aurangzeb, który w samem Benares 1000 świątyń hinduskich z ziemią zrównał i po którym pozostał tylko meczet i górujące nad miastem minarety.

W miejsce zburzonych świątyń zbudowali Hindusi znów nowych tysiące, nie sadząc się na okazałość. Bo nie świątynie stanowiły o świętości miejsca, gdzie świętem i tak jest wszystko, i ziemia i powietrze i woda i zwierzęta. I znowu jest półtora tysiąca świątyń w Benares, oprócz milionów luźno stojących bożków, lingamów i brązowych węzów. I jak przed tysiącami lat, pielgrzymują tu co roku miliony Hindusów, a przedewszystkiem ciągną wszyscy starcy i bliscy śmierci, by tu w obliczu świętej rzeki, z ogonem świętej krowy w ręce — umrzeć i znaleźć spokój dla swych niedopalonych szczątków w nurtach Gangesu, uwolnienie od dalszej wędrówki i niebo Sziwy dla duszy.

Widzi się tu jaskrawe objawy religijnego szaleństwa, ciągle i na każdym kroku. W całym kulcie hinduizmu, który się tu obserwuje, ude-



BENARES. — PALENIE ZWŁOK.

rzają dwa przedewszystkiem rysy: rys bezlitosnego, okrutnego pastwienia się nad własnym ciałem, i zupełnie przeciwny rys skrajnego dogadzania swemu ciału na polu najwyuzdańszej zmysłowości. Te przeciwieństwa, które Hindus godzi w swem życiu, bo dopóki młody, chwali swych bogów rozpustą, gdy stary chwali ich torturowaniem swych członków, te przeciwieństwa tłumaczą niektórzy obserwatorowie i badacze hinduizmu tem, że w hinduizmie zwierzę podniesione jest do godności bóstwa. Ubóstwienie więc zwierząt, powstałe pod wpływem wiary w wędrówkę dusz, doprowadzić musiało do kultu zwierzęcego.

Człowiek wierzący, że w pierwszym lepszym byku może tkwić dusza jego zmarłego ojca i ubóstwiający zwierzęta, pragnie stać się podobnym tym bogom zwierzęcym, np. małpom; więc żyje po zwierzęcemu dopóki może, jak o tem świadczą lingamy, malowidła i rzeźby na ścianach świątyń. *Eritis sicut deus* mówi do Hindusa jego pobożna ambicya, a że najczęściej spotykany „deus“, to zwierzę, więc „bądźmy jak zwierzęta“; wszak człowiek nie jest niczem lepszem od zwierzęcia, w które jego dusza przejść może po śmierci.

Z drugiej znów strony jest w tej religii i jej objawach coś strasznego i szatańskiego. Wygląda to, jak kult szatana poprostu. Z wszystkich bowiem bogów hinduskiego Olimpu, najbardziej

przez setki milionów czczonym jest Sziwa niszczyciel, bóg śmierci i zniszczenia. Brama stworzyciel poszedł w zapomnienie. Stworzył świat, zrobił swoje i poszedł zupełnie w ką. Wisznu, bóg utrzymujący życie, ma jeszcze licznych czcicieli; ale najpopularniejszym jest zawsze Sziwa niszczyciel, co z gruzów śmierci i zgnilizny nowe życie wyprowadza i śmierć życiem zapładnia.

Kult Sziwy i jego żony Durgi, wymagającej krwawych ofiar — obecnie z zarzynanych kóz, gdyż Anglicy ludzi zarzynać już nie pozwalają (karząc śmiercią) — kult boga niszczyciela, objawiający się najwyuzdańszą rozpustą i najsroższymi umartwieniami i katuszami, kult Sziwy i jego potwornej familii — to kult szatana w najjaskrawszych objawach.

Szatan Sziwa jest panem Benares i całej olbrzymiej krainy.

Inaczej zrozumieć to trudno Europejczykowi, który, widząc katowanie się i ascetyzm dziki, nie może pojąć, jak można zadawać sobie takie męczarnie w imię najzupełniejszego bałwochwalstwa, jak można tak się męczyć dla przejednania bogów złych i krwawych, jak można dojść do ambicyi, by być świętym za życia w oczach tych samych tłumów, dla których świętymi są i byki i małpy i węże i wszystko, co się obrońić nie może od ubóstwień.

Albo kultem szatana, albo też po części tem chyba można sobie to wytłumaczyć, że ci ludzie kolorowi tutaj, to ludzie duchowo i umysłowo z jakiejś innej całkiem planety, że na zupełnie innej podstawie niż u nas, kształciły się umysły i dusze tych ludzi. I istotnie. Chcąc ocenić różność i odmienność podstawy, która stanowiła u nas i u nich główną karmę umysłów, dość porównać dwie wielkie księgi święte: ich i naszą.

Weźmy najpierw nasze św. księgi. Co tam znajdujemy? Cudny poemat, którego treścią życie, uczucia, cnoty, uniesienia, namiętności, targające ludzką duszą. Mają te księgi za przedmiot ten świat bez granic, który się mieści w duszy i umyśle człowieka, oraz w stosunku jego indywidualnym do Boga i do innych ludzi. A weźmy bramińskie święte księgi i hymny wedyjskie. Czytałem je tylko w urywkach, w niemieckim tłumaczeniu, ale przekonałem się z tego, że niema w nich ani śladu poezji subiektywnej, osobowej. Są hymny na cześć sił przyrody, hymny do słońca, do ognia, do nieba i ziemi, do chmur i burzy, wiatru i mgły. W tej poezji ginie całkiem osobowość człowieka, który czuje się nie przeciwstawieniem, lecz raczej częścią drobną tych potężnych sił przyrody, z którymi się stapia, które uwielbia, w których się duchem a potem ciałem rozplywa.

To właśnie stanowi istotną treść świętych ksiąg bramińskich, na których się duch braminizmu, a potem wynaturzonego hinduizmu, i dusze ludów hinduskich urabiały. W to wmyśleć się nam, indywidualistom, bardzo trudno. Miewamy wprawdzie niekiedy takie bezwiedne stany duszy, które nas chwilowo zbliżają do panteizmu. Są to te nastroje, których najpiękniejszym w naszej poezji wyrazem liczne ustępy Słowackiego:

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
 Na wielkim stepie, albo na Gulgocie,
 Albo wśród kolumn, które zamiast dachu
 Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie.

Są to chwile nieświadomej zadumy, gdzieś wśród bezmiaru morza, stepu lub pustyni. Lub wśród szumu lasów, gdzieś o słońca wschodzie czy zachodzie, gdy natura cała się budzi lub dzień gasnący żegna i do snu układa. Wtedy przychodzą chwile, gdy przestaje się myśleć, a odczuwa tylko. Człowiek wpada chwilowo w stan bezosobowy niemal, i czuje się z tem, co go otacza, jakby jednością. Ale takie stany duszy mijają szybko; znów wraca się do poczucia swej indywidualnej odrębności i poczucia pełnej odpowiedzialności za swoje czyny.

Tymczasem to, co u nas jest chwilowem uspieniem w zadumie, chwilowem obniżeniem indywi-

dualnego lotu, z którego się wnet otrząsamy, to jest treścią życia i czucia, stanem chronicznym tych setek milionów wychowanych i wyrosłych na hymnach Wedów, pod wpływem braminów i wynaturzonych przez nich pierwotnych filozoficznych pojęć. Duchy to więc i umysły od naszych odmienne, instynktem więcej się kierujące, schodzące do panteistycznego bałwochwalstwa.

I dla tego tak trudno tych ludzi zrozumieć Europejczykowi. Benares, jest dla człowieka zachodu, dla dziecka starej chrześcijańskiej cywilizacji nierozwiązalną wprost zagadką: robi wrażenie jakby wielkiego szpitala waryatów, chwilowo na wolności zostających, a szalem wynaturzonych uczuć religijnych nieuleczalnie obłąkanych.

* * *

Jednak ten szal udziela się powoli i Europejczykom, którzy tu dłużej siedzą lub stale mieszkają.

Jest stara Angielka, Annie Besant, która tu założyła przytułek i szkołę teozofów i całą duszą tkwi wraz z uczniami w braminizmie. Widzieliśmy jej posiadłość w Benares. Cały kompleks licznych gmachów, budynków, wśród ogrodów i dziedzińców. Mieści się tu i hinduskie teozoficzne kolegium, z mieszkaniami dla profesorów, uczniów, zbiory naukowe, drukarnie,

introligatornie oraz sprzedaż wydawnictw. Drukuje się tu bowiem mnóstwo teozoficznych i okkultystycznych książek, których autorką jest przeważnie sama Annie Besant; książki te reklamuje się usilnie i zręcznie, by szerzyły kierunek teozoficzno - okkultystyczny po całym świecie.

Ta pani Besant jest osobistością w Benares i w Indyach całych, zwłaszcza jednak w Europie, Ameryce i Australii tak znaną i sławną, że nie zaszkodzi może przy sposobności omawiania rozmaitych ducha ludzkiego wynaturzeń i zбочeń, poświęcić jej obszerniejszą wzmiankę.

Jest z rodu Irlandką; ma obecnie już 66 lat. Wdowa po anglikańskim duchownym i gorliwa chrześcianka w młodości, stała się potem nienawidzącą chrystyanizm ateistką. Że jednak człowiek myślący w ateizmie długo wytrwać nie może, więc szukając za czemś nowem, stała się wśród ciągłych namiętnych ataków na chrystyanizm zapaloną i zapalczywą bardzo socyalistką. Nie długo jednak była podporą socyalistycznych agitatorów. Zetknąwszy się bliżej z niezadowoleniem i nędzą ludzką, zaczęła buntować się przewódcom, głosząc zasady takiego socyalizmu „co daje“, a potępiając ten „co bierze“.

Uczuła potrzebę jakiejś religii. W tym czasie wpadła jej w ręce książka pani Blavatzky „The secret doctrine“, która była dla niej jakby obja-

wieniem. Spotkania i rozmowy z p. Blavatzką dokonały reszty, i uczyniły z p. Besant przekonaną i fanatyczną okkultystkę. Stała się tego kierunku najpracowitszą i najżarliwszą szerzycielką, prawą ręką p. Blavatzkiej. W r. 1893, po śmierci Blavatzkiej, pojechała objąć duchowy spadek po niej po raz pierwszy do Indyj. Osiedliła się na stałe w Benares. W Benares pod wpływem hinduizmu dokonał się w niej głębszy jeszcze przewrót. Stała się teozofką.

Przyznaje sama, że przyjęcie nauki teozoficznej pociągnęło za sobą u niej i przyjęcie świętych ksiąg Hindusów. W tych księgach, zwłaszcza w księdze Aviata Vedanta znalazła kopalnię poznania i dojrzałości w teozoficznej nauce. Wogóle hinduizm i ten nastrój, jaki daje długi pobyt w Benares, uczyniły z niej zdecydowaną teozofkę a zarazem Hinduskę. W r. 1901 wydała książkę p. t.: „Esoteric Christianity“, gdzie twierdzi, że wewnętrzny chrystianizm niczem się nie różni od wewnętrznego buddyzmu, hinduizmu, mahometanizmu i t. p. Potem posypały się wydawnictwa „Some Problems of Life“, „The Ancient Wisdom“, „Thought Power, its Control and Culture“ i t. d. W r. 1898 założyła w Benares t. z. „Central Hindu College“, które z każdym rokiem roszerza i rozwija.

Założyła też po całych Indjach, a także w Europie, Ameryce i Australii tysiące teozoficznych

związków i stowarzyszeń, które co parę lat odwiedza i płomienną wymową oraz książkami umacnia. Obecnie tylko zimy przepędza w Benares. Przez siedm zaś miesiące jeździ po całym bożym świecie i uczy wszystkie narody.

* * *

Co to jest teozofia? Annie Besant twierdzi, że człowiek może sobie przyswoić i zdobyć poznanie Boga; że teozofia zawiera ujęcie i uporządkowanie tych nauk mądrości, które wszystkim wielkim religiom są wspólne. Nie jest więc ona — zdaniem Annie Besant — przeciwną żadnej religii, lecz chce doprowadzić do braterstwa wszystkich religii. Właściwą założycielką teozofii była kobieta H. P. Blavatzky, która po długim pobycie w Indjach napisała swoją „The Secret Doctrine“. Pomocnikami Blavatzkiej byli Pascal, Francuz, i Damodar, Hindus, który po jej śmierci udał się w Himalaye na medytacye. W dniu rocznicy śmierci Blavatzkiej 8 maja obchodzą teozofowie po całym świecie uroczyste święto „białego kwiatu lotosu“.

Cała teozofia, gdy się ją weźmie krytycznie, to mieszanina znanych zasad i przykazań chrześcijaństwa, z wiarą w kształcące się nowe zmysły duchowe w człowieku, z wiarą w t. z. ciała astralne, w możliwość obcowania za życia ze

zmarłymi, z wiarą wreszcie bardzo stanowczą w wędrówkę dusz z ciała do ciała ludzkiego, w reinkarnacye t. j. coraz nowe duszy ludzkiej wcielenia. Teozofowie twierdzą, że nowe zmysły można wydobyć na jaw z niejednego człowieka przez hypnotyzm. Żeby zaś te zmysły wydoskonalic, trzeba uprawiać koncentrację myśli i medytacye. W ten sposób wykształcić można zmysły astralne, pozwalające widzieć zmarłych koło siebie i słyszeć ich.

W ten sposób spowodować też można niebywały postęp nauki. Będzie można widzieć chemiczne atomy. Annie Besant widzi już początki „okkultystycznej chemii“. Lekarz, gdy w sobie taki astralny zmysł wykształci, będzie mógł chorego przejrzeć i poznać co ma zastosować. Już obecnie lekarze używają do dyagnozy medyków. Był i we Lwowie taki lekarz, teozof czy okkultysta, zwolennik pani Besant i robił, jeżeli nie dobre kurae, to w każdym razie dobre interesy na swojej wewnętrznej autoskopii.

Rozumowania jednak i dowody Annie Besant, wkraczają często w dziedzinę humorystyki. Mówiąc naprzykład o możliwości wydoskonalenia w sobie nowych zmysłów, tych, za pomocą których widzieć będzie można i czuć rzeczy przez zwykłego człowieka niewidziane i nieczute, podaje jako przykład Bimańczyków z 4-tej rasy, którzy zmysłu węchu nie mają wykształconego, bo

ich ulubioną potrawą są zgniłe ryby; my zaś, ludzie z 5 rasy, już wydoskonaliliśmy zmysł węchu i jużbyśmy takich ryb nie jedli.

Pani Besant pociesza tych, którzy jeszcze w tem istnieniu nowych zmysłów wykształcić nie zdołają, że za to gdy po śmierci dusze ich wejdą w młode ciała rodzących się ludzi, to w tem nowem istnieniu napewne już wykształcą astralne zmysły. Reinkarnacją także tłumaczy Annie Besant rozmaity poziom i stopień moralności, zdolności do czynu i inteligencji u ludzi. Jeżeli więc spotykamy człowieka z rozumem, siłą woli, i zdolnością do czynu oraz do przyswajania sobie wiedzy, to mamy przed sobą starą duszę, która w poprzednich istnieniach, przez pracę, naukę i doświadczenie przyswoiła sobie większe zdolności.

Jest to prawo zasług i przyczyn w poprzednich inkarnacjach t. zw. Karma. Idyoci głupcy, niezdolni, wreszcie przestępcy i zbrodniarze, to dusze młode, całkiem dzikie, nie wykształcone. Powiesić mordercę jest zdaniem Annie Besant rzeczą nieużyteczną, niemądrą i szkodliwą. Nie straciło się jego, straciło się tylko jego ciało, a dusza jego, młoda i dzika, została, przepelniona nienawiścią i zemstą, i ta dusza wejdzie odrazu w nowe młode ciało i urośnie nowy, straszniejszy zbrodniarz. Dla tego to zbrodnie są tak epidemiczne.

Taką jest mniej więcej nauka Annie Besant. Można zawrotu dostać w głowie od tych ciał astralnych, niejasnych odczuć kobiecych hysterycznych nerwów i od tej dziwnej mieszanki chrystyanizmu z hinduizmem i okultyzmem. I musimy to traktować, jako objaw wpływu hinduizmu i tego niezdrowego siedliska jakim jest Benares. Ale na to nie ma rady, jak na nieuleczalną chorobę. Ludzie, co wiarę stracili lub dla swej religii zubożyli, dochodzą przecież wnet do tego, że trzeba w coś wierzyć, czegoś się po śmierci spodziewać, bo inaczej życie staje się rozpaczliwie beznadziejnym. A że porzucili to, co jedynie mogło im dać siłę w życiu i nadzieję w przyszłość, więc szukają za czemś nowem, tajemnem. Zaczynają w coś wierzyć, ale w co, tego dobrze nie wiedzą. Wreszcie zaczynają się interesować tajemną wiedzą Indyj.

Wszak to słowo „Indye“ tyle razy powtarzaniem bywa przez wszystkich okultystów, spirytystów, mistyków i teozofów, tyle razy nadużywa się tego słowa dla obronienia się przeciw argumentom rozsądku i logiki. Literatura o tajemnej wiedzy Indyi, literatura okultystyczno-teozoficzna liczy już tysiące tomów, a nie mało do jej wzrostu przyczyniła się Annie Besant, której nie wystarczyło to, że niezdrowo i bałamutnie myśli i mówi: chciała jeszcze uwiadomić o tem świat cały za pomocą czernidła drukarskiego.

Ale są ludzie, którzy to czytają i studyują, dla których to powoli staje się nową ewangelią. W tysiącach stowarzyszeń okultystyczno-teozoficznych karmią się neurasteniczni mężczyźni i historyczne niewiasty tą niezdrową literaturą. Połykają tę tajemniczą wiedzę Indyi i p. Annie Besant uważają za świętą i natchnioną, za wcielenie jakiegoś boskiego ducha-Orfeusza, Buddy, Mojżesza i t. p.

Co prawda, moja podróż po Indyach krótką była i pobieżną. Widziałem jednak na tuziny rozmaitych tutejszych Yoginów, Symnyasi, Gosain, fakirów i jak oni się tam w różnych językach Indyj nazywają; widziałem ich produkeye, ich cuda. Ludzi tych wyszukiwać wcale nie trzeba, bo sami się pchają natrętnie i oblegają wieczorami hotele, by cokolwiek zarobić. Widziałem więc w Benares na ulicach i placach szaleństwa, tortury, niesłychane panowanie nad sobą, przewyciężenie cierpień i bólu: rzeczy wstrętne i okropne. Widziałem też z terasy hotelowej przy poobiedniej czarnej kawie rozmaitych kuglarzy, sztukmistrzów i t. zw. cudotwórców i ich zadziwiający produkeye. Ale to są tylko zręczne bardzo, o wiele zręczniejsze, niż w Europie, sztuczki i kuglarstwa, polegające na zgrabności w rękach i ruchach i na sugestyonowaniu widzów. Nadnaturalnego nie było w tem nie stanowczo.

Nie jest chyba nadnaturalnem jeżeli kobra z wyrwanymi zębami nie ugryzie, jeżeli z nasienia urośnie drzewko mangowe w dwóch minutach, zwłaszcza gdy potem po odejściu fakira, grzebiąc w piasku znajduje się osobno dwa listki, a osobno pozostawione z korzeniami duże drzewko. Cudotwórca ma więc i maleńkie i duże drzewko pod swem przykryciem. Nie jest też chyba nadnaturalnem, jeżeli jaki hinduski nagi, nieczesany i nie-myty, oblepiony popiołem utrapieniec, wpatrując się przez 12 godzin dnia w czarny, błyszczący, sterczący przed nim lingam, popadnie w znieczulenie i zapamiętanie, rodzaj hypnotycznego snu. To samo każdy potrafi, jeżeli się będzie przez szereg godzin wpatrywał w guzik lub inny błyszczący przedmiot.

Zresztą w Indyach, a zwłaszcza w pełnem szaleństwie religijnego Benares, wszystko naturalnem się być zdaje. Do tego otoczenia i tych nastrojów dostraja się dobrze Annie Besant z jej hinduskimi mistykami i z jej teozoficznem kolegium, rozdzielającym podobno dyplomy tak łatwo, jak niektóre amerykańskie uniwersytety. W tem ogromnem morzu szaleństwa, nie może już zaszkodzić jedno ogniwo więcej. Powiadają nawet, że na gruncie Benares ma ona pewne zasługi, gdyż zdołała już tysiące Hindusów oswobodzić duchowo i wyrwać z pod wpływu moralnie ogłupiających i materyalnie wyzyskujących

lud braminów, zdołała wreszcie oczyścić ich wierzenia religijne z wielu zatruwających życie przesądów i zabobonów.

Szczęście jej w tem Boże: niech sobie reformuje hinduizm, niech pisze dla Hindusów ich katechizm a będzie można na jej niez mordowaną działalność patrzeć z uszanowaniem. Byle tylko tego szaleństwa i tej choroby duchowej, której siedliskiem i rozsądnikiem jest Benares, nie chciała szerzyć po Europie, jeżdżąc ciągle i przemawiając jak komniwojażer swej nowej wiary i swych wydawnictw.

Darowaliśmy sobie zwiedzenie kollegium i zakładów Annie Basant. Woleliśmy pozostałe nam w Benares wolne chwile poświęcić na ponowną jazdę po Gangesie i na odwiedziny sklepów ze specjalnościami Benaresu, ślicznymi a tanimi wyrobami mosiężnych naczyń i figurek bogów hinduskich.

KALKATTA i DARDŻILING.

Pejzaż delty rzecznej. — Białe miasto europejskie. — Zielony plac Mejdenu. — Miasto Azyatów. — Początek Kalkatty. — Ogród botaniczny. — Napad wron. — Kościoły katolickie. — Muzeum. — Zuchwali Bengalczycy. — Fantastyczna świątynia Dżajnów. — Wycieczka w Himalaje. — Śliczna górską kolejką. — Podróż w chmurach. — Dardżiling. — Zamiast gór chmury. — Zawiedzione nadzieje. — Tybetańskie wyroby. — Wśród morza mgieł. — Chwilowe widoki. — Zawierucha śnieżna. — Odcięci od świata. — Powrót z nieudanej wyprawy.

Okolicy na południe od Benares nie widzieliśmy, jadąc do Kalkatty nocą. Dopiero wczesnym rankiem budzimy się wśród całkiem odmiennej, przypominającej ogrody Bombeju.

Jesteśmy już w delcie Gangesu i Bramaputry. Kraj wygląda, jak jeden wielki ogród tropikalny. Wśród ogromnej obfitości wód, rzek, kanałów, stawów i bagien, ludne wioski kryją się

całkiem niemal w gęstwi bambusów i bananów, strzelają w górę pióropusze palm kokosowych, oblepionych masą żółto-brązowego owocu oraz palm oliwnych. Wśród gęstwi uwijają się na małych półkach ryżowych ciemno-brązowe postacie bengalskiej ludności. Po stacyach tłumy całe, wrzeszczące, gestykulujące, zuchwałe. Wsie robią się coraz częstsze, roślinność coraz bujniejsza, wreszcie zaczyna to przybierać wygląd przetykanego egzotyczną zielenią miasta.

Duża stacya. Dworzec Howrah, skąd przejechawszy powozami most na szerokiej, pełnej statków rzece znajdujemy się w świeżo zdegradowanej, ze względu jednak na potężny rozwój handlu, ludnej i gwarnej stolicy. Naokoło wielkiego, jak błonia krakowskie, kilka kilometrów długości i kilometr szerokości, zielonego placu, zwanego Maiden (mejden), ciągnie się szereg białych, oślepiająco białych w tem słońcu, pałaców. Drugi taki front nad rzeką Hugli, głównem ramieniem delty rzecznej.

Zajeżdżamy do hotelu, położonego nad łąką Meidenu: Gr. hotel Continental. Szumna nazwa i pałacowy front. Ale wewnątrz, niestety, jak w każdym hotelu w Indyach. Dostajemy obszerny pokój z balkonem na ulicę i na Meiden. Ale obok pokoju ciemna łazienka bez wanny, tylko ze zwykłym szaflikiem do polewania. Idziemy do sali jadalnej na „burra hazri“. Sala duża i jasna, ale



KALKATTA. — ŚWIĄTYNIA DŻAJNÓW.

naokoło cały szereg szklanych numerowanych drzwi do pokoi hotelowych, a przed drzwiami, już w samej sali jadalnej, liczni brunatni boye czyszczą właśnie suknie i trzewiki swych panów, nie zważając na nas, jedzących śniadanie. Służba hotelowa i menedżer hotelu uważają to za rzecz zwykłą i całkiem będącą w porządku. Trudno, trzeba się z tem pogodzić, skoro tu już taki zwyczaj.

Wyjeżdżamy na miasto. Olśniewająco białe, bardzo gorące, bardzo tłumne i gwarne, a w powietrzu tumany pyłu i tysiące wron. Rozległy zielony plac mejdenu, poprzerzynany kilku alejami drzew pięknych i dróg wybornych, utrzymany jednak pod względem trawników nieszczęśliwie, gdyż angielskim zwyczajem ścieżki nie służą tu do chodzenia. Każdy chodzi po trawie, gdzie i jak mu się podoba; więc mimo obfitości wody i ciągłego skrapiania, nie wszędzie jest zielono i trawniki wydeptane.

Podobnie jak w Bombeju, pałacowy front gmachów od rzeki i od mejdenu, to tylko jakby parawan, za którym kryje się rojne, ciekawe pod względem etnicznym, brzydkie jednak poza tem i w tumanach pyłu spowite, jak labirynt poplątane miasto Azyatów. Nie można tu bowiem mówić, jak w Bombeju, o mieście krajowców. Bo choć ciemni Bengalczyki są w przewadze choć i wszystkie inne plemiona Hindo-

stanu mają tu liczne kolonie — to przecież nie Hindusi nadają charakterystyczne piętno miastu, lecz przede wszystkim mieszanina wszystkich innych Azyatów — między którymi Chińczycy nie małą odgrywają rolę.

Początek Kalkatty, miasta założonego przez Anglików, jest bardzo niezwykły. W roku 1642, jedna z córek naboba (t. j. namiestnika) Bengalii, młodszego syna Szah-Dżehana, leżała beznadziejnie chora, opuszczona przez mahometańskich lekarzy. Zrozpaczony nabob wezwał wtedy lekarza okrętowego ze znajdującego się właśnie na rzece Hugli, o kilkanaście mil od jego rezydencji, statku angielskiej kompanii, niejakiego Gabryela Boughton. Dopuszczony do zbadań pacjentki (twarzy jednak osłoniętej nie widział) dał lekarstwo, które powróciło jej zdrowie. Wdzięczny nabob chce odpowiednio wynagrodzić lekarza, ten jednak, obdarzony dobrym handlowym instynktem, uprosił, jako nagrodę, wyłączne prawo zakładania faktoryj handlowych w Bengalii dla swej kompanii, a zarazem kawałek wybrzeża w miejscu, gdzie statek stał na kotwicy, na założenie pierwszej faktoryi. I w ten sposób, jako nagroda za pomoc lekarską, powstała nad Hugli faktorya i osada, nazwana później „Calcuta“.

Dzisiejsza, olbrzymia, 1,300.000 mieszkańców licząca Kalkatta, największe po Tokio miasto

w Azyi, nie jest jednak dla turysty zbyt interesującym miastem. Jest miastem kosmopolitycznym, handlowym przede wszystkim, nie budzącym ani w części tego interesu, co Agra, Benares, Gvolior, Dżajpur lub nawet Delhi. Ma jednak i Kalkatta swoje oryginalności i ciekawości: swoje odrębne kultury Hinduizmu, swą bengalską świątynię krwawej bogini Kali, której codzień składają ofiary z zarzynanych kóz, by krwią nasycić jej demoniczne pragnienie; ma prześliczną świątynkę t. zw. pagodę birmańską i cudną, podobną do pagody, świątynię Dżajnow.

Ciekawe jest również miasto, jako kreacja angielska, z publicznymi gmachami i pałacami, z fortem Wilيامa, z opuszczonym obecnie pałacem wicekróla i nadmiernem bogactwem pomników sławnych w historii angielskiego w Indyach panowania mężów, wicekrólów, generałów, admirałów i gubernatorów. Co prawda, nie wszystkie pomniki piękne, a ich skupienie, przypomina trochę nieszczęśliwą w pomyśle i w wykonaniu Siegesallee w Berlinie. W tej chwili Kalkatta europejska osowiała trochę i opustoszała. Wicekróla niema, rządu Indyj nie ma. Ceny placów i budynków nagle spadły, bankructw podobno sporo. Jest to jednak, jak powiadają, chwilowe tylko przesilenie, bo Kalkatta, choć nie jako stolica, to jednak dźwignąć się musi potężnie, jako miasto handlowe, jako wyborny i największy port rze-

czny i morski najbogatszej i najludniejszej prowincji Indyj, Bengalii.

Pierwszy dzień naszego pobytu w Kalkacie poświęcamy przed południem na zwiedzenie powozami europejskiego miasta, popołudnie na wycieczkę do daleko za miastem położonego, słynnego botanicznego ogrodu.

Długa jazda powozami przez rozległe, na drugim brzegu Hugli ciągnące się przedmieście i wieś, tonące w gęstwi tropikalnej roślinności, piękna być mogła i miła, gdyby nie tumany pyłu tak straszne, że świata na około miejscami nie widać, że trzeba przymykać oczy i usta zasłaniać. Ogród jednak duży i przeszliczny. Samego frontu od rzeki ma przeszło milę; ma być większy od Hyde-parku w Londynie. Przejechaliśmy powozami potężne aleje palmowe, różnych gatunków deodarów, mahoniów, kazuarin. Zatrzymujemy się nad ślicznymi, pełnymi kwiatów lotosu i Victoria-regia jeziorkami, zwiedzamy zbiory orchidei; niestety jednak tylko kilka gatunków tych kwiatów dziwolągów mogliśmy oglądać, reszta bowiem już dawno przekwitła.

Najwięcej czasu poświęcamy osobliwości tego ogrodu, największemu na świecie drzewu Banyanowemu (*Ficus Indica*), które wygląda jak las cały, bo drzewo, oprócz głównego pnia, ma około 200 korzeni powietrznych, wrosłych w ziemię i stanowiących 200 nowych różnej grubości

pni, na których opiera się masa gałęzi i liści. W cieniu tego drzewa błędzić można jak w lesie. Bylibyśmy zostali tu dłużej, gdyby nie to, że za tłumno było, za gwarno i za wesoło, gdyż właśnie tutejsi Eurazyjczycy urządzali sobie w cieniu drzewa piknik z muzyką i bufetem.

Drugi dzień pobytu w Kalkatcie, a była to niedziela, chcieliśmy zacząć od kościoła a potem zwiedzić muzeum. Kazaliśmy przynieść „czotta hazri“ do pokoju o 6 rano. Ale nasz boy herbatę z przekąską punktualnie przyniósł, budzić nas jednak nie śmiał. Obudziły mię dopiero gwałtowne krakania. Otwieram oczy i widzę niezwykłą, całkiem indyjską scenę. Cały nasz pokój pełen wron. Przy łóżku mojej żony na stolyczku z „czotta hazri“ wrony walczą między sobą o resztki biesiady. Z sucharków, dżemów, owoców nie zostało już ani śladu; właśnie gdy otworzyłem oczy, wrony biły się o resztkę masła, zatapiając w niem dzióby. Krzyknąłem: wrony tłumnie rzuciły się do drzwi na balkon; nie odleciały jednak daleko, lecz obsiadłszy balustradę balkonu, zaczęły się krzykliwie naradzać, czyby nie można wrócić po resztę masła.

Po napadzie ocalała tylko herbata; wypiwszy ją więc, udaliśmy się powozem do najbliższego katolickiego kościoła. Musi być dużo katolików w Kalkatcie, kościół bowiem był przepełniony. Cała nawa wypełniona ławkami i klęcznikami.

Na klęcznikach nazwiska właścicieli, nazwiska wyłącznie angielskie. Jeden z księży dowiedziawszy się, że jesteśmy tu obcy, wskazuje nam miejsca, których właściciele widocznie nie przyjdą. Kościół obszerny i nie jedyny w Kalkacie, jest bowiem razem w tem mieście 8 kościołów katolickich.

Muzeum w Kalkacie jest największem w Indjach; jest tem dla Indyi czem muzeum narodowe w Kairze dla Egiptu. Cenne i bogate zbiory sztuki i starożytności ze wszystkich wieków i prowincyj, wymagałyby do dokładnego zwiedzenia tygodnia conajmniej. Wobec krótkości czasu opuszczamy dział przyrodniczy, przechodzimy szybko działy starożytności i zwiedzamy tylko szczegółowiej skarby współczesnej sztuki i przemysłu domowego Indyj.

Gdybyśmy mieli drugi raz odwiedzać Indye, lub komuś wybierającemu się w tę podróż rady udzielić, to radzilibyśmy rozpocząć podróż od Kalkatty i zwiedzić przedewszystkiem dokładnie to muzeum, które lepiej niż wszystkie podręczniki i książki wprowadzi turystę w czarodziejski świat, przygotuje do zwiedzania i zrozumienia jego przeszłości i zabytków. A i dla tego, co z podróży indyjskiej pragnie przywieźć sobie artystycznej wartości pamiątki, nieocenionem będzie przyglądnięcie się przedtem w muzeum najpiękniejszym z takich wyrobów.

W muzeum przepelnione były wszystkie sale tłumami krajowców, którzy widocznie w dniu kiedy w każdym, przez Anglików rządzone mieście praca wszelka ustaje i wszystkie sklepy są zamknięte, przyszli na zabawę i pogadankę do chłodnych sal muzealnych. Obecność setek czarnych ludzi nie pomagała nam do zwiedzania, zwłaszcza, że ludzie ci wcale się nie ustępowali przed Europejczykami, jak dotychczas we wszystkich innych miastach. Gdzieindziej, gdy kto z nas przyszedł na pocztę nadać list lub do urzędu stacyjnego na kolej i zastał okienko obleżone przez tłumy krajowców, wiedział, że wszyscy się pokornie rozstąpią, zostawiając pierwszeństwo białemu sahibowi. W Kalkacie inaczej. W muzeum krajowcy umyślnie zasłaniali nam widok lub tamowali przystęp, oglądając się tylko, czy czarny policyant lub stróż muzealny tego nie widzi. Wogóle zachowywali się prowokująco i zuchwale. Widać było głęboką i nietajoną już nienawiść, jaką do białych swych panów żywią Bengalczycy.

Popołudnie przeznaczamy na zwiedzenie świątyni Devi w Kalighat, poświęconej żeńskiej formie energii Sziwy, a mieszczącej w sobie oryginalne obrazowe przedstawienie idei panteizmu. Dalej oglądamy prześliczną, z Prome w Birnie sprowadzoną pagodę birmańską w tutejszym Eden Garden, i wreszcie najpiękniejszą ze wszystkiego

świątynię Dżajnow. Świątynia ta, do pagody kształtem i ozdobami podobna, wznosi się w ogrodzie, pełnym basenów wodnych i wodotrysków, otoczonych tysiącami marmurowych i brązowych postaci bogów, świętych, demonów a wreszcie jakichś bajecznych fantastycznych smoków i zwierząt. Na drzewach wisi masa dzwonów i dzwoneczków, poruszanych wiatrem i przepelniających powietrze drganiem dźwięków. Ściany zewnętrzne świątyni i sąsiednich pałacyków wykładane lustrzanymi płaszczyznami i polerowanego metalu, a na ich tle znowu poprzyczepiane wszędzie postacie. Całość egzotycznego jakiegoś wdzięku pełna. Najpiękniejsza to niewątpliwie z licznych i rozmaitych świątyń w Kalkacie.

Krótki wreszcie spacer po tutejszym zoologicznym ogrodzie i jazda do hotelu po rzeczy a potem na kolej. Następnego dnia popołudniu, po 22-godzinnej jeździe, mamy stanąć u stóp najwyższych na świecie szczytów górskich, w Dardżilingu.

Z radością wybieramy się, nietylko dla spodziewanych wspaniałych widoków górskich, ale i dla ochłody, bo dokuczyło nam już bardzo parne gorąco i pył w dusznym mieście.

* * *

Jadąc z Kalkatty do Dardżilingu, w Himalajach, zostawiamy znaczną część rzeczy w Kalkacie,

gdzie wrócić jeszcze mamy na dzień jeden, a ze sobą bierzemy po raz pierwszy w Indyach ubrania zimowe i płaszcze. W drodze, niedaleko od Kalkatty, o 10 w nocy, przesiadamy się w Dumukdia gat na statek parowy, który ma nas przewieść na drugi brzeg olbrzymiego w tym miejscu Gangesu, gdzie czeka nowy pociąg. Przeprawa trwa przeszło pół godziny. Ogromne przestrzenie wody, oświetlone potężnym elektrycznym reflektorem, w którego promieniu błyskają ćmy, owady i nietoperze.

W czasie przeprawy na pokładzie wcale dobry obiad; niebawem lądujemy w Sara gat i siadamy do opatrzonego kartką z naszym nazwiskiem przedziału. O 6 rano budzi nas gwałtowne dzwonienie. Czas wstawać i ubierać się, bo za pół godziny końcowa stacya nizinnej kolei, Saligari. W Saligari, po spożyciu burra hazri, przesiadamy się do wagoników, jak bawidełka dla dzieci. Rozpoczynająca się tu kolejka himalajska ma tylko 60 cm. szerokości toru. Przedziałki jak w tramwaju, otwarte i bardzo ciasne. Oprócz płaszców i pledów żadnych rzeczy wziąć do przedziału nie można.

Przez pół godziny jedzie się prosto przez równinę, ku widnym na horyzoncie, wcale jednak nie imponującym wzgórzom, nad którymi zwały chmur czarnych. Potem wjeżdżamy w leśniste góry. Zaczyna się najcudowniejsza górską

jazda kolejowa. Pociąg spina się zboczami i kręci, jak ślimak, tak, że lokomotywa tuż tuż koło ostatniego wagonu. Gdzie pochyłość nie do przewyciężenia, pociąg zatrzymuje się i lokomotywa pcha wagoniki przed sobą, aż osiągnąwszy odpowiedni punkt pochyłości, staje znów na przodzie i ciągnie pociąg powoli w górę. To znów spiralną linią wiaduktów drapie się lokomotywa, znajdująca się bezpośrednio nad ostatnimi wagonikami.

Bujamy ciągle nad zawrotnymi przepaściami; gdzieś pod nami, na parę tysięcy stóp, wodospad w mgłę się rozbija. Otaczają nas wciąż tropikalne lasy, z pniami drzew odwiecznych, drzewa Teak, różne gatunki palm, gęstwie potężnych bambusów, kolosalne paprocie drzewne i rododendrony w kwiecie, a wszystko to powiązane i poplątane siecią ljanów. Coraz wyższe szczyty przed nami, pod nami coraz straszniejsze przepaście. Wreszcie wjeżdżamy w gęste chmury. Zwały mgły, jak potworne płazy, czepiają się skał i pełzają po nich ku dołowi, to kryjąc nam wszystko, to odsłaniając przez okna w chmurach niespodziane, szybko jednak znów się zamykające widoki.

Zaczyna być zimno bardzo. Wdziewamy płaszcze i okrywamy się pledami. Na stacyach górskich, wśród urwisk i chmur, otacza nas teraz ludność całkiem odmienna. To już nie Indye. To Chiny czy Mongolia, a właściwie bliskość Tybetu.

Skośne oczy, płaskie nosy i wystające kości policzkowe. Kobieta to czy mężczyzna? Rozróżnić trudno. Jednakowe grube wołokowe szaty, jednakie harcocy z tyłu, jednakie brzydkie, ale śmiejące się i wesołe twarze. Wszystko śmieje się głośno, cieszy, podskakuje, ofiarując do okien wagoników na sprzedaż turkusy, młynki tybetańskie do modlitwy, posążki Buddy, brązowe smoki i t. p. Zupełnie to odmienny świat i ludzie od poważnych, smętnych, czarnych lub ciemnych Hindusów.

Jedziemy dalej; chmur coraz więcej i widać coraz mniej. Lasy już inne: zaczynają przeważać drzewa szpilkowe, olbrzymie deodary, między którymi z rzadka paprocie drzewne i jako podszycie, kwitnące rododendrony. Kończą się lasy: jedziemy wśród przeciągających to w dół, to ku górze płaszczyzn mgły, przez niekończące się plantacje herbaty.

Wreszcie stolica herbaciana, Korsong. Wysiadamy, by zjeść tiffin. Za pół godziny, trzęsąc się od zimna przejeżdżamy najwyższą przełęcz, 8000 stóp nad poziom morza; potem kilkaset stóp w dół w zakrętach wśród skał — i stajemy na dworcu w Dardżilingu.

Tylko kilkaset kroków od dworca do hotelu Woodland, w którym mamy zamówione pokoje. Powozów w Dardżilingu nie ma, bo toby było niemożliwe wobec górzystości terenu. Riksy ani

lektyk brać nie warto, gdy hotel widzimy tuż tuż nad sobą. A jednak wyjść tam pod górę, to ciężka praca wobec duszności, braku oddechu, jaki się nam daje uczuć po pierwszych kilku krokach w Dardżilingu. Jeszcze nie przyzwyczailiśmy się do tej wysokości i do rzadkiego powietrza. W hotelu, w wyznaczonych dla nas pokojach, palą się na kominkach wielkie kłody drzewa. W hotelowych salonach i jadalni płoną ognie, żeby wołu można odrazu upiec. Z jednej strony przypieka, z drugiej mrozem wieje, bo drzwi i okna są, jak wszędzie w Indyach, bardzo przewiewne.

Z balkonu przed naszymi pokojami ma być prześliczny widok na Kanczinczingę i całe pasmo najwyższych szczytów i lodowców. Niestety, przed nami chmury tak gęste, że się zdaje, żeby je krajać można, jak masło. Nie widać nic. Tylko głęboko pod nami odsłaniają się jakieś głębie, gigantyczne doliny zielone, po zboczach których już przewalają się nowe zwały chmur.

Godzina 3 po południu. Jeszcze kilka godzin dnia. Byłby czas gdzieś pójść, coś zwiedzać — ale nie można. Naczekawszy się na balkonie, czy nam się jaki widok nie odsłoni, schodzimy na dół, do miasta. Ale po kilkuset krokach obejmuje nas mokra, wilgotna i zimna mgła, jak morze. Na dwa kroki przed sobą nie widzimy nic. Zmoknięci i drżący z zimna wracamy do ho-

telu, by aż do wieczora grzać się przy komin-
ku. Jemy obiad, piszemy kartki widokowe, gra-
my w bridge'a, a wreszcie idziemy spać. Jeżeli
chmury się rozstąpią i będzie nadzieja widoku,
mają nas obudzić rano przed świtem i konie
wierzchowe mają być gotowe, by się udać na
wschód słońca na szczyt Senszalu (Tiger hill,
Tajgerhill), wzgórza, sterczącego na 1000 stóp
nad Dardżilingiem.

Ale nie budzono nas wcale. Wstaliśmy późno,
wśród większej jeszcze i gęstszej mgły niż wczora-
raj. Niema co robić, niema co zwiedzać. Prze-
pędzamy przedpołudnie na terasie hotelu, oglą-
dając przyniesione przez handlarzy futra, skóry
tygrysów, śliczne futra śnieżnych lampartów, bia-
łych i niebieskich lisów, tybetańskich soboli.
Wreszcie tybetańskie wyroby z brązu, żelaza,
laki, różne smoki, straszne, maski przeraźliwe,
młynki do modliwy, miecze do zabijania dja-
błów. X

Ponieważ na dole rozjaśniło się trochę i zwa-
ły chmur powędrowały ku górze, wybraliśmy się
też do miasta, do sklepów. Zwiedziliśmy najwię-
kszy sklep starożytności tybetańskich, zwany
szumnie „muzeum“ p. Mōwisa, Niemca, który tu
już od lat 40 mieszka i po niemiecku prawie
całkiem zapomniał. Ponieważ p. Mōwis ma stałe
ceny i duży wybór, więc kupiwszy u niego
pięknego smoka, orientujemy się co do cen in-

nych ciekawych przedmiotów, by potem taniej niż u Möwisa kupić to samo u przekupniów.

Po tiffinie wstępuje w nas jakaś nadzieja. W późnych popołudniowych godzinach zaczyna się chmury w górze przeredzać: mgliste morze spływa powoli ku dołowi, kryjąc wszystkie doliny pod nami. Jesteśmy naraz, jakby na ogromnej srebrzystej równi lub na cichem, białym morzu. Pod nami płaszczyzna chmur, a nad nami zaczyna przezierać i złocić tę płaszczyznę — słońce. Wreszcie — już ku zachodowi — rozdierają się wysoko chmury; jak przez okno, wysoko nad nami, błyska śnieżną białością kawałek szczytu Kanczinczingi. Kryje się wnet i odsłania się znów po raz drugi sam szczytowy lodowiec, i znowu niknie, pochłonięty przez mroza mgły.

Krótką chwilę tylko to widzieliśmy, jakby na to, by nabrać wyobrażenia o ogromie tych szczytów białych, i móc sobie wyobrazić, jakie niesłychane byłoby to widowisko, gdyby choć na chwilę odsłonił się nam był cały łańcuch Himalayów z Gaurizankarem i Kauczinczिंगą. Ale to niespełnionem miało zostać marzeniem. Drugą noc przespaliśmy znów w nadziei, że nas przed świtem obudzą i że pojedziemy na najwspanialsze na świecie widowisko górskiej panoramy na Tajgerhill. Ale obudzili nas nie ludzie, tylko piekielne zimno, mimo, że przykryci byliśmy wszy-

stkiem, co posiadaliśmy. Dzwonię, by kazać palić na kominku. Wchodzi nasz boy, w rozmaite koce ubrany, szcękający zębami — rzuca nam jedno słowo „very cold, snow“ i sprowadza boya z drzewem do palenia. Po gorącej herbacie, przy porządnym ogniu ubieramy się i wychodzimy.

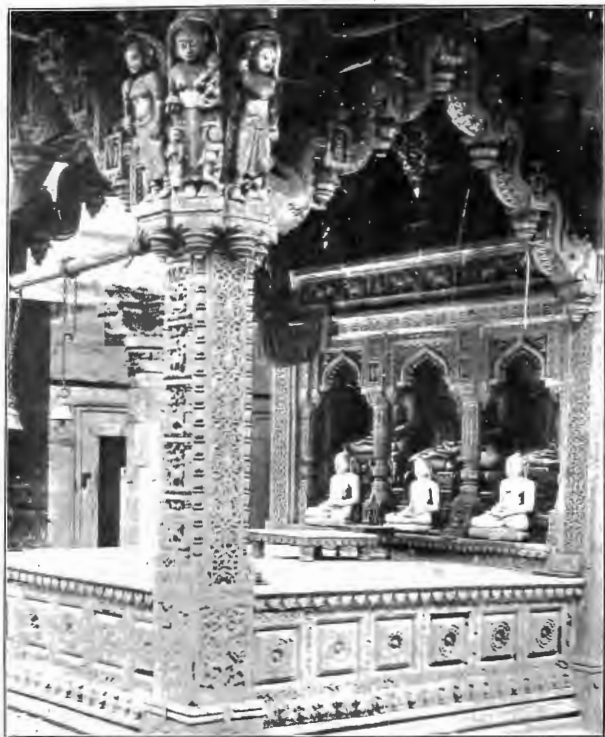
Wszystko białe. Wszystko pod śniegiem i sypie ciągle. Przed nami nie widać nic. Pod nami łamią się gałęzie odwiecznych deodorów, całe kwietne gałęzie rododendronów obłamane leżą na śniegu. A śnieg sypie i sypie. Już na 25 cm. głęboki. Nikt wyjść na świat nie może i z powodu śniegu i z powodu łamiących się ciągle pod ciężarem okiści gałęzi i konarów drzew. Mówią nam o poranionych ciężko spadającymi konarami ludziach. Istotnie deodory przed hotelem tracą w naszych oczach coraz to nowe gałęzie i konary.

Ale mówią w hotelu jeszcze o czemś gorszem. Wyrażają wątpliwość, czy będziemy mogli dziś po południu, jak zamierzamy, wyjechać z Dardżilingu, czy pociąg będzie mógł wogóle odejść z powodu zawiania kolei? Przerażeni chcemy telefonować na stację z zapytaniem. Ale wszystkie druty telefoniczne przerwane. Prosimy, by z hotelu koniecznie kogoś na stację posłano. Wszak to tylko kilkaset kroków w dół. Posłaniec wraca szczęśliwie, ale bez żadnych wiadomości. Na stacyi nic nie wiedzą, bo wszystkie

połączenia telegraficzne przez burzę i śnieg zniszczone. Zaczynamy być nie na żarty niespokojni. Siedzieć tutaj, w hotelu w Dardżilingu, wśród śniegu, zimna i mgły może i parę dni po nad program, nie widząc znowu nic, to poprostu rozpacz.

Tymczasem koło południa śnieg ustaje sypać. Menedżer hotelu przychodzi z wiadomością z kolei, że prawdopodobnie pociąg odejdzie w dół, gdyż na 300 metrów niżej nie było wcale śniegu, tylko deszcz. Powoli rozjaśnia się. Mgły w dole znikają. I widzimy już wyraźnie niedaleką pod nami granicę śniegu. Jakby nożem ucięta, rysuje się granica zieleni. Wreszcie po tiffinie przychodzi wiadomość całkiem już pewna, że pociąg odejdzie, o dwie godziny później jednak niż powinien. Cieszymy się tą wiadomością, jak dzieci, i pozostałe parę godzin przepędzamy na terasie, przypatrując się, jak tłumy mongolskiej młodzieży, wśród śmiechu i hałaśliwej wesołości biją się kulami z topniejącego szybko śniegu, jak lepią ze śniegu postać Buddy z podwiniętymi nogami i z naszyjnikiem kolorowych papierków na szyi.

Śnieg taje gwałtownie. Ścieżki i schody w dół wiodące zmieniły się w wodospady. Mongołowie wśród objawów głośnej radości uprzątają połamane gałęzie. Będą mieć opał zadarmo na kilka dni. Dostać się piechotą na dół do kolei nie



KALKATTA. — WNĘTRZE ŚWIĄTYNI DŻAJNÓW.

sposób. Wsiadamy do rykszy; trzymani z tyłu i kierowani przez kilkunastu Mongołów, którzy na zakrętach idących spadzisto w dół ścieżek muszą podierać i hamować ryksze plecami, dostajemy się na dworzec. W chwilę potem siedzimy już w małym wagoniku.

Przed samym wyjazdem, jakby na pocieszenie i pożegnanie, odsłoniło się nam znów okno na lodowe, białe szczyty w ramach z chmur, jakby w powietrzu wysoko wiszące — na parę minut.

Wjechaliśmy w morze mgły. Wśród przewalających się po zboczach, jakby białych cielsk olbrzymich, zwałów chmur, zapadła szybko noc. Nie widząc już nic, przyjechaliśmy koło 8 wieczór do pogody i ciepła, na końcowej stacyi górskiej kolejki w Saliguri.

Tak się skończyła nasza bardzo niefortunna, zimna i mokra, do Himalayów wyprawa.

Przez całe dwa dni pobytu zaledwie na chwilę mogliśmy wyjść z hotelu do sklepu; resztę czasu przepędziliśmy beczynnje na terasie lub grzejąc się przy kominku w pokoju.

Rano przed wschodem słońca zbudzono nas i za chwilę w dzień już mieliśmy sposobność przypatrzeć się z parowca imponującemu już tutaj, prawie jak zatoka morska, wyglądającemu Gangesowi. O 8 rano stanęliśmy z powrotem w Kalkacie.

POŁUDNIOWE INDYE.

Podróż na południe półwyspu. — Madras. — Miasto ogrodowe. — Nieznośne gorąco. — Akwaryum. — Ogrody gubernatora. — Marina. — Bazary. — Natężenie ludności. — Hotel w wagonie. — Rasa drawidyjska. — Madżura. — Drawidyjskie świątynie. — Stary pałac maharadzów. — Angielskie rozprawy sądowe. — Tutikorin. — Pożegnanie Indyj. — W drodze na Ceylon.

Jeszcze dzień w Kalkatcie wygrzewaliśmy się po zimnie Himalayów. Trzeba poczynić potrzebne zakupna na długą kolejową podróż. Zresztą jeszcze ponowne odwiedziny muzeum i zoologicznego ogrodu, i przejażdżka po mieście, by zobaczyć corso powozów i automobilów na mejdenie i nad Hugli. O zachodzie słońca siedzimy już w wagonie. Rozpoczęła się najdłuższa nasza w Indjach jazda kolejowa: 44 godzin pospiesznym pociągiem do stolicy Indyj południowych, do Madras.

Spaliśmy doskonale w wygodnym i obszernym przedziale; rano budzimy się wśród okolicy ślicznej, urozmaiconej i bardzo ludnej. Na lewo starannie uprawna równina, wszystkie drogi i miedze wysadzone drzewami owocowymi, męgami głównie i palmami oliwnymi. Palm oliwnych wszędzie najwięcej. Koło gęstych wiosek tworzą całe grupy i lasy. W oddali na lewo przebliskuje od czasu do czasu szafirowe morze. Na prawo zamykają widnokrąg pasma gór, gatów nadbrzeżnych o formach szczytów i zboczy tak urozmaiconych i fantastycznych, że oczy oderwać trudno. Gdzieś tam wyglądają te góry jak szereg egipskich piramid, o tak regularnych kształtach i szczytach, że przysiadzby można, że tu ręka ludzka była czynną. To znów jak ruiny zamków, jak wieże czy baszty. Aż do podnóża gór ciągną się kępy drzew, palm oliwnych, między którymi szpiczaste dachy okrągłych domków licznych wiosek.

Wszędzie grupy krajowców, pracujących w polu, czerpiących wodę z licznych studni i stawków, by ją wylewać do rowków dla zroszenia pól. Ludzie tu już czarni prawie całkiem i chodzą nago. Tylko przepaska koło bioder lub frendzelka zastępuje cały strój. Na każdej stacji tłumy krajowców. Tłumy tych, co czekają na pociąg, by nim pojechać, tłumy przekupniów sprzedających owoce, słodczyce hinduskie i wodę z sokiem. Trzy

razy w ciągu dnia pociąg zatrzymuje się na jakiejś stacji większej po 30 minut i wysiadamy, by pod poruszaną rękami krajowców panką chłodzącą spożyć „czotta hazri“, „burra hazri“ i „tiffin“. Obiad wieczorny podają nam już w wagonie restauracyjnym. Jedzenie jak zwykle koreńskie i ostre; ale widocznie zdrowe, skoro nikt z nas nie miał dotąd żadnej najlżejszej nawet niedyspozycji.

Co prawda, uważamy bardzo, by nie jeść surowych sałat, mleka, masła i nie pić mrożonej wody sodowej inaczej jak tylko z przymieszką whisky, co ma chronić od zaziębienia żołądka. Tylko na małych stacjach, gdzie lodu nie mają, pijemy t. zw. lemonkuocz, tj. ciepłą niestety wodę sodową z sokiem pięknych ciemno-zielonych cytryn. Z braniem flaszek wody sodowej do przedziału na drogę trzeba być, jak się z doświadczenia naszych sąsiadów w innym przedziale przekonaliśmy, bardzo ostrożym. Flaszki z grubego szkła, zamykane trzymaną prężeniem gazu kulką, stają się w gorącu niebezpieczne, jak bomby dynamitowe. Pękają ni stąd ni z owąd i mogą ciężko pokaleczyć odłamkami grubego szkła. Anglicy wożą zawsze ze sobą kilka flaszek, by mieć czem płukać usta i myć twarz; wody bowiem zwykłej, zawierającej często chorobowe bakterye, używać tu nie wolno. Otwierają je jednak flaszki odrazu, by gaz wyszedł, lub zawi-

jają je w koc. Radziliśmy sobie jednak inaczej. Mając ze sobą zawsze dwa duże termofory, woziliśmy w jednym przynajmniej przegotowaną, gorącą wodę.

Druga noc w wagonie mniej była młną niż pierwsza, z powodu gorąca i moskitów, które, zwabione światłem, zgromadziły się w wielkiej ilości w przedziale. Musieliśmy zostawiwszy, okna otwarte, pogasić światła i puścić w ruch wszystkie wentylatory elektryczne, by choć część moskitów wypędzić. Potem przy spuszczonej siatkowych oknach i pod wirującymi wentylatorami spaliśmy lepiej, ale rano obudziliśmy się z śladami bolesnych ukąszeń na rękach i twarzy.

Trzeciego dnia popołudniu stanęliśmy wreszcie w Madras.

Dziwne to miasto Madras. Nie miasto, tylko 600 tysięczna wieś, rozsiadła wśród ogrodów placów, łąk szerokich, rzek, jezior i lasów. Z wyjątkiem małej części, zamieszkałej wyłącznie przez krajowców, nie ma tu nigdzie dwóch domów czy kamienic, bezpośrednio przy sobie stojących. Wszystko w ogrodach, dom od domu poprzedzielany wielką przestrzenią zieleni. Czasem jedzie się długo, jak przez las, poprzerywany łąkami i zapomina się zupełnie, że to miasto, bo domów, ukrytych gdzieś w gąszczu, ani śladu.

Praktycznie zrobili Anglicy, budując w ten sposób ogrodowy, swoją stolicę południowo indyjskich prowincyj. Inaczej bowiem nie wytrzymałoby tu, w tym klimacie, gdzie po upalnym, zfojnym dniu następuje gorętsza jeszcze, parna, nie przynosząca żadnej odchłody, noc. Tak przynajmniej w dzień jest cienia obfitość i ochłodzić się można przed parną nocą rzeźwym od morza powiewem. W dzień, o ile się na słońce nie wychodzi, gorąco nie dokucza tak bardzo, zaś przed zachodem słońca wstaje chłodny wiatr od morza: wtedy na nadbrzeżnej, szerokiej alei i na piasku wybrzeża gromadzi się cały Madras. Ale w nocy wiatr ten zupełnie ustaje; przewiewu najmniejszego, a natomiast rozgrzana ziemia oddaje swe gorąco powietrzu, wstają opary — i noce są wprost nie do wytrzymania.

Trafiliśmy w Madras na najlepszy hotel ze wszystkich, jakie dotąd spotkaliśmy w Indyach. Hotel d'Angelis, nie wielki, ale czyściutki i urządzony wybornie. Mamy przecie raz obok jasnego, dużego, doskonale umeblowanego pokoju, prawdziwą łazienkę z prawdziwą, czyściutką wanną. Z jednym tylko kurkiem na wodę wprawdzie, no ale gorącej wody do kąpieli nikt tu nie pragnie, bo tak zwana zimna właściwie zupełnie jest letnią. W tym pokoju, po kąpieli, przy pootwieranych na przestrzał drzwiach i oknach, pod wirującym mocnym wentylatorem, miałem

po raz pierwszy uczucie, że to nie do wytrzymania, że kilka takich nocy, a zginąłby człowiek poprostu.

Następnego dnia najętym na cały dzień powozem zwiedzamy miasto. Budynek publiczne, wielki park ludowy z klatkami tygrysów, ogród botaniczny, muzea i akwaryum. Najciekawszem było małe, ale śliczne akwaryum, z okazami ryb i innych morskich stworzeń bengalskiej zatoki. Ryby niektóre o barwach żywych i jaskrawych, jak motyle lub kwiaty. Nie miałem pojęcia, że ryby o tak jaskrawych barwach, cytrynowo żółte i szafirowe, czerwone i zielone istnieją wogóle na świecie.

Zachwyił nas dalej ogród, otaczający pałac gubernatora. W ogrodzie tym, nie zamkniętym, przez który powozami się przejeżdża, na rozległych trawnikach całe stada jeleni, nilgaji z małymi różkami i przeróżnych gatunków antylop. Wszystkie te zwierzęta, na pół widocznie oswojone, bo ludzi i powozów nie boją się nic, są na zupełnej wolności; park bowiem otwarty i opuścić go każdej chwili mogą. Mimo to trzymają się w nim, żerują i mnożą się swobodnie.

Wreszcie, co może najmilsze w Madras i ze względu na tłumy krajowej ludności bardzo zajmujące, to przejażdżka wspaniałą drogą nabrzeżną, Marina, wśród orzeźwiającego wiatru od morza. Na

drodze tysiące ekwipaży, automobilów, konnych, pieszych i na rowerach; na długiej plaży nadmorskiej, na piasku, dziesiątki tysięcy krajowej kolorowej ludności bawi się w gry, siedzi, biega, śpiewa, rozmawia i używa całą pierśią chłodu.

Niemilemi są natomiast tutejsze rojne i gwarne bazyry z powodu natarczywości kupców i przekupniów i natrętnego żebractwa. W bazarach roi się poprostu od nagich brązowych ciał. Mężczyźni noszą tylko przepaskę koło bioder, kobiety nie wiele więcej, a dzieci do lat kilkunastu chodzą zupełnie nago. Zabawnym jest skromny strój dziewczynek i kilkunastoletnich nieraz chłopców, którzy noszą tylko powieszony na sznurku od pasa monokl, zwierciadełko, piszczałeczkę, metalowe serduszko lub kluczyk. A gdy się zbliżyć, podnosi każdy swoje wieszadełko, by się błyszczącym cackiem pochwalić.

Specjalnością bazarów Madrasu są muszliny. Piękne ręczne wyroby, przetykane srebrem i złotem, lub mieniające się barwami tęczy. Tylko kupować tutaj nie łatwo. Odrazu bowiem po pojawieniu się w bazarze otacza człowieka cały tłum żebrzących, wciągających brzuchy i klepiących się głośno po nich, dla udowodnienia głodu krajowców, którzy pchają się za Europejczykiem do sklepu i biegną całą gromadą za powozem. Wogóle żebractwo i natręctwo jest tu prawie tak bezwstydné i natarczywe, jak w Port Said

lub przy piramidach pod Kairem. Wystarczy spojrzeć na krajowca, by zaraz rękę wyciągnął, bijąc się z hałasem po gołym brzuchu.

Nie można wskutek tego obserwować typów spokojnie. Raz chciałem fotografować interesującą grupę mężczyzn i kobiet oraz nagich ślicznych, jak czekolady brązowe, dzieci. Starsi spostrzegli zamiar, ustawili się więc zaraz razem z dziećmi, pozując; potem wszyscy oblegli mnie, żądając natarczywie i groźnie zapłaty za fotografowanie. Gdzieindziej znów na piasku nadmorskim zauważyłem tłum krajowców, zgromadzonych przy złowionym świeżo wielkim rekinie. Chciałem, by się trochę rozstąpili, bym mógł rekina na tle morza i grupy rybaków odfotografować. Zażądali jednak, by im z góry zapłacić dwie rupje. Oczywiście nie odpowiedziałem nic na tę propozycję i odszedłem, goniony przez krajowców, żądających już jednej rupji, potem tylko 8 annów. Dopiero, ujrawszy policyanta z knutem gumowym, cofnęli się szybko z powrotem.

Po zwiedzeniu w przeciągu dwóch dni pięknego, choć gorącego bardzo Madrasu, wybraliśmy się w dalszą drogę na południe, z zamiarem zatrzymania się w Madżurze, dla obejrzenia słynnych drawidyjskich świątyń. Zwiedzanie jednak południowych Indyj łatwym nie jest. Na południe od Madras nie ma już nigdzie, w żadnym

z wielkich, po półtora tysiący ludności liczących miast, jak Triczinapalii i Madżura, żadnego zgoła hotelu. Są tylko pokoje gościnne na dworcu kolejowym lub w dag bangalo, lecz pokoi tych jest zaledwie kilka i zawsze prawie są zajęte; zamawiać zaś naprzód nie można, według przepisów bowiem pokój zajmuje, kto pierwszy się zjawi, a ma prawo mieszkać 24 godzin, poczem ustąpić musi następcy. Nigdy też nie można naprzód wiedzieć, czy się jaki pokój dostanie czy nie trzeba będzie zaraz dalej jechać z powodu braku noclegu.

Chcąc jednak koniecznie choć jedno z miast południowych, choć jedną grupę drawidyjskich świątyń zobaczyć, nie mieliśmy innej rady, jak nająć dla siebie w zarządzie kolejowym cały wagon, z tem, że wagon ten ma być w Madżurze odczepiony i przesunięty na boczny tor, abyśmy w nim spokojnie mogli przenocować, po 24 godzinach zaś przyczepiony znów do jadącego do Tutikorin pociągu. Takie wynajęcie wagonu kosztuje stosunkowo niedrogo, 20 rupij oprócz ceny biletu kolejowego, a ma się w ten sposób zapewniony wygodny nocleg.

Z Madras na południe przejeżdżamy jedną z najbogatszych prowincyj Indyi. Żyzna, jaskrawo zielona równina nawodnionych pól ryżowych, urozmaicona gajami palm oliwnych, kokosowych i palm Areca. Gęste osady kryją się w zaroślach

bananowych plantacyj. Jedziemy przez ogród południowych Indyj. Kraj zaludniony o wiele gęściej, niż Belgia. Przekonywa o tem każda stacja kolejowa. Takich tłumów, takich tysięcy czarnych ludzi, rojących się na najmniejszej stacji, nigdzie nie widzi się w Indjach. Wysokie, silne, pysznie zbudowane postacie o czarnej zupełnie skórze t. zw. Tamilów, nagich prawie zupełnie, otaczają nas wszędzie. Czysta to rasa pierwotnych mieszkańców Indyj, Drawidów. Krwi aryjskiej niema tu już ani śladu. Chyba wśród tutejszych braminów, którzy czarni także zupełnie, odznaczają się jednak szlachetnymi rysami twarzy.

Ta drawidyjska rasa stworzyła pod wpływem hinduizmu, dążącego wszędzie do zaznaczenia się ogromem i wspaniałością świątyń, potężniejsze jeszcze i dziwniejsze, niż na północy, kolo-sy świątyń, odznaczających się jednak w swych kształtach i ozdobach takim egzotycznym dziwactwem, taką wybujałością ozdób plastycznych, takim niesłychanem przeładowaniem, że może to Europejczyka zdumiewać; ale podobać się nie może z nas nikomu. Pierwszą taką grupę świątyń mijaliśmy z daleka w Tanczur. Drugą widzieliśmy już wyraźnie i dość z bliska, przejeżdżając przez Triczinapalli.

Wysoka skała, ukoronowana malowniczymi budowlami; poniżej na około miasto; w oddali

srebrna wstęga rzeki a nad nią z pomiędzy pióropuszy palm sterczą zdala widoczne piramidy gopur.

Dojeżdżamy wreszcie do stacji Madżura. Opuściliśmy nasz wagon, zostawiając go pod wierną i czujną strażą naszych boyów. Do roboty nie bardzo są zdadni i chętni, ale do pilnowania rzeczy doskonali. Nie odejdzie żaden na krok, pod żadnym pozorem; to też nie zginęło nam dotychczas nic podczas całej podróży. Gdy czasem przez zapomnienie zostawi się cokolwiek, lustrujący pokój boy odnosi wszystko, nawet to, co naumyślnie zostawialiśmy, jak puste pudełka z papierosów lub stare gazety.

Madżura, to południowo-indyjskie Benares. Świątynia tutejsza przewyższa świętością i rozmiarami wszystkie inne kolonie świątyń drawidyjskich. Jedziemy do niej przez piękne, czysto hinduskie miasto. Ani w typach, ani w budynkach niema tu nic ani europejskiego, ani maurytańskiego. Sami czarni, piękni Tamilowie, ich typowe budynki i domy mieszkalne wśród powodzi kwiatów, jaskrawej zieleni, tropikalnej roślinności. Palmy wszystkich gatunków, banyanowe drzewa, mengowce, bambusy i tamaryndy.

Naraz stajemy przed olbrzymią gopurą: piramidalną bramą świątyni. Wszystkie do góry idące płaszczyzny wypełnione miejsce w miejsce tysiącami rzeźb kamiennych postaci bogów, lu-

dzi i zwierząt oraz fantastycznych potworów. Z daleka wygląda to ślicznie: wielka gopura, rysująca się ostro na błękitnie nieba i przewyższająca stokrotnie domki miasta; na wskroś hinduski obraz — w tem świetle i w tych barwach. Z bliska jednak traci się już potężne wrażenie całości; oko gubi się i męczy w kamiennych ornamentach i postaciach, któremi całe ściany, wszystkie gzymsy piramidy od góry do dołu są pokryte.

Cały chaos, cała orgia rzeźbiarskiej swawoli czy szaleństwa rozwija się przed zdumionem okiem. Jest to jak równikowa dżangla z całym dziwactwem i różnaitością drzew, liści, kwiatów i na poprzek poplątanych lianów. Widząc ten korowód, te postacie piesze, konne i na słońiach, wystające ze ścian gopury w całej wysokości nadnaturalnej, ma się wrażenie, że to jakiś popłoch padł na te dziwne figury i że w strachu panicznym pouciekały wszystkie na kamienną piramidę, tłumnie i w nieporządku, traktując sobie nawzajem po głowach. Zdumienie rośnie, gdy przeszedłszy pierwszą bramę widzimy, że takich samych, równie rzeźbami pokrytych gopur jest jeszcze osiem. Podobno dziesiątki tysięcy kamieniarzy i rzeźbiarzy przez 30 lat pracowało, wykonując to dzieło, dziwne, dzikie i poplątane, ale godne olbrzymów.

Minąwszy bramę gopury, wchodzimy w długi kolumnowy korytarz, którego ściany pokryte są

freskami. Tą galeryą dochodzimy do basenu świątyni, t. z. złotej lilii. W wodach jego z przedziwną czystością odbija się największa gopura, stanowiąca bramę do sanctissimum, którego dach złoty widoczny jest zdala. W świętym basenie tłumy kąpiących się, bo kąpiel ta oczyszcza z grzechów prawie równie dokładnie, jak woda świętego Gangesu w Benares. Do sanctissimum, wejść nam nie wolno; zwracamy się więc do kolumnowego budynku, w którym stoi święty wóz Sziwy, cały ze srebra i złota, niesłychanej wprost wartości. Po złożeniu wytargowanej mierzalnie kwoty 15 rupij pokazują nam bramini skarbiec świątyni. Na marmurowym stole kładą matkę, przynoszą krzesła, na których siadamy, i zaczynają znosić i rozstawiać przed nami bajecznej wprost wartości, ale całkiem barbarzyńskie kosztowności, klejnoty i ozdoby. Korony Sziwy z rubinami, jak pięść dziecka, szlifowanemi jednak obrzydliwie, z potwornej wielkości, ale brzydkiego kształtu perłami. Znoszą nam wszystkie części uroczystego stroju Sziwy: przypomina mi to trochę skarbiec sułtański w starym Seraju w Stambule, tylko że tu kosztowności i kamienie jeszcze większe, jeszcze gorzej szlifowane i poprawne.

Zwiedzamy dalej halę tysiąca kolumn. Każda kolumna okryta rzeźbami, każda inna; ani razu nie powtarza się ten sam motyw, ta sama postać.

Rzeźbione w kamieniu sceny wprost obrzydliwie pornograficzne, przypominające świątynię Nepalu w Benares, tylko że tu więcej jeszcze uwiecznionego w kamieniu wyuzdania. Jest jeszcze taka sama, nowa kolumnowa hala 100 metrów długości, a 35 m. szerokości. Hala otwarta ku południowemu słońcu; masa w niej światła; cały las postaci ludzi, bogów i zwierząt, cała płatanina dekoracyi czyni majestatyczne, ale przygniatające wrażenie.

Zmysł nie są wstanie tego chaosu objąć. Gdy się to zdumionemi oczami i z zamętem w głowie ogląda, ma się uczucie, że to wszystko pochodzi chyba z jakiejś bardzo zamierchłej, wiele tysięcy lat wstecz sięgającej starożytności, gdy umysły ludzkie inaczej były sformowane, miały jakieś inne, jakby z innego świata pochodzące pojęcia o pięknie i o sztuce. A jednak te świątynie są nowe, mają kilkaset lat najwyżej, niektóre części lat kilkadziesiąt, a inne jeszcze budują i kończą, rzeźbiąc w ten sam dziki i wynaturzony sposób. Ten sam kult okropności grozy i bezwstydnej lubieżności trwa i żyje do dzisiaj w niezmnieszonej sile w sercach setek milionów.

To, co widzi się w północnych Indyach, nie tylko w Agra i Delhi, ale nawet i w Gutzera-cie i Radżputanie, może przejąć i zachwyć. Jestto sztuka prawdziwa, choć dziwna, ale zro-

zumiała i naszym umysłem bliższa. Natomiast, to co jest w Indyach południowych urąga wprost wszelkim pojęciom naszym o pięknie i sztuce: wyszło z drawidyjskiego, tak nam obcego ducha, że pozostajemy zdumieni, przerażeni, ale całkiem zimni. Niepokój, wstręt i zdumienie nad gigantycznymi wysiłkami pracy, źle użytej, to nasze uczucia.

In Indien möchte ich selber leben
Hätte es nur keine Bildhauer gegeben

napisał Goethe, i o ile myślał o południowo indyjskich rzeźbiarzach, miał zupełną słuszość.

Nietylko dzikie formy architektury i rzeźby rażą nas wśród ogromu drawidyjskiej świątyni w Madżurze. Nie tylko kamienne, ale i żywe postacie stają się nam coraz więcej nieznośne. Napastliwe żebractwo na każdym kroku. Żebrzą nietylko żebracy, żebrzą bramini, żebrzą i słonie świątyni, doskonale do tego przyuczone.

Dwa z tych olbrzymów chodzą ciągle za nami, następując bez mała na pięty i wyciągając do nas trąby. Są tak wprawne, że odróżniają odrazu małą srebrną monetkę dwuannową od nikłowej anny lub brązowych pisów. Za pierwszą dziękują, zginając kolana, za tamte nie dziękują wcale, podając je z lekceważeniem trąbą towarzyszącemu braminowi. Słonie te i przez to są



MADURA. — ŚWIĘTY BASEN.

nieznośne, że nie czyszczone jak się zdaje często, bardzo nie pachną. Nie pachnie tu zresztą wszędzie: cała świątynia, w której tysiące pielgrzymów śpi, je i inne załatwia potrzeby, w której widzi się też na każdym kroku najokropniejsze nędze ludzkie, straszne rany, wrzody i choroby, dużo trędowatych, dużo też chorych na lupus, elefantiasis, z nogami, jak pnie drzew.

Oprócz wielkiej świątyni, na której zwiedzenie szeregu godzin potrzeba, jest jeszcze daleko za miastem wśród wspaniałych palmowych lasów, na wyspach wśród licznych sztucznych jezior, cały szereg małych gopur i świątyń. Niektóre z nich tak malowniczo wyglądają z daleka, że wolimy ich już z bliska nie oglądać, by nie psuć sobie wrażenia całości i otoczenia, potwornymi szczegółami. Jedna z tych świątyń — gopura, położona na wysepce zielonej w środku sztucznego jeziora — bieleje smukłą piramidą po nad pióropusze obrastających ją palm i odbija się z nieporównaną czystością w cichych wodach, pełnych żółwi i kolorowych ryb. Jezioro wielkie, więc, patrząc z brzegu, nie widzi się barbarzyńskich prawdopodobnie szczegółów, tylko bardzo nastrojową całość.

Brzegi całego jeziora ustrojone grupami mniejszych świątyń wśród gęstwi drzew banyanowych, Jedna ma dach całkiem płaski, a na nim w ścisku okrutnym i pomieszaniu fantastycznym cały

hinduski Olimp: tysiące postaci ludzkich i nadludzkich, wieloramiennych i wielonogich, zwierząt, gryfów i potworów, wszystko rzeźbione w drzewie, marmurze lub lepienie poprostu z gliny. Wszystko to wota pobożnych. Każdy z odwiedzających świątynię Hindusów przynosi nową rzeźbioną postać byka, najczęściej wieloramienną Durgę i ustawia na dachu. Miejsca wprost na dalsze wota brakuje; dawniejsze gliniane, postacie leżą już naokoło, pozrzućane z góry i potrząskane. Tu widzi się wśród zarośli kawałek glinianego tułowia, to głowę słonia, tam znów łeb rogaty świętego byka.

A naokoło lasy gęste, tysiące pni drzew banyanowych z ich korzeniami powietrznymi i pióropusze palm kokosowych z masą złoto-żółtych owoców. Cudna tropikalna okolica, prawdziwe Indye, takie o jakich śniłem nieraz, jako o czemś najdziwniejszem na świecie.

Drugiego dnia pobytu w Madzurze budzi nas wczesnie gwar piskliwych głosów dziecięcych. Świta dopiero. Znajdujemy się daleko od widnej w oparach porannych stacyi, wśród gęstych zarośli i ukrytych w zieleni domków krajowców.

W nocy przetoczono nasz wagon daleko na boczny tor: obudziliśmy się obłożeni przez gromady nagich, czekoladowych dzieci i kobiet, czepiających się schodów wagonu i zaglądnających uparcie do wszystkich okien. Nasi boye

śpią jeszcze w swoim przedziale; nie ma kto dzieci odgonić; ubierać się trzeba i myć w łazience wagonu całkiem publicznie, bo w oknach aż gęsto od czarnych głów kobiet i dzieci, śledzących z ciekawością nienasyconą każdy nasz ruch. Opryskiwanie wodą, zasuwanie żaluzji i zaświecania elektryczności pomaga nie wiele. Przez szparki żaluzji wciska się wszędzie ciekawe spojrzenie. Budzimy boyów. Powstaje wrzask piskliwy odgonionego tłumu; pod strażą służby można wreszcie spokojnie wykąpać się i ubrać.

Po śniadaniu na stacyi i odwiedzeniu raz jeszcze świątyni oglądamy pałac dawnych maharadzów Madżury, Tirumala Nayak. Podziwiamy widok z dachu pałacowego. Naokoło ukryte wśród tropikalnej zieleni miasto i wielka świątynia z piramidami gopur i błyszczącymi zwierciadłami świętych basenów; a w oddali gęste palmowe lasy i błękitne kontury ostrych, zygzakowatych gór.

Pałac maharadzów służy obecnie na pomieszczenie angielskich władz i sądów. W obszernych salach na parterze odbywają się rozprawy sądowe. Na podwyższeniu, na wysokim fotelu, siedzi pod powiewającą panką biały angielski sędzia, poniżej krajowi czekoladowi wotanci. Naokoło tłumacze, strony i tłum przysłuchujących się rozprawie krajowców. Biały Anglik w uroczystym stroju siedzi, jak król, wysoko nad tłumem wśród

pompy wielkiej i z powagą ogromną. Wszyscy patrzą mu na usta, z których pada czasem słowo, zapytanie, tłómaczone zaraz na język krajowców. Więszem podobno niż strach, niż niechęć, jest zaufanie krajowców do bezstronności i sumiennosci angielskich sędziów.

Przed południem przyczepiają nasz wagon do odchodzącego do Tutikorin pociągu. Kilka godzin gorącej jazdy przez okolicę, jak ogród, przerywany mnogością rzeczek, stawów i nawodnionych pól ryżowych: następuje smutne pożegnanie Indyj na piaszczystem płaskim wybrzeżu morskiem w Tutikorin.

Długa rewizya sanitarna: lekarze upewniają się spojrzeniem przez okna wagonu, że nie mamy dżumy ani cholery i dają pozwolenie na wyjazd do Ceylonu. Pożegnanie z naszymi boyami, którzy, by uzyskać pozwolenie na jechanie z nami do Colombo, musieliby odsiedzieć w Tutikorin ośmiodniową kwarantannę. Zresztą na Ceylonie nam niepotrzebni; tam już po europejsku urządzone hotele i wożenie służby zbyteczne.

Żegnani błogosławieństwami boyów, siadamy niebawem na małą łódź parową i w ścisku jedziemy godzinę przeszło do stojącego kilka mil od brzegu angielskiego statku pasażerskiego. Statek lichy i brudny, kabina z twardemi jak deska łózkami, brudne sale jadalne i pokłady. O jedzeniu lepiej nie mówić. Całe szczęście, że jazda

z Tutikorin do Colombo trwa tylko 15 godzin. Na linii tej chodzą najstarsze i najgorsze statki, kolej bowiem z Indyi do Ceylonu przez małe wysepki tz. mostu Adama i olbrzymie mosty nad cieśninami morskimi jest na ukończeniu. W przyszłym roku już nikt morzem z Tutikorin do Colombo jeździć nie będzie, a statki będą tylko przewozić towary. Więc o wygody pasażerów teraz dbać nie warto.

O zachodzie słońca podnosimy kotwicę i w godzinę potem nikną nam z oczów płaskie wybrzeża południowego cypla Indyj.

COLOMBO.

Ceylon a Indye. — Wjazd do portu Colombo. — Wyładowanie. — Pierwsze wrażenia. — Hotel Galle Face. — Egzotyczni goście. — Singalezka służba. — Place i gry sportowe. — Ich znaczenie pedagogiczne. — Słodkie jeziora. — Park Wiktoryi. — Muzeum. — Parne noce. — Owoce Ceylonu. — Za cenę aresztu. — Znaczenie portu Colombo. — Miasto krajowców. — Singalez czy Singalezka? — Rezerwoary wodne. — Colombo pod względem religijnym. — Wzrost katolicyzmu. — Katolickie kościoły. — Okolice miasta. — Do świątyń buddyjskich w Kelanyi. — Mount Lavinia.

Ceylon (Anglicy wymawiają „ssilan“) geograficznie tylko blizki jest Indyom. Po za tem, to świat zupełnie inny, w niczem prawie do Indyj niepodobny, jak o tem w przeciągu stosunkowo dłuższego, dwutygodniowego pobytu mieliśmy się sposobność przekonać.

Indye, to kraj olbrzymi, pełen najdziwaczniejszych, niesłychanych pod każdym względem

kontrastów. Pod względem geograficznym znajdzie się w tym kraju, rozległym jak kontynent, wszystkie możliwe formacje gór, równin rzekami zroszonych, bezwodnych stepów i pustyń, wszystkie klimaty, od równikowego na południowej kończyźnie aż do lodowatego wśród najwyższych w świecie łańcuchów górskich. Natomiast mała wyspa, Ceylon, jest całą wielką równikową cieplarnią, z małym tylko pasmem gór i chłodniejszego wyżu w środku wyspy.

Pod względem etnograficznym wypełnia Indye mieszanina najrozmaitszych pochodzeniem ras ludzkich, 100 ludów mówiących 100-ma językami i narzeczami, stojących na najróżniejszych szczeblach cywilizacji, od najwyższej cywilizowanych, bardzo uzdolnionych, aż do plemion niemal zupełnie dzikich.

W Ceylonie natomiast jest właściwie jeden tylko lud, dawnych władców i mieszkańców wyspy, ciemnoskórych ale o klasycznych rysach twarzy i budowie Singalezów. Bo lud drugi, Tamilowie, to ludność napływowa, robotnicza, nie zamieszkała tu stale, lecz zmieniająca się ciągle falą napływających z Indyi i powracających tamże płci obojga zarobników.

Pod względem ekonomicznym są Indye krajem ostateczności: obok bajecznych wprost bogactw, najskrajniejsza nędza głodowa, obok pałaców, nory, obok najbardziej lśniącego blasku, najszar-

sza szarzyzna. W Ceylonie natomiast, pominawszy trochę Europejczyków, bogactwa rozdzielone są równomiernie; niema wielkich bogaczy, ale też i głodu nikt na tej wyspie nie cierpi; nędzy nie ma i być nie może, bo bez pracy niemal każdy ma co jeść a ubierać się prawie nie potrzebuje.

Pod względem społecznym jest w Indyach do absurdu doprowadzony podział społeczeństwa na tysiące kast, stanowiących odrębne dla siebie światy, w sobie zamknięte, a od innych murem nieprzebytym oddzielone. Na Ceylonie są tylko, odcięci od społeczeństwa, tutejsi paryasi, zwani Rodya; poza tem nieliczne kasty istnieją tylko z imienia.

Politycznie Ceylon nie należy do cesarstwa indyjskiego: jest kolonią królewską i jako taki zależy wprost od króla Anglii i odrębnie zupełnie jest administrowany. Niema tu już pola do tak interesujących studyów politycznych, jak w Indyach, gdzie 350 milionów różnych ludów rządzonych jest przez nieliczną garstkę Anglików, częścią bezpośrednio, częścią za pośrednictwem licznych miejscowych władców, zostających do rządu zdobywczego w najrozmaitszym stosunku zależności. Na Ceylonie o $3\frac{1}{2}$ milionowej ludności, w czem 2,700.000 łagodnych, inteligentnych i łatwych do rządzenia Singalezów, nie jest już sztuką żadną utrzymawać porządek i podnosić kraj pod każdym względem, w tem-

pie o wiele szybszem niż to było możliwem w Indyach.

Wreszcie pod względem religijnym jest w Indiach kilka potężnych liczbą wyznawców religij, dzielących się na mnóstwo sekt i odcieni, kilka religij, zmagających się ze sobą od wielu stuleci. To współzawodnictwo, to zmaganie się między sobą kultów religijnych zaznaczyło się bajeczną wprost wspaniałością świątyń i grobowców. Historia tych walk religijnych pisana jest w kamieniu, w cudnych pomnikach budownictwa i rzeźby, które religia bramińska z jednej, a buddyjska i mahometańska z drugiej strony, z największymi, gigantycznymi wprost wysiłkami stworzyły. W Ceylonie panowała od 22 wieków jedna tylko religia, buddyzm, bez żadnego zresztą współzawodnictwa. Dopiero w najnowszych czasach wtargnął tu przyniesiony przez robotników tamilskich hinduizm; zdobywa też grunt i zwiększa szybko liczbę żarliwych wyznawców katolicyzm. Przez 2000 lat jednak nie miał kult buddyjski tej podniety do zaznaczenia się przepychem świątyń, jaką miały kulty religijne w Indiach. Stąd tutejsze świątynie i stupy buddyjskie małe są, marne i przeważnie nie warte widzenia. Zdziwiają wprawdzie ogromem odwieczne z przed 22 wieków stupy w ruinach singalezkich, ale zarosłe całe krzewiem i trawą, nie robią już wrażenia dzieł rąk ludzkich. To poprostu zielone

pagórki, sterczące nad koronami drzew równikowej puszczy leśnej.

Więc Cyleon pod wielu, wielu względami zupełnie różnym od Indyj jest krajem. Indyje więcej interesujące, ciekawsze, jako niewyczerpany materiał do najróżnorodniejszych spostrzeżeń i studyów; ale Ceylon miłszy przecie i piękniejszy szaloną bujnością równikowej flory, oryginalnością fauny, czarujący wdziękiem wesołej i inteligentnej ludności. Dla turysty rajem jest prawdziwym ta zielona, pachnąca wyspa. Hotele nie gorsze już, niż w pierwszorzędnym europejskich stolicach, schroniska tzw. resthauzy lepsze w każdym razie od hoteli w Indjach, koleje dobrze urządzone, a drogi tak wyborne, że wszędzie, przez dziewicze lasy i dżangle automobilem można dojechać i całą wyspę zwiedzić w ten sposób dokładnie w ciągu tygodnia.

Była 6 rano, gdy ujrzeliśmy z pokładu statku w niebieskiej mgłę oddalenia, góry Ceylonu. Rysowały się przed nami coraz wyraźniej w sinych tonach wielkie trzony górskie, a wśród nich odszczególnia się szpiczastym kształtem święty szczyt tych gór, noszący nazwę pierwszego rodzica Adams Peak.

Zbliżamy się, szybko. Słońce wschodzi wśród blasków złoto-czerwonych, pasma gór kryją się

powoli i pierwsze promienie słońca ukazują nam jaskrawą zieleń lasów palmowych. Cudny obraz staje się coraz w szczegółach wyraźniejszym. Widzimy już przed sobą wejście do portu i dachy pałaców, na krańcu widnokregu na prawo niezmierne lasy kokosowych palm i jasny pałac „Mount Lavinia Hotel“.

Blżej ku portowi odsłania się soczysta zieleń ogrodów i łąk rozległych, Galle Face z hotelem tegoż nazwiska nad samym brzegiem morza. Wyłaniają się też powoli z błękitnej roztoczy coraz nowe gmachy, pałace, lasy palm, zielone bukiety ogrodów, dolatuje już woń upajająca kwiatów, jakby tuberoz lub jaśminu.

Zbliżamy się do wielkich tam kamiennych, na które wdzierają się z wściekłością fale, rzucając wysoko wypryski piany. Wąskim przesmykiem między dwie tamy wjeżdżamy wolno do portu Colombo. Zapach kwiatów i korzeni potęguje się, obejmuje nas parne gorąco cieplarni, a oczy nie wiedzą na czym spocząć, tak barwny, wesoły na tysiące szczegółów rozdzielony mamy przed sobą obraz.

Mijamy szereg stojących na kotwicach parowców, o flagach wszystkich krajów i części świata. Wreszcie otacza nas rój łodzi; uszy uderza gwar siedzących w łodziach, żywo gestykujących, silnych, rosłych Tamilów, i cichszych, drobnej, misternej budowy o niewieścim wyglądzie Sin-

galezów. Statek rzuca kotwicę, tłum kolorowych wypełnia w momencie pokłady, ofiarowując nam swoje usługi, jako wiosłarze, zalecając hotele lub sklepy.

Za chwilę jesteśmy już w domu cłowym i przebywamy szybko powierzchowną rewizję bagaży. Niewiadomo dlaczego kazano nam zapłacić dwie rupie cła za wiezionego w osobnej skrzynce brązowego smoka z Dardżilingu. Poza tem nie otwierano nawet kufrów. W porcie ruch i zgiełk. Tysiące Tamilów, zajętych przy ładowaniu herbaty, napełnia powietrze krzykliwym gwarem.

Za chwilę siedzimy w rikszach, dwukołowych ślicznych wózekkach, ciągnionych przez człowieka, najczęściej półnagiego, barczystego Tamila, biegnącego z pasażerem niezmordowanie wyciągniętym kłusem. Najpierw przez ulice t. zw. Fortu, potem cieniłą aleją, przez łąki i place sportowe, brzegiem morza do hotelu Galle Face.

Pierwszy widok miasta Colombo, z całym lasem palm różnorakich, poprzerzinyanym drogami, wysypanemi czerwonym piaskiem, robi niezwykle wrażenie. Trudno oddać słowami tę orgię równikowego bogactwa roślinności, różnych tonów zieleni, form, barw i zapachów. Tyle w tem mieście lasów, łąk, jezior słodkich, ogrodów, tak wszystko tonie wśród zieleni i kwiatów, że przybyszowi z Europy niełatwo z początku uwierzyć, że wśród

tego morza roślinności ukrytem jest miasto o 160.000 ludności.

Słusznie też nazywają Anglicy Colombo *The city of gardens*, bo miasto całe jest jednym ogrodem, urozmaiconym łąkami i zielonymi placami sportowymi, oraz obfitością wód słonych morza i słodkich jezior w których, jak w zwierciadle, odbija się gęstwina równikowej roślinności. Całymi milami można jeździć w tem mieście a ciągle w cieniu drzew, bambusów wyniosłych i pierzastych, drzew chlebowych, palm daktylowych, kokosowych, palm Areca, królewskich i Talipot, krzewów kakaowych, cynamonowych zarośli i zatrzęsienia kwiecia barwnego, wśród którego przeważają kremowe kwiaty hibiskusów.

Hotel, do którego zajechaliśmy, Galle Face hotel, jest bezsprzecznie jedną z ciekawości miasta i wyspy. Nie ustępujący pod względem wygód, doskonałej obsługi i kuchni pierwszorzędnym hotelom w Szwajcaryi i Egipcie z urządzeniem sypialni i przylegających łazienek, zastosowaniem do klimatu równikowego, z szeregiem pysznych salonów, czytelnicy, sal jadalnych, teras wielkich, balkonów, podcieni — pełny jest zawsze interesujących bardzo gości, pochodzących ze wszystkich części świata. Oprócz Europejczyków wszystkich narodowości, Anglików z Australii i Amerykanów, widzi się na terasach, w salonach i salach jadalnych Chińczyków płci obojga w bar-

wnych, wzorzystych, jedwabnych szatach, mężczyźni z długimi warkoczami w płaskich, okrągłych czapeczkach, kobiety chodzące chwiejnie na zdeformowanych na kształt kopytek stopach; Japończyków, ubranych niestety przeważnie po europejsku, czasem tylko wieczorem w salach balowych w narodowych oryginalnych strojach, kobiety zaś jak laleczki w pięknych kimonach z niesłychanie spiętrzonemi fryzurami. Dalej Arabowie w białych szatach, Malajowie z wielkich wysp, mieszańcy rozmaitych ras i barw skóry a wreszcie zamożni Singalezi, prześliczne ludzkie typy, w na wpół zeuropeizowanych strojach. Zabawni są tutejsi inteligentni Singalezi, gdy przyjdą na zabawę taneczną w swych wieczorowych toaletach.

Damy ubrane czysto po europejsku, w balowych sukniach; głębokie dekoltyce pozwalają obserwować mocno brunatne wdzięki. Mężczyźni, pół po singalezku, pół po europejsku: górą białe lub czarne smoking i czarna krawata, dołem zaś, zamiast spodni, czarna lub biała singalezka spodnica. Wygląda to komicznie; ale taki tu widocznie zwyczaj. Całe to, zmieniające się ciągle w miarę odjazdów i przyjazdów wielkich statków pasażerskich, towarzystwo, zapełnia hotel gwarem wszystkich języków i tęczą kolorowych strojów, a po obiedzie wieczornym w elektrycznie oświetlonych salach balowych bawią się

goście hotelowi swobodnie, tańcząc bez jakichkolwiek ceremonii i uprzednich przedstawień.

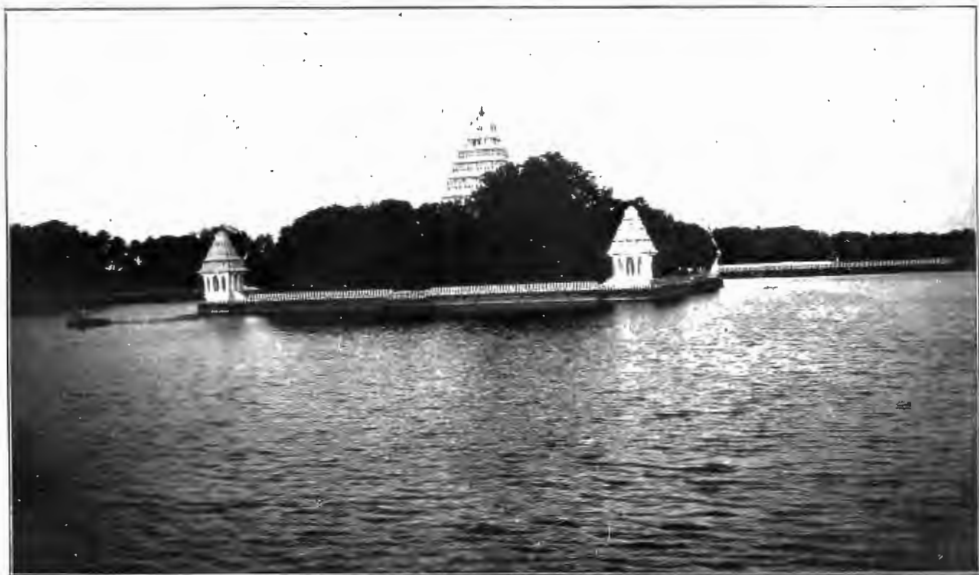
Życiu hotelowemu dodaje jeszcze barwności cały legion singalezkiej służby w narodowych strojach i fryzurach, z szyldkretowymi o rogach sterczącymi grzebieniami, trzymającymi sztucznie upięte pukle czarnych włosów. Służby tej setki całe: mężczyźni wprost śliczni, zwłaszcza młodzi, którzy w białych spodnicach i fryzurach z grzebieniem, o klasycznych rysach twarzy i oczach gazelli, robią wrażenie pięknych, śniadych kobiet. Służbę pełnią szybko, sprawnie, z wdziękiem w ruchach i spojrzeniu, zawsze uśmiechnięci i zadowoleni. Czasem przychodzą na tę całą służbę dni ciężkie, gdy jaki wielki statek przywiezie paręset amerykańskich turystów, a kalejdoskopiczne życie hotelowe ulegnie gwałtownemu zaburzeniu przez wtargnięcie tłumu wymagających, źle wychowanych, dzikich poprostu gości. Ale zato w chwilach normalnych wypocząć sobie mogą po chwilowych natężeniach, do których Singalezi, pełni arystokratycznych manier i grandezzy, nie są przyzwyczajeni.

Trzeba jednak przyznać, że ci singalezcy kelnerzy sprytni są i bardzo uważający. Obsługujący przy naszym stoliku pod przewiewną kolumnadą jadalną, gdzie na czas pobytu w hotelu wybraliśmy sobie miejsce, zmiarkowali w lot nasze gusta, i już na drugi dzień, a potem zawsze

zastawaliśmy na stole ulubione przystawki i owoce oraz dużo kwiatów. Gdy w dzień wracaliśmy riksami do hotelu, a kelnerzy z pod arkad jadalni spostrzegli, że w tę stronę kierujemy nasze kroki, to nie zdążyliśmy jeszcze usiąść, a już stały przygotowane flaszki wody sodowej, cytryny i lód.

Cudnem jest położenie hotelu Galle Face. Z terasów i z pod arkad sal jadalnych widok na niezmierne przestrzenie oceanu, a muzyką jest jednostajny ryk fal, rozbijających się o kamienne podmurowania terasy tuż u naszych stóp prawie. Wieczorem już tylko słyszeć ocean; bo ogrody, terasy i grupy palm kokosowych świecą tysiącem żarowych lampek, powczepianych w koronach pod wachlarzami liści, a ocean ginie w nieprzeniknionych ciemnościach.

Z drugiej znów strony sąsiaduje hotel z rozległymi, zielonymi placami sportowymi, pełnymi ludzi bawiących się i grających, zwłaszcza rano przed 10 i pod wieczór po 4. Z dwóch pozostałych stron rozsiadły się ogrody. Okna naszego mieszkania wychodziły jedno na ocean, drugie na place sportowe. Miło siedzieć w czasie popołudniowego upału w negliżu w otwartym dużym oknie, wdychając z rozkoszą chłodniejsze nieco od morza powiewy, lub wieczorem przed obiadem przypatrywać się grom sportowym, w których biorą udział nietylko Anglicy,



MADURA. — MAŁA ŚWIĄTYNIA.

ale — osobno oczywiście — także kolorowa singalezka ludność.

Wielkie łąki i place sportowe są wszędzie, w każdym indyjskim mieście, nigdzie jednak nie widziałem takiego życia i ruchu na tych placach, jak w Colombo. W krajach, rządzonych przez Anglików, uważane są gry sportowe, konne i piesze, jak polo, cricket, piłka nożna i inne, nie tylko jako rozrywka, gimnastyka i warunek zdrowia, zwłaszcza w tym klimacie, gdzie poza grami ruchu ma się bardzo mało. Są one także uzupełnieniem szkoły dla młodzieży; przypisuje się im ważne wychowawcze znaczenie.

I słusznie. Szkoła dać może naukę, ale wychować młodzież lepiej przy wspólnej, w system ujętej zabawie, niż w szkole. W wychowaniu idzie przecie o wyrobienie karności i poczucia obowiązku wobec większej ludzkiej organizacyi, rodziny, grupy zawodowej i społeczeństwa.

Gdy więc chłopiec jest członkiem grupy sportowej, czy przy hockeyu, cricket'cie czy piłce nożnej lub innej tego rodzaju grze zbiorowej, to uczy się działać nie dla siebie, lecz dla swej partyi. Oducza się egoizmu i chodzenia samopas, a przyzwyczajają się widzieć swoją korzyść, swój tryumf, w tryumfie swoich bliskich, towarzystwa, do którego należy, partyi, z którą się złączył.

Plac sportowy jest więc tem polem, na którym uczy się młodzież najważniejszej lekcyi,

uzdalniającej do przyszłego życia obywatelskiego. Młodzież uczy się zmysłu porządku, dyscypliny i spełnienia poruczonej funkcji na tem stanowisku, na jakim postawił przełożony. Jest bowiem ambicyą grającego, by na tym posterunku sportowym, na którym go przewódca postawił, wiernie, uważnie i sumiennie spełniać swą rolę i zmiany posterunku nie pragnąć.

To zaś więcej warte, niż szkoła, gdyż jest to także nauką, ale przy zabawie i ruchu chętnie przyswajaną: przyucza się tu młode pokolenie, by potem w ważniejszej grze życiowej spełniać sumiennie na rozkaz swej władzy lub powagi także i mniej przyjemne, trudniejsze zadania. Rozszerzenie takich wychowawczych gier zbiorowych jest bardzo potrzebne u nas, tem więcej, że w miarę demokratyzacji społeczeństwa zatracamy jeszcze resztę zmysłu porządku, posłuchu i dyscypliny a bez tych przymiotów nie może się dźwignąć żaden naród.

Ale czas wrócić od uwag pedagogicznych, do Colombo.

Mała, parominutowa przejażdżka rikszami, a znajdujemy się nad brzegiem słodkich wód. Powierzchnia lustrzanych jezior z bukietami wysp lesistych i zadrzewionymi brzegami, usianymi w białe pałacyki i wille wśród ogrodów. Na jeziorze pełno łodzi, a nad wodą grupy czekoladowych ludzi w szatach jaskrawych, lub nagich,

kąpiących się w wodzie, piorących szaty ; wreszcie tłumy nagich dzieci, bawiących się wesoło i pluskających się lub igrających na piasku. Gdy ten obraz ozłoci jeszcze precedzonym przez gęstwie liści złotym blaskiem zachodzące słońce, a na niebie zapalą się od tych blasków obłoki, odbijając te pożary w spokojnych wodach, to zdaje się, że jest się w jakimś kraju cudownym w jakimś kraju z bajki, gdzie wszystko inne, a jasne, świetlane i niesłychanie barwne. Jeziora te, z bujną roślinnością brzegów i cała ich okolica, zwana Slave Island, to najpiękniejsza część przepięknego miasta ogrodów.

Z nad jezior jedziemy do parku Wiktoryi, podziwiając u wstępu olbrzymie drzewa banyanowe. Piękny ogród spacerowy z placami na muzykę i placami tenisowymi, aleami dla pieszych i konnych. Zawiera kępy różnych gatunków bambusów, palm i t. p. Tu zawieramy po raz pierwszy znajomość z ciekawem drzewem deszczowem (*Urania speciosa*), które w szerokich liściach zachowuje zapasy czystej wody z rosy nocnej i deszczu, a potem gdy słońce przygrzeje, zaczyna płakać wielkimi kryształowemi kroplami, tak, że zmoknąć można, stojąc pod drzewem. Przedłużeniem parku Wiktoryi są kolonie willi Europejczyków t. zw. bungalows, wśród ogrodów i kwiatów.

Z kolei przechodzimy do tutejszego muzeum. W centralnej hali wyroby z drzewa i kości sło-

niowej. Dział produktów wyspy obejmuje oprócz ziemiopłodów, owoców, herbaty, także drogie kamienie, przede wszystkim niebieskie, bladoniebieskie, całkiem białe i żółte oraz gwiazdziste szafiry, dalej okazy pereł; wreszcie maski dyabelskich tańców i zajmujący dział etnograficzny. W dziale archeologicznym liczne wykopaliska z odwiecznych singalezkich miast. Dział zoologiczny najciekawszy: zwłaszcza zbiory ogromnych, cudnie barwionych motyli i owadów między którymi żywe „owady-liście“, o kształcie, barwie i wyglądzie liści drzewa, na którym żerują.

W dalszem otoczeniu parku Wiktoryi malowniczy meczet mahometański. Cała ta część Colombo nosi starą i pamiętną nazwę ogrodów cynamonowych: Cinnamon gardens.

Po długiej przejażdżce wracamy o zachodzie słońca koło słodkich jezior do hotelu. Trzeba się przebrać do wieczornego obiadu, interesującego widowiska postrojonych, w znacznej części egzotycznych, hotelowych gości. Przy dźwiękach muzyki, przy barwnej iluminacji palm, zasiadamy pod arkadami nadmorskiej terasy. Rzecz dziwna: noc już zapadła a nie robi się wcale chłodniej. Przeciwnie, coraz goręcej. Od morza idą już teraz nie chłodne, jak w dzień, ale gorące, jak z rozpalonego pieca powiewy. Oblewamy się potem, choć w najłżejszych ubraniach, w białych

smokingach; zapominamy o głodzie, bo nad wszystkim góruje pragnienie. Nietylko nam ono dokucza. Wołanie o wodę sodową, lód staje się powszechnem. Ze wszystkich stron dolatuje głośnie: „boy-look here, some more ice“, „More ice please“ Singalezi nie mogą nadażyć z roznośzeniem lodu, wody sodowej, mrożonego piwa, szampana, a im więcej się pije, tem prędzej zmienia się każdy na tryskającą potem fontannę.

Po doskonałym obiedzie i licznych libacyach wody sodowej z lodem i cytryną, zabieramy znajomość z wybornymi owocami Ceylonu. Oprócz znanych u nas orzechów kokosowych, ananasów i bananów jest tu mnóstwo dziwnych, nigdy w Europie nie widzianych owoców. Ananasy tutejsze są przewyborne. Kupuje się je po 5 centów (naszych 7 halerzy). Rosną, jak chwasty, na starych dachach domów, pod murami i wszędzie przy drogach. Bananów, zwanych pizangami, dużo gatunków. Najszlachetniejsze są t. z. pisang mas (złoty pizang) i pisang raja (pizang królewski). Pomarańcze ogromne, o zielonej skórce, mają smak mandarynek. Jest też rodzaj ciemnozielonych owoców o smaku cytryny. Dość dobre, bo kwaskowate i soczyste są t. zw. jambuse czyli jabłka malajskie. Smakują szczególnie, gdy się ma pragnienie, czyli że tutaj smakują zawsze. Dobre są również owoce t. zw. citrus decumana. Wielkie, jak głowa dzie-

cka; pod grubą skórą jest czerwone, aromatyczne wewnątrz o smaku pośrednim między cytryną a mandarynką. Niezwykłym jest owoc Sabia manila, podobny do ziemniaka, ó chropowatej brunatnej łupie. Przecina się go na dwie połowy i je łyżeczką soczysty, czerwonawy, kwaskowaty i aromatyczny środek. Owocem najczęściej jadany jest Papaja, podobna do małego melona. W hotelu dawano nam papaję codziennie do pierwszej herbaty; smak ma słodki i mdły trochę, ale gdy się doda soku z tutejszych zielonych cytryn, staje się wyborną.

Koroną wszystkich delikatesów są bezsprzecznie owoce mangowe. Kształt podobny do ogórka; po rozkrojeniu grubej skóry w środku wielka podłużna pestka, otoczona niesłychanie soczystą masą, którą od pestki trudno oddzielić. Jeść ten owoc nie łatwo; najlepiej łyżeczką. Smak rajski prosto a trudno go określić: coś pośredniego między dojrzałą brzoskwinia a surowym ogórkiem z rzodkiewką jakby ostrością. Najlepszy to owoc na świecie. Szkoda, że jeść można tylko całkiem świeży; w parę dni po zerwaniu gnieje i transportu nie znosi; dlatego w Europie nieznan. W drodze powrotnej naszej z Colombo do Europy nabrano na statek wielki zapas mangowych owoców, ale tylko przez trzy dni mogliśmy się nimi cieszyć. Pozostałe musiały iść na żer rybom.

Wybornemi są również t. zw. gojawy, podobne do gruszek. Po wyjęciu twardych, szklistych pestek je się to ze smakiem. Przypomina jakby białego kawona z pewnym ostrym,³ chrzanowym posmakiem. Orzechów kokosowych przy stole się nie jada, chyba tarty orzech, jako dodatek do ryżu. Na późniejszych wycieczkach jednak w głąb wyspy, zwłaszcza gdy gdzie lodu nie było, zastępowały nam orzechy kokosowe braki zimnego napoju. Płyn, który zawierają, chłodny jest zawsze i smaczny, z delikatnym, miłym kwaskiem. Nieraz później w głębi wyspy, gdy pragnienie dokuczyło, posyłałiśmy jakiego chłopca singaleckiego na palmę: za parę centów mieliśmy i ciekawe przedstawienie drapania się po równym, gładkim pniu i pożądaną chłodną napój. Kupowaliśmy też nieraz orzechy, na stacyach kolejowych.

Jest nadto w Ceylonie niemało jadanych chętnie przez krajowców owoców, których jednak Europejczyk za nic w świecie się nie tknie. Takimi są owoce salak, takimi owoce chlebowe, które widzi się często wiszące, jak wielkie szynki nisko na pniach drzew chlebowych. Niektóre mają po 15 kilg. wagi. Pogardzonym przez Europejczyków dla zapachu, choć przez ludność namiętnie ulubionym i masami spożywanym, jest wielki owoc durjan (*Durio zibethinus*): duży, jak ludzka głowa, kolcami pokryty owoc olbrzymich

drzew, pod którymi w czasie dojrzewania stać jest niebezpiecznie bo spadający z wysokości najtwardszą uszkodzić może czaszkę. Gdy się go rozetnie, ma mieć w środku jakby bitą żółtawą śmietaną która dla podniebienia Singalezów i Tamilów jest czemś najsmaczniejszem na świecie. Ma to być smaczne rzeczywiście, ale nie pozbawiony zmysłu węchu Europejczyk nie zdecyduje się skosztować, bo pachnie okrutnie starym capem i terpentyną. Do człowieka, który zjadł durjanowy owoc, przez dzień cały zbliżać się nie można, podobnie jak do zjadacza czosnku. Europejczycy nie przyjmują też do służby krajowców, podejrzanych o amatorstwo durjanów. Każdy musi się wprzód wyprzysięgać nie tylko żucia betelu, ale i jedzenia durjanowych owoców.

Słyszałem jednak o Europejczykach, tu zamieszkałych, co raz lub dwa razy w roku pozwalają swym ludziom najeść się wonnego owocu i sami wtedy jedzą; ale gości w tych dniach nie przyjmują i nigdzie nie wychodzą. Święto durjanowe jest dla nich zarazem domowym aresztem.

Na zakończenie tych owocowych zbroczeń muszę jeszcze wspomnieć o ciekawej cejlońskiej jarzynie, jaką nam często dawano w Colombo i w Kendy. Nie zapamiętałem nazwy wybornej jarzyny, podobnej do dużych strąków z białymi ziarnami. Smak delikatny i przedziwny, ale je-

dzenie nieprzyzwoite, bo strąki zawierają jakąś kleistą, ciągnącą się jak śluz substancję, i jedzącemu wiszą ciągle od ust festony, jak staremu bezzębnemu psu, gdy się ślini. Dalszemi kulinarnemi spostrzeżeniami, choć pola i pokusy do tego nie braknie, nie będę już przedłużał mych szkiców z wędrowki po rajskiej wyspie.

Byliśmy w Colombo dłużej, niż potrzeba na zwiedzenie miasta i jego okolicy. Bo i wracając z głębi wyspy, przybyliśmy na cztery dni przed terminem odjazdu naszego statku do Europy, by przepędzić w tem mieście, gdzie kościołów katolickich dużo, święta wielkanocne. Mieliśmy więc czasu dosyć, by wracać po kilkakroć do najpiękniejszych punktów miasta i okolicy, mogliśmy, nie spiesząc się wcale, odbywać swobodnie długie przejażdżki.

Najciekawszemi miejscami w samem Colombo są, oprócz słodkich jezior i ich otoczenia, przede wszystkim port Colombo, miasto krajowców t. zw. Pettah i widok na miasto od wysoko położonych rezerwoarów wodnych.

Wspaniałym jest port tutejszy, z mnóstwem ciągle przychodzących i odchodzących okrętów. Colombo jest bowiem Marsylią i Brindisi Wschodu, największą na Wschodzie stacją węglową. Każdy statek zatrzymać się tu musi: środkowe położenie Colombo, oddalonego o 2900 mil morskich od Adenu, 900 mil od Bombeju, 600 od

Madrasu, 1400 od Kalkatty i 1300 mil od Singapuru, sprawia, że tu a nie gdzieindziej krzyżują się wszystkie drogi morskie handlowego i pasażerskiego ruchu na dalekim Wschodzie. Miło jest też siedzieć w upalne południe na krytej, przewiewnej passenger jetty, daleko w morze wysuniętej, więc będącej najchłodniejszym punktem za dnia, i przypatrywać się nieustannemu ruchowi w porcie, tłumom tamilskich robotników, ładujących przeważnie herbatę. Bo Ceylon produkuje herbaty więcej niż Chiny i zaopatruje tym artykułem pół świata. Szalony rozwój plantacji herbaty zawdzięcza wyspa obfitości i taniości robotnika, Tamilów, przyjeżdżających tu masami z południowych Indyi na zarobek.

Gdy się chce widzieć barwne i rojne życie ludowe w Colombo, trzeba jechać do dzielnicy krajowców, Pettah.

Przez Main Street, zajętą przez murzynów i Indoarabów, dojeżdżamy do Town Hall, gdzie największe rojowisko ludzkie różnych ras: tubylczych Singalezów, licznych napływowych Tamilów, a prócz tego murzynów, Indoarabów, Malajczyków, Afganów, Persów, „burgerów“ i Europejczyków. Rzadka różnorodność i jaskrawa różnobarwność strojów. Ludzie w dzielnicy krajowców pracują na ulicach lub w domach przy ciągle otwartych drzwiach i oknach, tak że wszystko się widzi z ulicy. Obserwując przede-

wszystkiem piękne typy Singalezów, uczymy się powoli i z trudem odróżniać Singalezów od Singalezek. Jedyłą różnicą jest to, że Singalez nosi pukle włosów, ujęte dużym szyldkretowym grzebieniem, ze sterczącymi nad głową rogami, Singalezka zaś nie nosi grzebienia. Że zaś wszyscy młodzi mężczyźni się gołą, więc wyglądają z tymi puklami i grzebieniami, zgrabną figurą, regularnymi rysami i wielkimi oczami gazeli, całkiem kobieco. Gdy czasem weźmie się riksę, ciągnioną przez młodego Singaleza — co trafia się rzadko, gdyż Singalezi ciężkiej pracy nie lubią — ma się niemiłe wrażenie, że ciągnie, biegnie z wózkiem i oblewa się potem piękna śniada kobieta. U Tamilów mężczyźni, choć młodzi, więcej po męsku wyglądają. Przeważnie barczyste postacie zupełnie odmienne od misternych, smukłych Singalezów.

Tamilowie wykonują w Colombo wszystkie ciężkie prace. Oni też przeważnie są riksarzami. Potrzebujący zarobku Singalezi wybierają sobie przeważnie nie męczące zajęcia: golarzy, przekupniów, przewodników, a przede wszystkim służących i kelnerów.

Na szerokich, cienistych ulicach Pettah obserwować można swobodnie życie rodzinne Singalezów. Widzi się kobiety, robiące toaletę, niańczące i bawiące potomstwo. Najczęściej zatrudnione są gorliwymi poszukiwaniami w kędzie-

rzawych główkach dzieci. Polowania takie odbywają się ciągle, na każdym progu domu. Niezwykle są niektóre sklepy w dzielnicy krajowców. Pokazują nam np. sklep, w którym, oprócz kupca, nie niema. Jest to sklep astrologa. Niema tu żadnych towarów, bo jedynym, ale niewidzialnym towarem, są rady astrologa, do których stosuje ludność singalezka wszystkie swoje czyny. Gdy kto wyrusza w podróż, dzień odjazdu oznaczyć musi astrolog; gdy kto buduje dom, on musi poradzić i ułożyć ceremoniał przy rozpoczęciu budowy. On wszystko przepisuje, nawet chwilę pierwszego golenia brody młodzieńca. Dalej oryginalne singalezkie apteki, sklepy z owocami, suszoną rybą, sklepy koszyków, materij i kramy z naczynkami z łup orzechów kokosowych.

Czwartą bardzo interesującą miejscowością w Colombo jest wzgórek, na którym znajduje się wielki rezerwoar wodny, zaopatrujący w wodę rozległe miasto. Punkt ten ciekawy i śliczny, jako jedyne miejsce wysokie, z którego widzieć można u stóp całe Colombo, ukryte wśród gęstwi ogrodów i gubiące się w zieleni lasów palmowych na widnokregu. Widzi się stąd i port cały i przestwór oceanu i jedyną gęsto murowanymi gmachami zabudowaną część miasta t. z. Fort, rozległe łąki i słodkie jeziora i szeroką główną ulicę Pettah z przyległym labiryntem

wąskich cienistych uliczek, i poza miastem krajowców krętą wstęgę rzeki Kelanyi Ganga, gubiącą się wśród ciemnych plam lasów.

Pod względem religijnym jest Colombo na pół katolickim miastem. Jest wprawdzie kilkadziesiąt tysięcy buddystów i kilka buddyjskich świątyń i stup, położonych poza miastem. TAMILOWIE przynieśli ze sobą swoją religię hinduizm a na Pettah widzi się kilka małych i nieładnych, rzeźbionymi postaciami bogów i demonów przeładowanych świątyń; najwięcej jednak kościołów katolickich: romańska katedra i cały szereg mniejszych kościółków na Pettah i wzdłuż drogi do Kelanyi.

Przepędzając święta wielkanocne w Colombo, jeszcze w wielką sobotę po południu spytaliśmy się w hotelu o katedralny kościół katolicki, a gdy nam powiedziano, że to niedaleko, wyruszyliśmy w drogę w rikszach. Tymczasem pokazało się, że to bardzo daleko i że trzeba było raczej wziąć powóz, bo w niemiłosiernym żarze słonecznym rikszarze gotowi ustać w drodze. Przebyliśmy całe Colombo i połowę miasta krajowców; po plecach naszych dwunożnych koni spływały już strumienie potu, mimo że zakazaliśmy im biec kłusem i posuwaliśmy się noga za nogą. Jeden z rikszarzy, wskazując palcem na najbliższy sklepik, zwrócił się z prośbą, by im zafundować po flaszcze wody sodowej. Wypili całą

zawartość jednym tchem, wprost z flaszek; ale to zrobiło im jeszcze gorzej. Po nagich czekoladowych plecach zaczęły już rzeki potu płynąć, od nagle wypitej gazowej wody dostali biedacy przeraźliwej czkawki. Trzeba było dać im spocząć i ostatecznie późno już było, gdy dojechalśmy na koniec Pettah, do katedry.

W katedrze tłum pobożnych, samych Singalezów; w konfesyonałach spowiadają czarni singalezcy księża. Jeden z nich, zobaczywszy Europejczyków, wyszedł z konfesyonału, by zapytać się o nasze życzenia. Poinformowawszy się o terminach wielkanocnych nabożeństw, wróciliśmy do hotelu, by nie spóźnić się na obiad wieczorny. Następnego dnia już powozem wybraliśmy się do katedry i trafiliśmy na mszę biskupią. Nabożeństwo — biały biskup z ogromną asystą czarnych przeważnie księży — trwało przeszło dwie godziny. Tłumy pobożnych, nie mogąc się zmieścić w wielkiej katedrze, wypełniały część placu przed kościołem. Wszystko Singalezi; w kościele i na placu przed nim lud singalezki w barwnych i świeżych, na święto przywdzianych szatach; mężczyźni z typowymi grzebieniami; w presbiterium i w ławkach, w których nam, jako białym, służba kościelna pierwsze wyznaczyła miejsca, cała inteligencja singalezka. Panowie ubrani po europejsku, ze spodnicami jednak na spodniach; damy czysto już po europejsku,

w modnych kapeluszach. Nie umieją jednak w tym stroju ani ruszać się swobodnie ani zachować i bardzo im w tem było nie do twarzy.

Następnych dni byliśmy już w bliższym małym kościółku, który wyszukaliśmy według planu. Mimo, że drugie święto wielkanocne nie jest tutaj dniem świątecznym, kościółek był również pełny singalezkiej ludności. Widzieliśmy też za Kelanyi Ganga budowane nowe kościoły. Colombo i w ogóle Ceylon coraz więcej staje się katolickim, bo w przeciwstawieniu do Hindusów i Mahometan, buddyści łatwo się nawracają.

Piękniejszą jeszcze od miasta Colombo jest jego okolica. Cały szereg cudnych wycieczek, kilkogodzinnych lub zabierających najwyżej pół dnia czasu. Malownicze są podmiejskie, wśród lasów równikowych wioski, jak Kudawella, Hanwella i inne. W każdej wiosce porządny resthaus, gdzie można się pokrzepić i wypocząć. Najpiękniejszymi jednak dalszymi wycieczkami są przejażdżki do klasztoru buddyjskiego w Kelanyi i do dawnego pałacu gubernatorów, obecnie hotelu Mount Lavinia, położonego o 11 mil od Colombo na wysokim urwistym brzegu oceanu.

Świątynia i stupa buddyjska w Kelanyi brzydka jest wprawdzie jako budowla, ale interesująca, jako obraz kultu buddyjskiego na wyspie

i jako zbiorowisko ciekawych figur, w cytrynowe rzymskie togi ubranych bonzów. Najładniejszą ze wszystkiego jest jednak droga do klasztoru. Minąwszy dzielnicę Pettah, zbliżamy się do szeroko rozlanej, w ramy bujnej wegetacji ujętej rzeki Kelanyi Ganga. Na brzegach i na rzece ruch ogromny zatrudnionych połowem rybaków, piorących chusty kobiet i kąpiących się ciągle dzieci. Przejechawszy most, znajdujemy się jakby w zaczarowanym ogrodzie. Jedzie się krętą, ale wyborną drogą; na prawo i na lewo gęstwa palm kokosowych, arekowych, bambusów, drzew chlebowych, plantacje bananów i na zielonych tłach gdzieniegdzie szafirowe plamy bungowilji. Wśród tłoczących się i bujających jedne nad drugimi drzew i krzewów, kwieciem różnobarwnem okrytych, błyszczą co chwilę wody jeziorzek i stawów z szerokimi liśćmi, z kwieciem nenufarów i lotosów na powierzchni wód. W gąszczu nad wodami lub tuż obok drogi ukryte w cieniu liczne chatki Singalezów; od czasu do czasu na małej polanie katolicki kościółek.

Droga aż roi się od ludzi, przede wszystkim zaś pełno ślicznych, nagich całkiem, czekoladowych dzieci, śmiejących się i swawolących, obrzucających zerwanymi kwiatami powóz, wieszających się na stopniach powozu: bez zamiaru zebrania jednak, tylko dla dania wyrazu radości i uprzejmości dla Europejczyków, których



CEYLON. — ŁODZIE RYBACKIE.

tu i dzieci i starsi traktują ze szczerą życzliwością, jak wzbudzających uszanowanie przyjaciół. Uroczą są wszystkie prawie twarzyczki, o kędzierzawych główkach, czarnych dużych, śmiejących się oczach i ząbkach, jak perły, ciągle widocznych w uśmiechu.

Wieś Ceylonu jest prawdziwym rajem dla dzieci. Nie znają one tych gorzkich dziecięcych tragedij, jakimi są gniew rodziców, kary i różgi. Dzieci tutejsze nigdy na karę nie zasługują: łagodne z natury, nigdy się między sobą nie pobijają; nie mogą podrzeć ani poplamić sukienek, bo ich całkiem nie noszą; w domu nie rozbijają ani nie zepsują, bo oprócz niewielu fundamentalnych sprzętów nic tam nie ma, naczynia zaś są ze skorup kokosowych orzechów i stłuc tego nie można. Chłodu ani głodu nigdy nie cierpią: ciepło jest zawsze, a jeść w bród wszędzie. Owoców wszelkich zatręśienie; tylko rączkę wyciągnąć i nikt też tego dzieciom nie broni. To też widziałem na Ceylonie same tylko śmiejące się i szczerzące ząbki małe czekoladki, nie widziałem zaś nigdzie ani jednego płaczącego dziecka.

Wśród cudnych widoków, wśród dziecięcych śmiechów i pisków, jak chwila krótka mija półtoragodzinną drogą do buddyjskiego klasztoru i świątyni. Przy bramie dziedzińca przyjmują nas kapłani bonzowie. Z golonemi twarzami i gło-

wami, udrapowani w żółte togi na sposób starych Rzymian, poważni bardzo, niektórzy niepośpolitej piękności męskiej, pełni wyniosłej godności w zachowaniu i ruchach. To nie przeszkadza im jednak nadstawiać rękę bardzo nawet natrętnie i jakby rozkazująco. Na dziedzińcu klasztoru ogromne święte drzewo Bo, a koło niego pełno kolorowych szmatek, zawieszonych jako wota. W świątyni szereg postaci Buddy, w leżącej, stojącej i siedzącej na podwiniętych nogach postawie. Figury olbrzymie, ale brzydkie. Malowidła na ścianach prymitywne. Ładni tu są tylko mali Buddowie ze złota, srebra i kryształu, poustawiani za szkłem. Obok świątyni biała stupa, kształtu odwróconego do góry lejka, kryjąca relikwie Buddy.

Nie zachwyceni wcale świątynią, gasimy pragnienie zawartością kilku zerwanych dla nas orzechów kokosowych i spieszmy z powrotem, ciesząc się, jak dzieci, na powrót tą samą rajską drogą, wśród wiosek singalezkich i czarów równikowej roślinności.

Druga dalsza wycieczka do Mount Lavinia inny już ma charakter. Droga wiedzie również wśród palm, kwiatów i zieleni, ale już nie przez wsie singalezkie, lecz przez kolonie will Europejczyków i europejskich mieszkańców t. z. Burgherów (potomkowie Holendrów i Singalezów) oraz domów bogatszych Singalezów. Już nie

chatki, ukryte w zieleni, nad sennemi, rzęsą i lotosem pokrytymi wodami, lecz pałacyki, dworki białe wśród małych, dobrze utrzymanych ogródków, pełnych kwiecia. Z drogi ciągle widoki na morze, świecące przez zieloną gęstwę jasnym turkusem.

Mniej czarująca niż do klasztoru buddyjskiego droga, piękniejszy za to cel wycieczki. Dawny pałac gubernatorów wyspy, przed laty sprzedany i przerobiony na hotel, wznosi się w przeducdnem położeniu. Na wysokim urwistym brzegu, nad samym oceanem, do którego schodzi się w zakosy w skałę wykutą ścieżką. Ocean w tem miejscu zasiany fantastycznemi skałami, o które roztrącają się z rykiem fale, strzelając wysoko białymi wytryskami piany. Skały te tworzą w półkolu jakby naturalny porcik dla hotelowych łodzi, a zarazem bezpieczne od rekinów miejsce kąpieli morskiej dla hotelowych gości i licznych z Colombo wycieczkowiczów. W spokojnej wodzie między piaskiem wybrzeża a barykadą skał pluszczą się też ciągle i błyskają białe ciała Europejczyków, kąpiących się i pływających w nieodstępnych korkowych chełmach na głowie.

Na skałach, w morze rzuconych, tłumy czarnych rybaków, bijących, jak batami, wędkami swemi rozhukaną zewnętrzną falę. Dziwny sposób łowienia i dziwne rybki, co tak łatwo i szyb-

ko na wędkę łapać się dadzą. W moich oczach w przeciągu minuty jeden chłopiec złapał ich 50; inni mniej więcej taksamo. Poprostu rzuca każdy i odrazu wyciąga wędkę z rybką, z szybkością jak mgnienie oka, odrzucając złowione małe, srebrne sardynki do gęstej siatki z włókien kokosowych.

Na południe od hotelu jest linia niskiego półkolem występującego brzegu, z daleko, jak oko sięgnie, ciągnącym się lasem palm kokosowych, lasem, schodzącym do samej wody i muskającym ją pióropuszcami nachylonych nad samą falą, pod kątem ostrym rosnących, wyniosłych palm.

A na piasku płaskiego brzegu, w cieniu palm, mnóstwo wąskich łodzi singalezkich z pływakami po bokach. Łodzi tych dużo krąży po morzu, każda z rozpiętym kwadratowym żaglem. Zdziwiającem jest, z jaką szaloną szybkością płyną te, które wracają z połowu do brzegu, gnane wiatrem i niesione falą przybrzeżną. Z pnia jednego wyżłobione, są tak wąskie, że stopy na wzdłuż postawić trudno; dla równowagi też ma każda u boku nie wiele od niego mniejszego drewnianego pływaka, przytwierdzonego kabłąkiem z drzewa. Singalezi siedzą nie w łodzi, bo w niej miejsca nie ma, lecz na łodzi bokiem ze spuszczonei nogami, lub na wysokim kabłąku.

Dalej od piasku wybrzeża, w lesie kokosowym, cień zupełny; w tej gęstwie ani promień słońca

do ziemi się nie dostanie. Jest się jak w gmachu kolumnowym z zielonem sklepieniem nad głową.

Przed hotelem, wysoko nad oceanem, są stoliki i ławeczki w cieniu kilku rozłożystych drzew. Przyjemnie siedzieć choćby godzinami całymi nad szklanką pegu z lodem, rozkoszując się chłodnym powiewem od oceanu, bezkresnym widokiem na pustynię wodną i na piekło wodne u stóp rozbijających się o skały fal, na wielkie świecące żagle krążących łodzi, na smugi dalekiego dymu zdążających do Colombo lub odpływających stąd wielkich parowców i na długą zieloną wstęgę nadbrzeżnych kokosowych lasów. Tyle uroku ma to miejsce, że nie poprzestaliśmy na jednej wycieczce. W drugie święto Wielkanocne spędziliśmy tu całe popołudnie, aż do zachodu słońca, i trudno było stąd oderwać się poprostu. Najpiękniejszy to punkt na całym wybrzeżu w okolicy Colombo.

W GÓRACH CEYLONU.

Koleje i drogi na Ceylonie. — Wagony. — Anglicy i Singalezi. — W drodze do Nurelii. — Plantacye herbaty i kauczuku. — Nuwara Eliya. — Wystawa kwieciarska. — Górski ogród botaniczny. — Nieudana wycieczka. — Z Nurelii do Kendi. — Stara stolica singalezka. — Równikowy ogród botaniczny. — Dla przyrodników. — Wycieczka do seminaryum katolickiego. — Dziewiczy las. — Dzieci buddyjskie a katolickie. — Kąpiel słońi. — Ząb Buddy. — Trybunał singalezki. — Raj roślinności.

Na wyspie Ceylon jest obecnie niespełna 900 mil angielskich linii kolejowych, a natomiast około 4000 mil doskonałych dróg bitych. W koleje zaopatrzoną jest dobrze tylko środkowa, górzysta część wyspy, a to zarówno ze względu na wielki ruch osobowy zdążających do górskich uzdrowisk Europejczyków, jakoteż ze względu na coraz bardziej rozszerzające się plantacye herbaty i kauczuku, z których pierwsze tylko

na stokach wysokich gór mają siedlisko. Do najbardziej więc malowniczej górskiej części wyspy można wygodnie dojechać koleją. Mniej to czasu zabiera i o wiele taniej wypada, niż jazda samochodem po dobrych, ale bardzo górzystych drogach. Równiny oraz dziewicze lasy i dżangle Ceylonu najlepiej jest w braku kolei zwiedzać automobilem.

Wagony kolejowe na Ceylonie urządzone są już całkiem po europejsku, t. j. o wiele mniej wygodnie niż w Indjach. Nie ma tych bardzo obszernych przedziałów i szerokich sof, pod oknami ustawionych w kierunku jazdy; nie ma przyległych łazienek i miejsc dla służby prywatnej, której wożenie ze sobą jest na Ceylonie zbyt zbytecznym. Nikt też nie bierze ze sobą pościeli: na małej wyspie nie ma już konieczności jeżdżenia nocą, bo najdłuższa jazda kolejowa 10 godzin nie przenosi. Przedziały są więc całkiem, jak nasze, w urządzeniu wagonów zaś ta tylko różnica, że mają podwójne, z wewnętrzną warstwą powietrza dachy, i że dach górny występuje szeroko na zewnątrz, zacieniając okna. Okien nie ma już siatkowych, gdyż moskitów na wyspie nie wiele, a pyłu w przesyconej wilgocią atmosferze zupełnie nie ma. Są tylko tak, jak w Indjach, kolorowe szyby dla ochrony oczu w godziny południowe a nadto żaluzje.

Pod względem towarzyskim nie ma na kolejach Ceylonu tak ściśle przeprowadzonego oddzielenia białych od kolorowych pasażerów, jak w Indyach. W Indyach jest rzeczą wprost wykluczoną, by Europejczyk mógł siedzieć w jednym przedziale z tubylcem. Nawet dla najuboższych Europejczyków są wszędzie osobne przedziały drugiej i t. zw. pośredniej klasy, gdzie kolorowy człowiek nie ma wstępu. Na Ceylonie zaś jechaliśmy nieraz w pierwszej klasie z inteligentnymi, po europejsku lub pół po europejsku ubranymi Singalezami płci obojga. Jest to tu w powszechnym zwyczaju i Anglicy zupełnie nie protestują. Wogóle traktują Anglicy inteligentnych Singalezów całkiem inaczej niż np. równie inteligentnych Parsów lub t. zw. babu tj. Hindusów z uniwersyteckim wykształceniem w Indyach. I może dla tego właśnie tak dobrym i życzliwym jest stosunek Singalezów do ich angielskich władców, może dla tego są Singalezi szczerymi przyjaciółmi Anglików i podporą ich rządów.

Wybraliśmy się koleją w góry, najpierw do sławnej na całą południową Azyę górskiej stacji klimatycznej Ceylonu, Nuwara Eliya (Anglicy nazywają w skróceniu Nurelia) osady europejskiej, położonej na wysokości około 7000 stóp, pod szczytem najwyższej na wyspie góry, Pidurutalagalla, wznoszącej się na 8.300 stóp nad poziom morza.

O Nurelii opowiadano nam cuda: słyszeliśmy, że jest to największa i pysznie urządzona stacya klimatyczna, do której zjeżdża po zdrowie ty-siące Europejczyków z Indyj, Birmy, Tonkinu, Syamu, Singapur i z wysp holenderskich Borneo, Sumatry, Celebes itd.

Tutaj spędzają angielscy urzędnicy i oficerowie z Indyj, Ceylonu i Birmy swoje krótsze urlopy, tu przyjeżdżają wszyscy chorzy na malaryę po zdrowie, wszyscy przepracowani i zmęczeni gorącym klimatem nizin na wypoczynek. Wiedzieliśmy, że w Nurelii znajdziemy doskonałe hotele, zobaczymy eleganckie towarzystwo, że kwitną tam gry sportowe, golf, cricket, że tu dają z połowy świata wszyscy amatorzy sportu wędkowego, że tu znajduje się głośny w angielskiem imperyum Ceylon Fishing Club. Opowiadano nam też tyle o tutejszych cudnych górskich widokach i górskiej egzotycznej roślinności, że jadąc, byliśmy przygotowani na coś niesłychanie pięknego — i może dlatego, przybywszy do Nurelii, doznaliśmy uczucia zawodu.

Śliczną jest jednak droga kolejowa do Nurelii, zwłaszcza jej pierwsza część. Przez pierwsze dwie godziny dziewięciogodzinnej podróży jedzie się ciągle przez lasy palm kokosowych i wioski, ukryte w gęstwi bananowych plantacyj. Dużo wszędzie jeziorzek, stawków i szeroko rozlanych wód, w których przegładają się pióropusze palm.

Potem wjeżdża pociąg w góry i zaczyna się jazda przypominająca trochę kolejkę himalayską do Dardżilingu. Mniej dziko romantyczna oczywiście, bo góry Ceylonu, nie wyższe od naszych Tatr, są w porównaniu z Himalajami pagórkami tylko, ale zachwycająca różnaitością widoków i niezrównaną wprost bujnością wegetacji.

Palmy kokosowe znikają; zaczyna się natomiast królestwo palm Areca i talipot, oraz bambusów, durjanów, i coraz więcej, coraz piękniejszych kwiatów. Pociąg wije się nad przepaściami, jadąc chwilami pół tunelową drogą w skałę wykutą, z wielkimi na świat oknami, przypominającą Axenstrasse nad jeziorem Czterech Kantonów. Mijamy wodospady; na zakrętach otwierają się niespodziane widoki; to na szczyt dziwnego kształtu, to na skałę wiszącą nad przepaścią.

Na stacyi Nanuoja przesiadamy się do innego, złożonego z małych wagoników pociągu. Zaczyna się prawdziwie górską, wąskotorową kolejką. Otwierają się rozległe widoki na najwyższe szczyty Ceylonu, na świętą górę Adama, Adam's Peak, sterczącą spiczastym, skalistym wirchem. Najpiękniejszy to kształtem szczyt wyspy, cel karkołomnych, pobożnych pielgrzymek tysięcy. Fenomenem zadziwiającym ma być czarność i ostrość cienia, jaki ta góra rzuca, po wschodzie słońca, na

pół wyspy. Cienia nie widzieliśmy, na górę drapać się nie mieliśmy zamiaru; podziwialiśmy tylko z dołu ten piękny, choć nie najwyższy w tych górach szczyt.

Później droga mniej już staje się malowniczą. Nie ma już lasów, natomiast wszystkie огоłocone z drzew zbocza gór zeszpecone przeraźliwie jednostajnymi plantacyami herbaty i drzew gumowych. Lasy drzew kauczukowych, przerywające gdzieś monotonię nudnych plantacji herbacianych, to jak wojsko w szeregu ustawione. Drzewa brzydkie, w regularnych odstępach, bez żadnej podszywki, bo ta przeszkadzałaby w dokonywaniu corocznych nadcinań kory. Jeszcze brzydsze plantacje herbaty. Nieprzejrzone przestrzenie stoków górskich, огоłocone z lasów, czerwienią się tłem laterytowej, zruszanej ziemi, na którym w regularnych odstępach zielone kupki niskich krzaków. Godziny całe się jedzie przez te plantacje, na których tu i ówdzie grupy tamilskich robotników, obrywających i sortujących listki.

Dawniej produkowano na wyspie mnóstwo wybornej kawy; naraz przyszedł owad szkodnik, rodzaj filoksera, i zniszczył wszystko do szczętu. Setki plantatorów potraciło miliony, obecnie jednak odbijają się na herbacie i kauczuku. Na tym ostatnim mniej, bo boją się w to wkładać zbyt wiele pieniędzy, spodziewając i oba-

wiając się ciągle wynalezienia sztucznego kauczuku, który prawdziwy może zdeprecjonować.

Wogóle plantatorowie Ceylonu przechodzili już nieraz krachy. Raz na cynamonie, drugi raz na kawie. Obecnie jednak tak się podobno wzbogacili na herbacie, że mogą spokojnie patrzeć w przyszłość.

Nareszcie urywają się plantacye herbaty. Jesteśmy na zielonych łąkach wśród gór. W oddali błyszczą jezioro, a za niem na stokach białe gmachy i pałace. To Nuwara Eliya.

Za chwilę, po wypiciu w tutejszym Grand hotelu wybornej, wonnej herbaty, wychodzimy na przechadzkę. Chłodek rozkoszny istotnie, o 5-ej po południu tylko 16^oR., ale okolica nie robi wrażenia wysokich gór. Osada rozsiadła się na stokach pagórków lesistych, otaczając wieńcem pałaców i licznych willi torfiastą łąkę, przez której środek płynie górski strumień, rozlewający się dalej w jezioro. Przypomina to żywo wcale nie Zakopane, lecz poprostu Krynicy. Najwyższy szczyt wyspy, Pidurutalagalla, wznoszący się bezpośrednio nad Narelią, ma wysokości wprawdzie 8300 stóp, ale nad poziom miejscowości wznosi się tylko 1300 stóp, więc nie czyni wrażenia wysokiej góry, zwłaszcza, że ma kształt łagodnie zaokrąglonego, na zboczach pokrytego lasem pagórka. Podobny do Michasiowej w Krynicy, tylko nie świerkami porosły, ale jakąś dzi-

wną mieszaniną drzew przeważnie liściastych. Z daleka nie ma charakteru egzotycznego; można mieć złudzenie, że się jest w środkowej Europie.

Dopiero przyszedłszy bliżej ku tym lasom, widać, że to przecie tropikalna roślinność, choć palm nie ma całkiem. Jest to dżangla z mieszaniną setek gatunków drzew, poplątanych siecią pnączy pasożytnych i ljanów, z pośród której sterczą tu i ówdzie w górę doedary i różne gatunki cedrów i paproci drzewnych. Całość bawi oko rozmaitym odcieniem liści, szpilek i żywymi barwami kwiatów. Kwiatów moc nieprzebrana. Takiego niebywałego bogactwa najprzeróżniejszego kwiecia nie widziałem ani w Colombo i okolicy ani nigdzie po drodze. Te same co w nizinach gatunki n. p. hibiskusy mają tu dwa razy większe kielichy. Wygląda to jak olbrzymia pod gołym niebem wystawa kwieciarska. Masa tych kwiatów, szkarłatnych, różowych, błękitnych, szafirowych, żółtych, pomarańczowych, o dziwnych kształtach — wszędzie, i nisko i wysoko na drzewach. Bliżej zbadawszy, przekonujemy się, że najbardziej kwitną różne pasożyty, pnącze i ljanu. Dziwne tu i ówdzie fenomeny. Obserwujemy w gąszczu drzewo z wielkimi lancetowatymi liśćmi, okryte kielichami kwiatów żółtych; naraz spostrzegamy między żółtymi, czerwone, całkiem inne, to znów mocno szafirowe. I tu

i ówdzie liście jakieś odmienne i jakieś zielone sznury wiszące. To pasożyty roślinne, oplątujące drzewo dostały się w jego koronę i przedarły ją, dążąc do słońca, odmiennymi liśćmi i kwieciami. Żał tutaj, że nie jest się botanikiem i nie można ocenić należycie tych cudów świata roślinnego.

Wieczór i szybko zapadająca ciemność przeszkodziła nam w dalszych botanicznych obserwacjach. Przy tem tak naraz zrobiło się chłodno, że z rozkoszą zasiadamy do wieczornego obiadu w pobliżu płonącego na kominku ognia.

Następnego dnia wstaliśmy o g. 7 rano. Była niedziela, więc po herbacie, ubrawszy się ciepło, pojechaliśmy rikszami do kościoła, ścieżką przez siwą od rosy łąkę. Kościółek nie wielki, wypełniony singalezką ludnością. Europejczyków, prócz nas, było tylko kilkunastu. Po ewangelii zaczął czarny singalezki ksiądz prawić od ołtarza kazanie, pół godziny po angielsku, a potem godzinę po singalezku. Dopiero o 10 mogliśmy wrócić, by posiliwszy się, pojechać powozem do Hakgala, miejscowości o półtorej godziny drogi odległej od Nurelii, gdzie u stóp prostopadłej na 1.500 stóp nad równinę sterczącej skały znajduje się sławny górski ogród botaniczny.

Droga do Hakgali, ciągle prawie z góry, z początku nad jeziorem i przez lasy, jakby malowane wszystkimi odcieniami liści i barwami kwie-

tów, z widokami na skaliste urwiska, piękną jest naprawdę; druga jej część jednak, gdzie w miejsce wykarczowanych lasów nie ma nic, tylko herbata i herbata, byłaby brzydką zupełnie, gdyby nie wznoszący się przed nami i po-
 tężniejący w oczach, do Giewontu kształtem podobny, skalny szczyt Hakgala. Pod samym szczytem zakręcamy w obszerną rozpadlinę, w której mieści się ogród, a u jego wstępu porządkowy rest-
 haus i kilka białych domów.

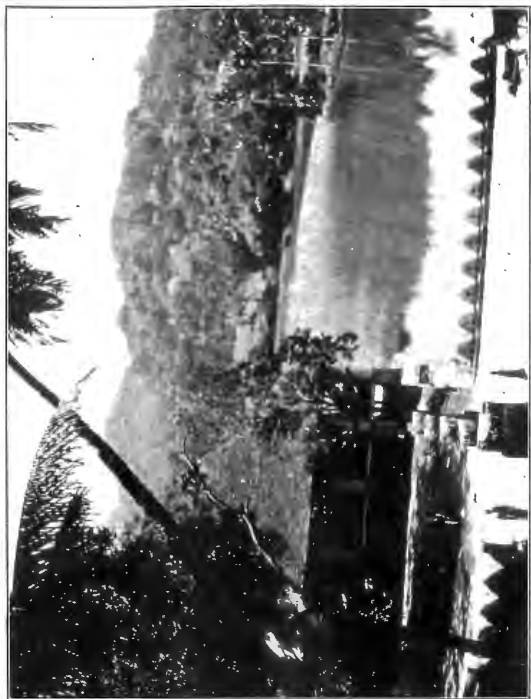
Ogród zawiera w umiejętnem ugrupowaniu wszystkie okazy równikowej górskiej roślinności. Nie ma więc palm żadnych, ale za to wspaniałe grupy różnych gatunków, olbrzymich drzewnych paproci, kwiatnych rododendronów, deodarów, araukaryj i różnych innych drzew szpilkowych, drzew kamforowych o liściach, wydających silny kamforowy zapach, mnóstwo rozmaitych pnączy i ljanów, a co najładniejsze, największy w świecie — oprócz na Jawie — zbiór storczyków o takich niezwykłych formach kwiatów, że oczy oderwać trudno. Jeden z ogrodników obdarowuje nas całym pękiem tych cudownych kwiatów; aż żal, że tego do Europy dowieść i pokazać nie można.

W drodze powrotnej zaczęły zasłaniać widok gęste zwały mgieł. Dymiły coraz bardziej wierzchołki gór i pełzały po zboczach na dół chmury. Po spóźnionym południowym posiłku mieliśmy

zamiar wybrać się piechotą na najwyższy szczyt wyspy, Pidurutalagalla. Z naszego hotelu ma to być spacer nie długi i nie uciążliwy. Mówiono nam, że za dwie godziny można być na szczycie ścieżką, wijącą się wśród dżangli, przecinając powyłamywane przez dzikie słonie przechody, z miłą perspektywą zobaczenia tych olbrzymów nieoswojonych. Ale niestety nie mamy szczęścia do gór. Jeszcze nie skończyliśmy posiłku, gdy lunął jak z cebra prawdziwie równikowy deszcz, jak oberwanie chmury. Błyskawica po błyskawicy, grzmot nie ustawał i lało w sposób u nas nigdy nie widziany.

Zamiast iść na szczyt, siedzieliśmy w grubych płaszczach na krytej werandzie, popijając wonną herbatę i podziwiając burzę. Dopiero pod wieczór ulewa ustała, wody z łąki spłynęły w momencie i zaświeciło słońce; ale było już za późno na projektowaną wycieczkę.

Bez zbyteńnego żalu żegnamy następnego rana tyle sławioną Nurelię, która pod wielu względami nie dorównała naszym oczekiwaniom, a przewyższyła je tylko obiecywaną ochłodą. Wieczór i rano było tu nam stanowczo za zimno; gdy wyjeżdżaliśmy na kolej wskazywał termometr tylko 9^o R. W miarę, jak górską, tą samą kolejką zjeżdżamy coraz niżej i oddalamy się od wysokich gór, zyskują one i rosną nam w oczach. Rychło bardzo zapominamy o zimnie. Robi się



CEYLON. — JEZIORO W KENDI.

coraz cieplej, a przesiadając się w Nanuoya mieliśmy już co się zowie równikową temperaturę. Potem inną już linią kolejową przez Peradeniya do Kendi, wśród zbitej gęstwy równikowego lasu, przetykanego gęsto różnymi gatunkami palm.

Z dworca kolejowego rikszami do Queens hotel, arkadowego pałacu nad wielkiem sztucznym jeziorem. Gości w hotelu nie wiele, więc dano nam na piętrze wspaniały narożny pokój z pięciu oknami i łazienką. Widok z okien na jezioro, lesiste, najbujniejszą roślinnością pokryte góry, na pałace i domy białe, czepiające się na stokach i odbijające z dziwną czystością w kryształowej wodzie. W Kendi, w ostatniej stolicy byłego królestwa Singalezów, poznajemy w przeciągu kilkodniowego pobytu najbardziej uroczy i interesujący pod każdym względem punkt rajskiej wyspy.

Miasto o 40.000 ludności położone jest na umiarkowanej wysokości 1800 stóp nad poziom morza, nad sztucznym jeziorem z malowniczymi w środku wyspami. Jezioro jest dziełem jednego z dawnych królów singalezkich. Naokoło wieniec gór lesistych, wśród których szereg mniejszych górskich jezior. Na dole, między górami, wije się szeroka srebrna wstęga wielkiej, jak na Ceylon, rzeki Mahaveli Ganga. Ma to miasto, z porozrzucanymi po stokach gór nad jeziorem i wśród zieleni starymi i nowymi pała-

cami, świątyniami, willami i białymi domkami Singalezów, ma to miasto, tonące wśród najbujniejszej równikowej wegetacyi i kwiatów, niesłychany wprost urok równikowego raju ziemskiego. Z powodu wyższego położenia nie tak gorące jak Colombo, ma Kendi w najbliższym otoczeniu szereg cudownych spacerów, dróg, kunsztownie po górach i nad jeziorkami prowadzonych, ścieżek wyciętych przez dziewicze lasy i nietykane dżangle. Ma wreszcie w pobliżu równikowy ogród botaniczny Peradeniya Garden, ustępujący pod względem naukowego ugrupowania i liczby roślin tylko jednemu ogrodowi botanicznemu na wyspie Jawie w Bajtenzorch, przewyższający jednak tamten pod względem malowniczości.

Jest też Kendi czysto singalezkiem miastem, siedzibą najstarszych i najczystszej krwi rodzin singalezkiej arystokracji. Tu przechowały się nie tylko przedwne typy tej pięknej rasy, w której żyła dużo krwi aryjskiej; przetrwały też i stare zwyczaje, odwieczne, oryginalne stroje, które jeszcze widzieć i podziwiać można w tutejszej świątyni zęba Buddy, a w kilku kościołach katolickich w niedzielę i na publicznych posiedzeniach sądów przysięgłych.

Miasto i jego najbliższa okolica jest takim zbiorowiskiem uroków, przedstawia tyle materiału do studyów i spostrzeżeń, dla botanika, dla zoologa, etnografa, ale także i dla przecię-

tnego inteligentnego turysty, że tygodnie całe tu spędzone minęłyby z pewnością jak mgnienie oka. Przyjechawszy tu żal było szczerze dni, zmarnowanych w banalnej dość Nurelii, której, o ile się ma czas ograniczony, nie radzę zwiedzać a raczej w Kendi o parę dni dłużej pozostać.

Ogród Peradeniya (Pereden'ja) wymagałby dla dokładnego zwiedzenia kilka dni czasu. Mogliśmy poświęcić mu tylko pół dnia, dojeżdżając powozem do wszystkich najbardziej zajmujących partyj, zatrzymując się to nad urwistym brzegiem rzeki Mahaweli Ganga, z widokiem na przestrzenie lasów górskich i jakby zielonych cieni-
stych tuneli, którymi rzeka się przeciska, to znów w długich aleach palm Talipot, to wśród grup wysmukłych bambusów, to znów na widok zwierzyny, ptaków i płazów, by ich nie spłoszyć odrazu i dowoli się im napatrzeć.

Olbrzymi ogród zawiera 58 gatunków samych palm, wszystkie gatunki bambusów, trzciny i traw drzewiastych, wszystkie drzewa i rośliny równikowej strefy z całego świata, zarówno owocodajne, korzenne, jak i trujące, drzewa ozdobne i kwiaty. Z roślin przykuwa uwagę dziwna o krwisto-czerwonych kielichach kwiatów. Zastanowiła nas silna a niemiła woń zgniłego mięsa: to kwiaty tej rośliny zapach ten wydzielają, wabiąc nim muchy i owady, by je w kielichach łowić, zamykając wyjście delikatnymi rzęsami. To roślina

o kwiatach owadożerczych. Inną podobną roślinę pokazywali nam ogrodnicy: z kwiatami zagiętymi w łabędzią szyję i pełnemi w zagięciu syropowego czystego płynu, w którym na żer roślinie topi się ciągle masę owadów.

W najładniejszym może miejscu ogrodu jest dobry resthaus, niemal mały hotel, z szeregiem pokoi. Dla botaników i wogóle przyrodników przyjeżdżających na studia jest cena zniżona: płacą pięć rupij dziennie za wygodny pokój z łazienką i całym utrzymaniem. Zwykły turysta płaci za to samo 7 rupij, i tylko trzy dni może mieszkać, podczas gdy przyrodnik nie jest co do czasu ograniczony. Obok resthausu muzeum ogrodowe, gdzie przedstawiony cały rozwój roślin, ich użyteczność, przeróbki z nich i ich wrogowie: pasożyty i owady. Dalej laboratoria dla botaników.

W założeniu i rozkładzie ogrodu Peredenja mniej dbano o systematyczne ugrupowanie, t. j. by pokrewne gatunki były w pobliżu siebie, jak raczej by całość sprawiała jak najbardziej malownicze wrażenie. Pełno też w tym ogrodzie czarujących kontrastów, które sprawiają, że choć dla uczonego mniej to może przejrzyste, ale dla turysty, artysty i miłośnika piękna ma być ten ogród o wiele więcej interesującym, niż jego jawański rywal.

Równie piękną, jak zwiedzanie ogrodu botanicznego, była powozowa wycieczka do semina-

ryum duchownego rzymsko-katolickiego imienia Leona XIII. Wznosi się ono wysoko w górach ponad Kendi. Jedzie się dwie godziny blisko, naprzód wśród palm, plantacyj kokosowych i zdziczałych krzaków kawy, potem przez wspaniałe dziewicze lasy, własność rządu, utrzymane umyślnie w pierwotnym stanie, by służyły do studyów botanicznych i przyrodniczych, jako uzupełnienie ogrodu Peredenja. Nie wolno tu drzewa wyciąć, nie wolno obalonego i gnijącego uprzątnąć: wszystko zostawione jest samej naturze a ręka ludzka postarała się tylko, by tu i ówdzie przez gąszcze porobić pieszce ścieżki i utrzymywać je, aby nie zarosły i nie zostały zatarasowane przez nisko wiszące liany. Mimo jednak czyszczenia trzeba po tych ścieżkach kroczyć ostrożnie, bo z góry wiszą i czyhają na całość korkowych kapeluszy jakieś zielone liny z ostrymi, zadzierzystymi kolcami, zrzucające kapelusze i rozdzierające suknie. Na ścieżkach, pod gęstem sklepieniem liści drzew i pnączów, ciemno prawie zupełnie. Pod stopami wilgotna podściółka, w której nogi grzęzną, jak w torfowej ziemi. Panuje tu ziemista woń próchna, duszący poprostu zapach kwiatów i parne powietrze cieplarni.

Cienistemi i pachnącemi wonią kwiatów są również szerokie, w zakosy po górach wijące się drogi bite, założone ze znanstwem i poczu-

ciem piękna, prowadzone przez najcudniejsze miejsca, przez zbocza, koło jeziorek i nad przepaściami, gdzie otwierają się bajeczne widoki na miasto w dole nad jeziorem, na rzekę i na przestrzenie górskich lasów. Drogi te noszą imiona żon gubernatorów Kendi, za których były budowane. Te, którymi jechaliśmy, dążąc do seminaryum, nazywają się Lady Horton's walk i Lady Gordon's walk. Wzdłuż dróg widzi się pod ścianami dżangli liczne wzgórki, będące budowami termitów; niektóre opuszczone przez termity a służące za mieszkanie węzom.

Seminaryum, ślicznie położone, z widokiem na Kendi i jezioro głęboko pod nami, a z drugiej strony na rzekę Mahaweli Ganga i lesiste góry. Budynek sam wielki, ale nie ładny, wyglądający na koszary, otoczony jednak plantacjami palm, drzew owocowych i krzewów w kwiecie. Zwiedziliśmy ogród i kapliczkę seminaryum, dopypywaliśmy się o naszego rodaka, tutejszego X. arcybiskupa Zaleskiego, którego jednak nie było w Kendi, wyruszył bowiem właśnie w podróż wizytacyjną. Oprowadzał nas po seminaryum i ogrodach mały singalezki chłopiec. Opowiadał, że w seminaryum jest teraz 80 singalezkich kleryków, w małym zaś seminaryum 40 chłopców, do których i on należy. Malec oprowadzał i pokazywał wszystko z taką gorliwością i uprzejmością, okazywał w odpowiedziach na pytania taką

inteligencję i bystrość, że nie tylko urodą jego musieliśmy się zachwycić.

Na pożegnanie chciałem mu dać srebrną rupię, ale grzecznie podziękował i stanowczo odmówił przyjęcia. Byłem zdumiony, gdyż dzieci w Kendi i okolicy zepsute już są bardzo przez europejskich zbieraczy roślin i owadów, którym służą za pomocników. Nie żebrzą wprawdzie wprost, ale za najmniejszą przysługę, pokazanie drogi, objaśnienie, upominają się o wynagrodzenie. Lubią też sprzedawać rzeczy, nie mające tu żadnej wartości, za drogie pieniądze. Pominąwszy bowiem chłopców, sprzedających kolekcje motyli, skóry węzów i jaszczurek, chodzące liście, t. zw. „*lief insect*“ — co jest zrozumiałem, bo złapanie i spreparowanie kosztowało przecie trochę trudu — spotyka się i takich, co urwawszy w oczach turysty strąg kakaowy lub podniósłszy z ziemi czerwono paskowany orzech Areki, ofiarują to Europejczykowi, żądając w zamian kilku centów. Za rzadkiego owada lub motyla, choć w oczach złapanego, żądają czasem i ćwierć rupji. Tem więcej zdziwiła mnie więc grzeczna odmowa chłopczyka ze seminaryum, że niema między rówieśnikami pod tym względem przykładów. Dobrze widać wychowują pupilów księża tutejsi; później też miałem sposobność przekonać się, że chciwość okazują tylko buddyjskie dzieci; katolickie wychowanie już na to nie pozwala.

Wracając, jedziemy inną znów drogą leśną nad brzeg rzeki, gdzie przed zachodem słońca przychodzą słonie do kąpieli. Oczywiście oswojone słonie, z dozorcami. Widzimy kąpiących się słonie kilkanaście. Ciekawy widok, jak te kolosy kładą się w wodzie, jak urządzają sobie tusz trąbą i z jaką lubością pozwalają się dozorcóm szorować łupą z orzecha kokosowego. Dozorcy, widząc nas z aparatami fotograficznymi, starali się ugrupować kąpiące się słonie jak najefektowniej. Gdy który olbrzym wstał, kazali mu trzymać przednią nogę podniesioną i stojąc na niej, pozowali sami do fotografii lub też stawiali szeroko rozstawionymi nogami na białych kłach olbrzymów. Po kąpieli urządzili nam na brzegu nowe przedstawienie. Słonie musiały dźwigać na rozkaz potężne pnie, łamały nogą i trąbą grube drzewa, rozłupywały kłami na trzaski wielkie kłody. Oczywiście przedstawienie nie było za darmo. Mieliliśmy chwilkę niemiłego uczucia, gdy nas czarni dozorcý obścąpili, żądając zapłaty, a bestye ogromne pchały się na nas na równi z krajowcami. Dwie rupie jednak dane do podziału ułagodziły w momencie i czarnych ludzi i słonie, które przyklękły, dziękując, a długowłosi dozorcý żegnali nas radosnym uśmiechem i niezrozumiałymi błogosławieństwami.

Trzecią piękną wycieczką z Kendi jest pieszy spacer kilkogodzinny, ścieżkami wciąż w górę

przez dżangle, do wysoko położonego rezerwoaru wodnego, który Kendi zaopatruje w czystą wodę. Dość męczący był spacer przez lasy i skały, wśród woni kwiatów i wilgotnego gorąca dżangli, do jeziora dużego, zamkniętego ze wszystkich stron górami. Stoki gór pokryte gąszczem, zdobnym w kwiaty. Woń wprost odurzająca, bo nad jeziorem przeważają białe, pachnące silniej niż tuberozy, t. zw. kwiaty świątyni. Z tych to kwiatów robią buddyści naszymi, ciągle zmieniane na świętych posągach Buddy.

W samym mieście Kendi trudno nie zwiedzić największej, choć nie najładniejszej miasta osobliwości: najświętszej na wyspie buddyjskiej świątyni w której przechowany jest w kosztownym relikwiarzu trzonowy ząb Buddy. Nazywa się świątynia Dalada Maligawa lub pałacem zęba, Palace of the Tooth. O autentyczności tego zęba różnie mówią; faktem jest, że jeszcze w r. 1560 został uroczyście spalonym przez portugalskiego arcybiskupa z Goa. Ale Buddyści wierzą, że ząb odrodził się z popiołów, i przechowują w siedmiu bezcennych naczyniach ząb dzika. Sam budynek świątyni, dość wielki, brzydki, ale prześlicznie położony nad samym jeziorem. Na zewnętrznej terasie świątyni malowidła na murze, przedstawiające życie Buddy.

Stamtąd wchodzi się po schodach do starej buddyjskiej biblioteki, w której przechowują ty-

siące manuskryptów, pisanych dawnem pismem na liściach palmowych. Biblioteka ma kształt wysokiej ośmiobocznej sali, z której wychodzi się na wąski, kamienny balkon z rozległym na miasto widokiem. Z biblioteki schodzi się do właściwej świątyni, w której dużo posągów Buddy w przeróżnych pozycjach. Za szkłem małe figurki Buddy, z kryształu, ametystu, a nawet z jednego szafiru. Wreszcie, przy zasłoniętych firankach, aby wiernych nie gorszyć, wpuszczają nas bonzowie do samego sanctissimum, gdzie przechowany jest święty ząb. Pokazują relikwiarz, złoty, cały wykładany drogimi kamieniami niebywalej wielkości, wartającymi z pewnością krocie tysięcy rupij. Ten relikwiarz mieści w sobie sześć jeszcze naczyń, ale tych — jak twierdzili bonzowie — oko niewiernego już oglądać nie może. Cóż dopiero zęba, który się znajduje w najmniejszym wewnętrznym relikwiarzu. Co prawda, nie napieramy się tego widoku, lecz przypuszczam, że gdybyśmy się uparli i ofiarowali złotego funta, nie wytrzymałaby tej pokusy niezbyt granitowa cnota buddyjskich kapłanów. Wolimy jednak uciekać co prędzej ze świątyni, która zasłana cała białymi „kwiatami świątyni“ pełna jest tak dusznego zapachu, że długo w niej wytrzymać nie można.

Oprócz tej sławnej, lecz brzydkiej świątyni, ciekawym jest jeszcze stary pałac singalezkich

królów i hala posłuchań, Audience Hall. W pałacu odbywają się teraz sądy. Zaglądamy na godzinę do hali rozpraw karnych. Na podwyższeniu trybunał, w środku Anglik, po bokach dwaj singalezcy wotanci.

Na ławie przysięgłych poważni singalezcy obywatele, starcy przeważnie, w malowniczych strojach, z płaskimi na głowach nakryciami, przypominającymi patelnie. Stroje barwne i bogate bardzo, a siwobrode twarze patryarchów, pełne godności i powagi. Oskarżony o zabójstwo żony młody chłopak broni się wśród namiętnej gestykulacji. Singalezki obrońca, sądząc z intonacji i ruchów, znakomitym musi być mówcą. Nad trybunałem, przysięgłymi, oskarżycielami i obrońcą, powiewają ciągle paniki chłodzące.

Ostatniego dnia pobytu w Kendi, po wieczornym obiedzie, gdy noc już zapadła, bierzemy riksze i wyruszamy na półtoragodzinną nastrojową przejażdżkę naokoło wielkiego jeziora. Wszystkie światła miasta odbijają się w lustrzanej fali. Wśród drzew, zarośli w trawie i w powietrzu miliony latających świecących owadów, Fireflies, jak je zowią Anglicy. Jedne świecą, jak nasze świętojańskie chrząszczyki, inne tak samo, tylko że gasną i zaświecają się w regularnych odstępach czasu. Inne znów jaśnieją w trawie i liściach, wydają światło tak silne, jak małe laski.

Ta nocna przejażdżka naokoło jeziora, odbijającego w sobie czarne góry i światła miasta, wśród ogni i świateł w powietrzu i na drzewach, wśród ciszy parnej, równikowej nocy i upajającego zapachu niewidzialnych kwiatów — to wspaniały finał górskiej wycieczki, niezapomniane nigdy pożegnanie Kendi, tego ziemskiego raju roślinności.

PRZEZ UMARŁE MIASTA I PRZEZ PUSZCZE.

Matale. — W Dambulla. — Mozolna wycieczka. — Cave Temple. — Wodne bawoły. — Sigiri. — Umarłe miasto. — Samotny posąg Buddy. — Dagoby. — Kłasztory buddyjskie. — Drzewo Bo. — Resthauzy rządowe na Ceylonie. — Do Trinkomali. — Grób Mahindy. — W dziewiczym lesie. — Flora i fauna. — Latające lisy i wiewiórki. — Spotkanie z okularnikiem. — Kameleony. — Wrony i wróble na Ceylonie. — Ptaki i motyle. — Tysiąconogi. — Mrówki ceylońskie. — Mimoso pudica. — W Trinkomali. — Siesta nad morzem. — Na przyładku. — Pająki morskie. — Przygody samochodowe.

W równikowych krajach wstaje się wcześniej, przed wschodem słońca, bo czas między wschodem a chwilą, gdy słońce po nad poranne opary się wzniesie i palić zacznie, jest jedyną miłą porą dnia. Na samym równiku, jak wiadomo, dzień ma przez cały rok równo 12 godzin. Słoń-

ce wschodzi o 6 i o 6 zachodzi. Na Ceylonie są już różnice, ale te nie wynoszą więcej jak kilkadziesiąt minut przed lub po 6-tej.

Dość punktualnie, na kwadrans przed wschodem, zajechał zamówiony na trzy dni samochód i wyruszyliśmy zaraz, jadąc z początku dość wolno, bo droga z Kendi do Matale ciągle z góry prawie, wiję się w drobne zakręty nad potokiem i zboczami gór lesistych. O wschodzie, jak zwykle, stoki gór zamglone silnie; z szumiącego dołem strumienia, z jeziorok i wilgotnych lasów wstają opary, przysłaniające jak delikatnym woalem przepiękną górską okolicę.

Powolna jazda dogadzała nam bardzo, bo tak malowniczo wyglądają chaty krajowców i oni sami wśród kakaowych i bananowych plantacji i lasów palm, że miło dłużej paść oczy tym widokiem.

Słońce wzniosło się wyżej i opary znikły już, gdy dojechaliśmy do ślicznego i bajecznie położonego małego miasteczka Matale. Zatrzymaliśmy się tylko minut parę przed resthausem, by napić się wody sodowej, szofer zaś zaopatrzył się w zapas orzechów kokosowych. Od Matale jedziemy już szybko po równym, prostym jak strzała gościńcu, ciągle jednak w otoczeniu gór malowniczych. Dolina zwolna staje się coraz szerszą, góry cofają się w głąb. Kraj gęsto zaludniony i uprawny dobrze; na terasowych ła-

godnych stokach cały szereg pól ryżowych; niektóre z nich jasno zielone, inne już białawe, na innych żniwo, a gdzieś tam sięgają ryż lub orzą ziemię pod siew parami wołów głęboko w bagnie brodzących. Gdzieś tam miejsce ryżowych pól zastępują małe kakaowe plantacje, kępki bananów, trzciny cukrowej, gaiki kokosów i arek i żółte pola ryżowe — bez końca.

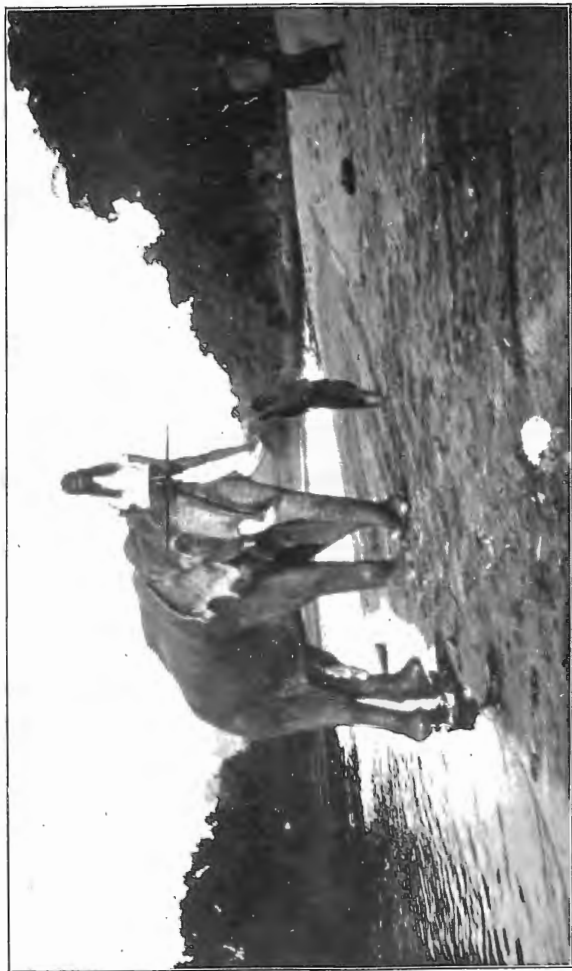
Wreszcie, w cztery godziny od wyjazdu z Kendi, stajemy w Dambulla, większym już u stóp leśnej góry wśród porzrzucanych skał położonym mieście. Zajeżdżamy do resthausu, w którym mamy zamówiony zawczasu południowy lunch na 12-tą. Przedtem jednak po kilku flaszkach wody sodowej tylko, wybieramy się piechotą zwiedzić głośne tutejsze odwieczne świątynie buddyjskie, w skale wykute. Przewodnik, którego nam dano z resthausu, pociesza nas, że to niedaleko i nie bardzo bystro pod górę. Gorąco było już bowiem piekielne, słońce prostopadłymi promieniami paliło siarczyście. Pokazało się jednak, że to i daleko było i wysoko i dosyć karkołomnie: kilka razy z drogi już wrócić się chcieliśmy, ale zawsze zdołał nas okłamać prowadzący bonz zapewnieniem, że to już bardzo blisko, już za najbliższym zakrętem już tylko kilkadziesiąt w skale ciosanych schodów.

Dojście do tych świątyń wymagało takiego nakładu siły woli, takiego umęczenia i tyle wy-

lanego potu, jak nigdy jeszcze żadna najbardziej męcząca górską wycieczka za młodszych lat. Chwilami ustawaliśmy zupełnie, a moja żona z pewnością byłaby musiała zrezygnować z dalszego drapania się pod żarem równikowego słońca, gdyby nie idący za nią z tyłu stary Singalez, który pomagał jej w trudnych miejscach, niosąc prawie i wachlując ułamaną gałęzią.

Na oko nie mogliśmy się zorientować co do wysokości góry, na którą nam piąć się wypadło. Zbocza bowiem zarosłe są gęstą dżanglą niskopienną, przez którą wije się, jak w tunelu skalnym, urwista ścieżka, miejscami z szeregiem schodów, wysokich jak na wielkoludów. Ścieżka jest tak kręta, że czasami tylko na parę kroków przed sobą można widzieć. I przy tem niegodziwie niska dżangla nie daje osłony przed słońcem, a czepia się zadzierzystemi pnączami nóg i ubrania, utrudniając jeszcze wspinanie się. Tylko małpy skaczą po krzakach wesoło, całemi gromadami, przypatrując się nam ciekawie i bez strachu.

Gdy wreszcie ledwo żywi znaleźliśmy się przed wejściem do skalnych świątyń, pot zalewał i gryzł oczy, a ubrania nasze były przemokłe zupełnie, jakby nas z wody dopiero co wyłowiono. Długo musieliśmy wypoczywać, podziwiając tymczasem widok na obszary górskiego krajobrazu na południe, a senne lesiste równie



CEYLON. — KAPIEL SŁONI.

ku północy, nim zdecydowaliśmy się nareszcie na zwiedzenie szeregu grot.

Tych Cave Temple jest tu kilka, z różnych wieków i w różnych rozmiarach. Dwie najstarsze podobno z przed 2000 lat, nie warte były mozolnej wyprawy, trzecia duża i jasna, przedstawia bardzo ciekawy widok kilkuset nadnaturalnej wielkości posągów Buddy, ustawionych szeregiem w półkole — wszystkie w siedzącej na podwiniętych nogach postaci. Prócz tego całą długość świątyni w głębi wypełnia kolosalny z tej samej skały co grotą wykuty, leżący Budda z ogromną głową i tułowiem a bardzo małymi nogami i stopami w stosunku do całości figury. Rzeźbiarze źle się widać obliczyli co do rozmiarów, więc na odpowiednie nogi w grocie, pod szczytem góry wykutej, miejsca już zabrakło. Zupełnie ładne jednak byłyby siedzące posągi, zwłaszcza taki ich szereg, gdyby nie szalenie srogate malowidła i złocenia, któremi są pokryte. Te malowidła odnawiane są niestety co roku, aby nic ze swej świeżości nie straciły.

Zejscie z góry było znacznie mniej męczące, ale więcej jeszcze karkołomne: ciągle trzeba było sobie pomagać — rękami. Nogi też drżały pod nami, gdy nareszcie, podarci i podrapani, znaleźliśmy się w resthauzie, gdzie naturalnie przed posiłkiem jeszcze pochłonęliśmy szereg flaszek wody sodowej z cytryną, bo wy-

pite przed wycieczką wypociliśmy dawno — z nakładem. Nie pamiętam, bym kiedy w życiu tyle płynów w kilku godzinach połknął.

Po średniej dobroci obiedzie i krótkim wypoczynku, urozmaiconym zabawą z chowanemi w resthauzie małpami, wyruszyliśmy samochodem na krótką wycieczkę do Sigiri.

Droga oddala się od gór. Jedziemy równią przez bagniste lasy. Przerywają puszcze stawki i bagna, strojne w liście i kwiaty lotosu. W jednym miejscu zauważyliśmy daleko między liśćmi, przykrywającymi zwierciadło wody, kilka ciemnych punktów. Jeden z tych punktów się poruszył. Patrząc przez lornetkę. Nad powierzchnią wody sterczą rogate łby. To wodne bawoły Ceylonu.

Jadąc dalej bezludnym krajem, przez puszcze i wśród wód, napotykamy naraz jakieś kamienne szczątki, resztki zaginionego przed 1500 laty miasta. Wreszcie las się urywa. Na równinie przed nami stercząca, prostopadła ze wszystkich stron skała, z płaskim jak stół wierzchem, ukończonym małą z dołu widoczną ruiną.

To Sigiri, sławna odwieczna forteca skalna króla Kasyapa, który zawładnął Ceylonem w piątym wieku naszej ery, po zamordowaniu własnego ojca. — Obok olbrzymiej, wznosi się mała skała, ledwo widoczna nad wierzchołkami obrastających ją drzew.

Po kilkuset kamiennych schodach dostajemy się na wierzchołek tej małej skały. Naokoło całe morze nieprzejrzanego dżangli.

Na dole, u stóp skały, świecą przez gęstwę wody jeziora, tak dżanglą obrosłego, że choć z 10 ostatnich minut jechaliśmy tuż nad nim, dopiero teraz z góry patrząc, zauważyliśmy istnienie tej rozległej przestrzeni wód. Z miejsca, gdzie stoimy, widzimy też tysiące krętych kamiennych schodów, wiodących na szczyt skały. Koło tych schodów, nad przepaścią prowadzonych, wmurowane świeżo przez Anglików żelazne poręcze, łańcuchy i klamry.

Gorąco wciąż dokuczliwe, więc nauczeni doświadczeniem z Dambulla i nie chcąc w jednym dniu na ponowne straszne narażać się umęczenie, rezygnujemy z drapania się na szczyt. Po krótkim przeglądzie okolicy, zostawiam swych towarzyszy, którzy wolą wypocząć w cieniu i schodzę sam na dół, przedzierając się z trudem przez gęstwinę nad brzeg jeziora. I nie żałowałem tego.

Idąc wolno piaskiem nad samą wodą jeziora, widzę w dali jakby kłody drzewa, leżące rzędem na piasku. Patrząc przez szkła. To najwyraźniej olbrzymie krokodyle. Skradam się wolno z nadstawionym aparatem fotograficznym; ale nie zdołałem bliżej, jak na sto metrów podejść, gdy błyskawicznym ruchem trzy z nich chlupły w wodę, czwarty zaś spóźnił się o mgnienie oka tyl-

ko i podążył za nimi. Za chwilę widziałem jeszcze płynące na powierzchni wody dwa punkty, a w wodzie niewyraźne kształty potężnego jaszczura. Z nad jeziora nieporównany widok na sterczącą nad niem skałę Sigiri, odbijającą się jak w zwierciadle, w niezarosłej niczem cichej fali.

O drugiej popołudniu wróciliśmy do Dambulli i jedziemy zaraz dalej na północ znów bagnistą puszcza, przerywaną gładkimi zwierciadłami jezior, nad którymi stoją rzadkie domki krajozców. Kraj ten słabo zaludniony. Czasem przez pół godziny szybkiej jazdy nie widać ani chaty ani człowieka. W małej osadzie wśród wód Keherawa stajemy znów przed resthauzem, by wypić nie wiem którą już tego dnia, szklankę wody sodowej, bez lodu, niestety. Mądrzej się urządza nasz brunatny szofer, który co chwila popija z orzecha kokosowego chłodny przynajmniej płyn. Gorąco ciągle nieznośne. Jadąc szybko, nie czuje się tego tak bardzo, ale gdy tylko samochód stanie, znajdujemy się naraż, jak w rozpalonym piecu.

O godz. 5 po południu stajemy w Anuradżapura, zaginionej singalezkiej stolicy wyspy, kwitnącej i milionowej podobno przed 2500 laty, potem wyludnionej zupełnie z powodu niszczących napadów Tamilów w ciągu pierwszego wieku naszej ery. Opuszczone ogromne miasto zarosło

puszcza; nikt z Europejczyków nie wiedział o niem przez kilkanaście wieków, zwłaszcza że północna, nizinna część wyspy niedostępna była z powodu bagien i niemal bezludna. Dopiero w połowie zeszłego wieku podobno, odkryli osłonięte dżanglą zewsząd ruiny miasta Angli- cy, a w ostatnich dziesiątkach lat, po wybudowaniu dróg, osuszeniu znacznej części bagien a zwłaszcza po przeprowadzeniu kolei, idącej przez Anuradżapurę do północnego cyplu wyspy, powyciano w puszczy drogi, któremi połączono najważniejsze ruiny i oczyszczono odwieczne dagoby, stupy, pokuny i szczątki pałaców z zara- stającej roślinności. Złożono też porządny rest- haus. Obecnie jest Anuradżapura, jedną z naj- większych ciekawości Ceylonu. Każdy też ze zwie- dzających Ceylon turystów dojeżdża i do Anurad- żapury. Zachwyca się nią wielu, a Loti w swej książce o Indyach poświęcił umarłemu miastu najpoetyczniejsze ustępy.

Nastrojowem jest niewątpliwie to miasto ruin wśród dżangli, z ogromnemi jak zielone pagórki dagobami i stupami, z basenami do kąpieli t. zw. pokunami, z szeregami kolumn, pozostałych po pałacach i klasztorach buddyjskich i z kamiennemi postaciami Buddy, sterczącemi wśród gęstwi. Na- strój to wywołuje niewątpliwie, ale zaintereso- wania większego nie budzi, bo zbyt odległe to czasy, gdy miasto żyło i kwitło, zbyt mało nam

znane dzieje tych ludów, dalekich odległością siedzib i rasą, dla których było ono stolicą.

Zaraz po przyjeździe, zajmwszy pokoje na nocleg w resthauzie i zostawiwszy rzeczy, wybraliśmy się na zwiedzenie najbliższych ruin, zanim noc zapadnie. Pojechaliśmy samochodem, bo wszędzie daleko. O byłej wielkości i rozległości miasta świadczy już to, że jego szczątki rozciągają się na powierzchni 20 mil angielskich. Pierwsze widziane ruiny nie zrobiły na nas większego wrażenia. Prawda, że to resztki dawnej okazałości z przed lat przeszło 2000, więc resztki bardzo marne i niedające pojęcia o przepychu i bogactwie królewskich pałaców i klasztorów bonzów, które miały 9 pięter wysokości i wykładane były miedzią złożoną. Dziś są tylko złomy kamieni, sterczących wysoko z ziemi, jak obeliski, gdzieniegdzie aż nad drzew wierzchołki. Potężne natomiast wrażenie zrobił na nas samotny, olbrzymi kamienny posąg Buddy, w siedzącej na zmurszałym kamiennym postumencie postaci. Ileż to zdarzeń pamięta ten nieruchomy Budda od lat tysięcy! Pamięta świetność i bogactwo stolicy jego najgorliwszych wyznawców, był świadkiem powolnego upadku i barbarzyńskich napadów Tamilów, którzy wszystko zniszczyli naokół, a tylko jego uszanowali. W bezludziu i pustce obrósł puszcza naokoło; zapo-

mniany spał przez wieki długie wśród zapadłych lasów, śniąc wciąż czasy stare i wielkie.

Aż przyszli biali ludzie z dalekiej północy, znaleźli go w gąszczu, zajrzeli mu w kamienne pół przymknięte źrenice, i od tego czasu widzi tych obcych, tych białych, mąjących jego pokój Nirwany — coraz więcej. W chwili, gdy my także patrzymy mu w twarz tajemniczą w skupieniu, psuje naraz nastrój inny biały człowiek, co wyszedłszy niespodzianie z za kamiennego kolosa zaczyna do nas przemowę i nadstawia skarbonkę, żądając składki na „armię zbawienia“. — Gdy rozgniewany tem niemiłym przerwaniem zadumy, odpowiadam, że mię „armia zbawienia“ nie całkiem nie obchodzi, że jestem rzymski katolik i nic nie dam, otrzymuję w odwet grobowym głosem wypowiedziane zapytanie: „Więc błogosławieństwo Boże nic pana nie obchodzi?“ I z powagą bolesną spoliczkowanego męczennika odwrócił się i odszedł.

Przerywamy dalsze zwiedzanie, by na zachód słońca zdążyć jeszcze nad brzeg jeziora wśród dżangli, gdzie — jak nam mówiono — przycho-
dzą często kąpać się o zmierzchu i pić wodę dzikie słonie. Ale puste były brzegi jeziora. Słoni nie widzieliśmy. W dodatku nasz szofer podjechał nieostrożnie pod konar drzewa i uderzył się tak silnie, że stać musieliśmy długą chwilę w gąszczu, aż przyszedł do siebie. Wracając do

resthauzu już o zmierzchu, przejeżdżamy około kamiennej pokuny, sztucznego basenu, który służył za kąpiel oswojonych słoni przed dwoma tysiącami lat.

Następnego dnia od wschodu słońca zwiedzamy samochodem porozrzucane wśród przestrzeni lasów zielenią porośłe dagoby. Więc główną dagobę Ruanwelli i najstarszą ze wszystkich Miriswetiya i Iaytawanarama, wreszcie największą, 350 stóp wysokości, Abhayagiriya, i kilka innych jeszcze, umyślnie nie oczyszczonych z zarastającego je gąszczy. Niektóre z nich imponujące ogromem i kształtem wysmukłym; inne, pokryte zielenią, wyglądają z daleka jak kopiec Kościuszki. Okolica naokoło równa, senna, lesista, gdzie-niedzie wśród gęstwi chaty krajowców, a od czasu do czasu biały domek angielski. Wszystko razem smutne robi wrażenie.

Anglicy w swych poszukiwaniach odkopali na terytorium dawnej Anuradżapury mnóstwo zabytków, sprzętów i naczyń. To jednak, co tylko posiadało jeszcze lepiej zachowane fragmenty rzeźby lub ornamentyki, zabrali do muzeum w Colombo; tu w lesie zostawili tylko kilka trudnych do transportu t. zw. księżycowych kamieni rzeźbionych. Są to półkola kamienne na ziemi, z płaskorzeźbami przedstawiającymi zwierzęta, najczęściej słonie i kaczki.

Wreszcie zwiedzamy kilka starych klasztorów buddyjskich z dobrze jeszcze utrzymanymi stupami, zawierającymi relikwie Buddy. Biednego Buddę musiano chyba na mikroskopijne cząstki podzielić, skoro stup z jego szczątkami jest nie tylko w Ceylonie, ale Indjach, Birmie i w całej wschodniej Azji dziesiątki tysięcy. W jednym z tych klasztorów podziwiamy najstarsze historyczne drzewo, drzewo Bo, zasadzone z gałązki tego drzewa, pod którym w Sarnath obok Benares dostąpił Budda objawienia. Gałąź tego drzewa przywiózł wielki apostoł buddyzmu, syn króla Asoki, Mahinda w r. 245 przed Chrystusem i tu ją zasadził: od tego czasu drzewo strzeżone jest przez nieprzerwane generacje bonzów, którzy robią dobre interesa, sprzedając wiernym pojedyncze listki.

Drzewo to znajduje się na dziedzińcu klasztoru, obmurowane naokół. Z powykręcanym i pogarbnym pniem, a z niewielu tylko konarami i gałęziami, przypomina mi żywo odwieczne drzewa oliwne w ogrodzie Getsemani pod Jerozolimą, o których jednak nikt tam nie twierdzi, jakoby były temi samemi, które użył krwawy pot Zbawiciela. Nie sądzę też, by owo „najstarsze historyczne drzewo na świecie“, które pokazują miało istotnie aż 2200 lat. Jest ono może tylko odrostem ze spróchniałego pnia zasadzonego przez Mahindę drzewa Bo. Wątpliwość moja, zdaje mi się

tem więcej słuszna, że na innym dziedzińcu tego samego klasztoru, jest nie jedno, lecz kilka drzew Bo, o daleko grubszym pniu niż u historycznego drzewa.

Po za dagobami stupami klasztorów, pokunami, czyli kąpielami kamiennymi dla ludzi i słoni, zachowanymi stosunkowo najlepiej pod warstwą ziemi i roślinności, z której niedawno zostały odkopane, poza szeregami kamiennych kolumn, pozostałych po pałacach — jest tu na każdym kroku w gąszczu szczątków dawnych budowli i ułamków mnóstwo, najczęściej jednak w takim pokruszonym już stanie, że nikt nie dojdzie, jakiego rodzaju budynek stał w tem miejscu.

Resthaus w Anuradžapurze, pierwszy w którym przepędziliśmy noc, jest najlepiej urządzone na całej wyspie. Tylko cenniki zatwierdzone przez rząd i przepisy przybite w każdym pokoju wskazują, że to nie hotel prywatny, lecz rządowy resthaus. Takich resthausów jest na wyspie kilka setek co najmniej lub może i do tysiąca; mniej więcej co 12 mil angielskich. Znajdują się one w pobliżu dróg, wśród zamieszkałych miejscowości, w najbardziej zawsze malowniczych miejscach. Postawione są i urządzone kosztem rządu, a oddawane w przedsiębiorstwo i zarząd ludziom prywatnym, przeważnie Singalezom.

Mają one służyć przede wszystkim na mieszkanie dla objeżdżających swe okręgi urzędników administracji cywilnej i wojskowej; następnie dla uczonych, a wreszcie dla zwykłych turystów i myśliwych, z których każdy ma prawo trzy doby w resthauzie mieszkać, potem zaś, o ile nowy gość się zgłosi, musi z pokoju ustąpić. Należytość za pokój sypialny, wynoszącą 1 rupję od osoby za dobę, zapisuje się w księgach i tę musi przedsiębiorca oddać rządowi. Zapłata za jedzenie i napoje, pobierana według zatwierdzonego przez rząd cennika, idzie do kieszeni przedsiębiorcy, który pod surową odpowiedzialnością ma obowiązek dbać o to, by mieć zawsze potrzebne środki żywności i napoje w dobrym i świeżym stanie.

Resthaus w Anuradžapurze jest obszernym muryowanym parterowym budynkiem z arkadowymi podcieniami wzdłuż całego frontu. Wprost z podcieni są wejścia do pokoiw gościnnych, których tu jest 25. Pokoje te nie mają okien. Światło dostaje się do nich tylko przez wiecznie otwarte drzwi. Za każdym pokojem jest łazienka indyjska z toaletą, z której znów stale otwarte drzwi wychodzą na tył budynku. Umeblowanie w pokojach sypialnych prymitywne: żelazne łóżka z twardą pościelą i moskityerą, prosty stolik pod miednicą i taki sam z lustrem. Wieszadła na ubrania, ława pod kufry i dwa stołki

dopełniają umeblowania. Elektryczności niema; niema więc i wiatraków elektrycznych. Dlatego też śpi się w takim pokoju przy otwartych na przestrzał drzwiach, bo przeciąg zastępuje poniekąd wiatraki.

Inaczej niktby nie wytrzymał. To spanie na parterze przy drzwiach otwartych ma jednak też i swoje ujemne strony. W nocy obudziło mnie jakieś miarowe uderzanie o moje łóżko jakby batem bił mi kto po pościeli. Zaświeciwszy zapalkę przekonałem się, że to jakiś przyjacielski pies wtargnął do pokoju i ciesząc się bardzo z tego dowcipnego kroku bił ogonem o pościel.

W każdym resthauzowym pokoju jest zawsze kilka jaszczurek, stanowiących niezbędną dekorację ścian i sufitu. Stworzenia bardzo użyteczne, tępią bowiem gorliwie moskity, że zaś do łóżek nie mają zwyczaju wchodzić, więc nie nikomu nie szkodzą. Z dziury cementowej w posadzce łazienki wyłazą czasem dorodne karakony. Poza tem żadnych niemiłych owadów nie ma. W każdym resthauzie trzymają też zielone, niejadowite i bardzo łaskawe węże, których obowiązkiem jest tępić szczury. Obsługa w resthauzach licha. Po wodę przegotowaną musiałem sam chodzić do kuchni. Jedzenie wszędzie skromne, ale dobre. Mięso twarde, przeważnie drób, świeżo zabity. Zwyczajnie, gdy turyści

nadjadą, zaczyna się sądny dzień w kurniku. Ryb za to, jarzyn i owoców doskonałych w bród.

Drugiego dnia naszej samochodowej wycieczki, koło 10 przed południem wyruszamy w dalszą drogę na wschodnie wybrzeże Ceylonu, do Trin-komali.

Część wyspy między Anuradżapurą a Trin-komali jest niemal całkiem bezludną; cała zarosła lasem dziewiczym, przez który prosto, jak strze-lił, prowadzi szeroka wyborna droga. Żadnych miasteczek, wsi, chat pojedynczych nawet niema po drodze; tylko dżangla dzika i ogromna. W dżangli tej wznosi się z pośród równiny kil-ka dość wysokich gór, ukoronowanych szczyt-kami świątyn lub warowni. Tu i ówdzie okruchy prastarych osad, zgubione w puszczy.

Po niecałej godzinie samochodowej jazdy, a zatem zapewne około 30 mil angielskich od Anuradżapury, zatrzymujemy się w lesie, przy wejściu na szeroką, w las idącą ścieżkę, przed którą tablica z napisem: Mihintale. Nad korona-mi drzew widać w oddali sterczącą samotnie górę. Wysiadamy i idziemy około 20 minut cie-nistą, jak tunel, ścieżką, aż stajemy na małej polance u stóp góry. Przed nami pokruszone, kamienne, gdzieś w nieskończoność w górę idą-ce schody. Na tablicy objaśnienie, że na szczycie znajduje się dagoba i grób pierwszego buddyj-

skiego apostoła wyspy, syna króla Asoki, sławnego Mahindy. W dalszem objaśnieniu wyczytujemy, że schodów jest ni mniej ni więcej, tylko 1840. To nas zdecydowało! Przypomniało się nam drapanie się do świątyń skalnych w Dambulli i strumienie wylanego potu. Tu byłoby jeszcze gorzej!

Zaniechaliśmy drapania się w górę w samo niemal południe. Z pokorą wracamy do samochodu — i jazda dalej przez puszcę. Przejeżdżamy przez most kamienny na jakiejś rzeczce, otwierającej głębokie tunelowe widoki w głąb lasów. Po drodze dużo zwierzyny, nie bojącej się cicho mknącego samochodu. Widzimy tysiące małych, rogatych łby bawołów w bagnie, parę jeleni Sambar, dziki, kilka szakali, kilka dwumetrowej długości jaszczurek, mniejszą jaszczurkę, uciekającą jak człowiek na zadnich łapkach z łebkiem do góry, wielkiego zielonego węża i mnóstwo dużych i małych, nieraz świetnie upierzonych ptaków.

Po drodze do Trinkomali trzy półgodzinne przymusowe postoje z powodu pęknięcia pneumatyków i naciągania nowych. Za każdym razem, uzbroiwszy się w kij i parę kamieni do wystraszenia przed sobą wężów, gdyby gdzie który siedział, próbowałem zapuszczać się w głąb lasu; ale raz mi się to tylko udało, gdy postój wypadł nad małym potoczkiem, wzdłuż którego, zginając się po pod sklepienia lianów, częścią

brzegiem, częścią piaszczystem łożyskiem można było zejść dość głęboko. W braku potoczka o przedarciu się przez gęstwę poplątane pnączami i lianami, grubemi nieraz jak udo, nie może być mowy. Chyba z pomocą siekiery, choć i to z nie-małą trudnością.

Nie można twierdzić, jakoby te dziewicze równikowe lasy były bardzo piękne. Wielkich palm niema tu ani śladu. Z kraju od drogi lub nad strumykami widzi się wprawdzie małe, nie wyrosłe jeszcze palmy; żadna jednak utrzymać się i wyrosnąć nie może, bo ją gąszcz innych drzew, a przede wszystkim pnącze i liany, zduszą, nim urośnie. Tę walkę z lianami wytrzymują tylko inne wytrwalsze drzewa liściaste. Gatunków tych drzew mnóstwo, ale nie będąc botanikiem i nie mając ze sobą nikogo, ktoby mię objaśnił, nie wiem, co one za jedne. Las dziewiczy nie składa się bynajmniej ze starych drzew. Stare sterczą tylko gdzieniegdzie, górując koronami, liśćmi i festonami lianów na lasem i inne tłumiąc. Przeważnie jednak są to drzewa w średnim wieku, rozmaitej grubości, z gęstą podszywką młodzieży, poplątane od góry do dołu pnączami, tak, że całość stanowi nieprzenikniony zielony mur. Kwiatów wśród tego zielonego galimatyasu dużo, ale mniej przecie o wiele i nie tak ładnych, jak w górskiej dżangli w Nurelji, w Hakgali lub nawet w Kendi. Lasy te ogromne roją się, jak

wspomniałem, od zwierzyny i ptaków, przelatu-
jących ciągle, i od mnóstwa barwnych motyli
i owadów skrzydlatych. Równe bogactwo zwie-
rzyny jest tylko w indyjskiem Gutszeracie, gdzie
dżajnowska przeważnie ludność uważa każde
zwierzę za nietykalne lub nawet święte i gdzie
Anglicy, szanując przesady ludności, wstrzymują
się od polowań.

W czasie naszych wędrówek po Ceylonie spo-
tykaliśmy w górach, w okolicy Kendi i w dżan-
glach, mnóstwo zwierzyny. Z wyjątkiem dzikich
słoni, które zobaczyć podobno nie trudno, ale
do których nie mieliśmy jakoś szczęścia, i z wy-
jątkiem nie pokazujących się w dzień drapież-
nych kotów (tygrysów nie ma na Ceylonie) i nie-
dźwiedzi, widzieliśmy zresztą w dzikim stanie
wszystkie niemal rodzaje zwierzyny. Najwięcej
oczywiście małą wszelkiego rodzaju i wiewiórek
oraz rozmaitych potwornych nietoperzy. T. zw.
latających lisów Flying Fox, nietoperzy z głową
lisa, setki tysięcy, przedewszystkiem w ogrodzie
Peredenja pod Kendi. Tak samo wiewiórek.
Oprócz maleńkich, pasiastych, tych samych, któ-
rych mnóstwo w Indyach, dostrzegłem też raz
rudą latającą wiewiórkę, mającą między łapka-
mi włochate błony, które rozciąga jak skrzydła
i leci jak kawał rudego futerka.

Z płazów raz tylko jeden widzieliśmy jadowi-
tego węża, okularnika. Spotkaliśmy go w górach



ANURADŽAPURA. — STARY POSĄG BUDDY.

pod Kendi. Czołgał się przez drogę, a na nasz widok zaczął umykać bardzo szybko, nie myśląc wcale o ataku. Z jaszczurek wspomnieć jeszcze muszę tutejsze prześliczne kameleony. Cudne to jaszczurki, z ogonem cztery razy dłuższym niż tułów, nitkowato zakończonym, z czerwoną zwykle głową, zielonem ciałem i czerwonym zygzakowatym grzebieniem na grzbiecie, upodabniającym jaszczurkę do jakiegoś małego smoka.

Jaszczurki te mają jednak wtedy tylko czerwoną głowę i grzebień i zielony tułów, gdy człowieka nie widzą. Zobaczywszy go gaszą w momencie jaskrawe zabarwienie i przybierają barwę przedmiotu, na którym siedzą, pnia drzewa lub kamienia. Sprzestrzegłem jedną taką barwną jaszczurkę na pniu drzewa, w czasie naszego przymusowego w lesie pod Trinkomali postoju. Gdy się zbliżyłem, przeszły naraz po ciele jaszczurki jakby nagłe fale; w momencie stała się brunatną jak pień, na którym siedziała. Gdy przystąpiłem bliżej jeszcze, znikła błyskawicznym ruchem w zaroślach.

Z ptaków spotyka się na Ceylonie, równie jak w Indyach, przedewszystkiem starych znajomych z Europy, wronę i wróbla, i to w ogromnych masach, zwłaszcza po miastach. Witają one człowieka już przy lądowaniu w Colombo i psują pierwsze wrażenie równikowego raję. Wśród seitek obcych a pięknych egzotycznych drzew, ro-

ślin, kwiatów, ludzi i widoków, stanowią one z jednej strony niemiły kontrast, z drugiej jednak strony są czemś jedynie swojskiem w obcym otoczeniu. A jest ich tu, wron i wróbli, miliony: wrony obsiadają wszystkie drzewa, kołyszą się na liściach palm kokosowych, robią zwykłe niezgrabne skoki bokiem po wszystkich tarasach i balkonach, tłumią się po ulicach i drogach, czyniąc gorliwe poszukiwania wśród nieustannej wrzawy. W porcie Colombo czynią wrony i wróble tę samą służbę, co przed kilku jeszcze laty psy uliczne w Konstantynopolu, dopóki ich „wielcy reformatorowie“ Młodoturcy nie kazali wyłapać i sprzedać na futra greckim futernikom. Pamiętam sobie raz, jeszcze za dobrych psich czasów Konstantynopola, śmieszne widowisko, gdy przy lądowaniu w porcie pękł i wysypał się wór z mąką. W kilku minutach setki psów wylizały wszystkie ślady mąki na czysto. Zupełnie to samo także z mąką się powtórzyło w porcie Colombo. Na wysypaną mąkę zleciały się wrony i wróble, wrony w środku, gdzie mąki było grubiej, wróble po bokach. Kłębił się taki czarny w środku, a szary po bokach pierścień przez parę minut, a gdy ptactwo się rozpierchło, miejsce było wyczyszczone jakby tam nigdy nie było pyłku mąki.

Po wronach i wróblach najwięcej w Ceylonie, równie krzykliwych jak wrony, ale barwnych

bardzo papug wielkich i małych. Najwięcej małych zielonych lub błękitno-zielonych, obsiadających stadami drzewa przydrożne. W ogrodzie Peredenja obserwowałem liczne maleńkie ptaszyny, co jak motyle zatapiają długie dzióbki w kielichy kwiatów. W lasach widziałem kilkakrotnie rajskie ptaki z czubem na błękitnej głowie. Z wierzchu żółte, białe pod spodem, z wachlarzowatym ogonem. Nad wodami i potokami w dużych ilościach cudne zimorodki. Wierzch lśniący szafirowy, głowa jaskrawo czerwona i białe podbrzusze. W lesie przelatywały nam gęsto drogę jakieś kanarkowo żółte i zielono żółte ptaki, lotem podobne do gołębi.

Wreszcie najbarwniejszy ze wszystkich ptaszków Ceylonu, którego krajowcy nazywali mi Pitta. Na czarnych błyszczących skrzydłach, zielone, białe, błękitne szerokie obwódki, biała pierś, trawiasto zielony grzbiet, błyszcząco niebieski ogon i czerwony brzusek. Przelatując, robi ten ptak wrażenie czegoś bajecznie sroka tego. Dopiero w muzeum w Colombo przypatrzyłem się dokładnie wypchanemu.

Ptaszki śpiewające słyszy się ciągle, ale zobaczyć je trudno. W zaroślach nad wodami słyszy się wciąż słowicze pienia i kłaskania; są też jakieś ptaszki gwizdzące krótko i urywanie, inne znów śpiewają tak, jakby pastuszek nasz grał na fujarce.

Z owadów ciekawych wspomniałem już o t. zw. lief insekt, owadzie kształtu i barwy liścia drzew, na których żerują, z nóżkami jak młode wąskie listki. Są też długie bardzo owady, wyglądające do złudzenia jak suchy patyk, z nóżkami, jak cienkie suche patyki, po bokach. Motyle, świetnie ubarwione z wierzchu; gdy jednak taki motyl siądzie i złoży skrzydełka, ma kształt i barwę szaro-żółtego uschłego listka. W ten sposób broni natura te owady od bystrego wzroku ptaków owadożerczych. Wogóle widuje się motyle cudowne i w ogromnych ilościach. W ogrodzie Peredenja przeróżne gatunki odznaczają się świetnością, ale też i powagą barw. Koło skały Sigiri tysiące jednakowych, świetnie błękitnych motyli; aż gęsto było od nich w powietrzu. Niektóre z tych motyli mają dziwny, całkiem ptasi lot.

W ogrodzie Hakgala, w górach, braliśmy w rękę okazy tutejszych tysiąconogów. Ogromne, czarne, do małego grubego wężyka podobne robaczysko ze śmiesznie dużą ilością nóg. Z nieprzyjemnych stworzeń znalazła raz moja żona w pudle na kapelusze wielkiego skorpiona. Przywołany służący singalezki musiał całe pudło opróżnić, by jadowitego gada wyrzucić i zabić. W czasie naszej samochodowej wycieczki nasze kufry zostały w Kendi w hotelu na składzie. Musiano je trzymać w jakimś parterowym ma-

gazynie, bo gdy potem w Colombo zabraliśmy się do przepakowania, znaleźliśmy w kufrach tych miliardy maleńkich, mikroskopijnych niemal mrówek. Dobrały się do schowanej w kufrach czekolady oraz do zakupionych zbiorów motyli i liefinsektów. Niektórym motylom zdążyły już poobjadać łapki. Z trudem, zapomocą porozkładanych po pokoju kawałków cukru, zdołaliśmy je spowodować do wyprowadzenia się z kufrów i pudełek motyli i do zgromadzenia się przy cukrze. Te mrówki maleńkie są najnieprzyjemniejszymi stworzeniami na Ceylonie. Wprawdzie nie gryzą, ale ciągle po skórze spacerują i łaskoczą. Szkodniki z nich zacięte, a wszystko możliwe im smakuje i wszędzie też się dostaną. Dlatego też widzi się tu wszędzie szafy i komody stojące nie przy samej ścianie, z nogami w naczyniach z wodą.

* * *

Po tem zoologicznem zбочeniu wracam do naszej wycieczki samochodowej. Nie martwiliśmy się kilkakrotnem pękaniem pneumatyków, bo w czasie postojów można dokładniej przypatrzeć się lasom i zauważyć rozmaite ciekawe rośliny, z pomiędzy których zwłaszcza obrastająca bankiety drogi *Mimosa pudica* bardzo jest zabawna. Już za zbliżeniem się człowieka stulały się listki, kryły drobne kwiatuszki i z zielonej robiła się

całkiem szara powierzchnia. Gdy się przeszło przez taki łąn mimozy, zostawała na zielonym łąnie znaczna długa, brunatna, szeroka droga.

Po pęknięciu jeszcze jednego pneumatyku nasz szofer zaczął smutną robić minę. Pokazało się bowiem, że mu już tylko ostatni pozostał na zmianę; później też miały z tego wyniknąć nie miłe dla nas następstwa.

Po czterogodzinnej przeszło jeździe przez lasy, ujrzelśmy nareszcie ocean i o wpół do 3-ciej po południu stajemy na przeciwległym od Colombo brzegu wyspy, w portowym mieście Trin-komali, głodni i wypiezeni od słońca. W czasie postojów w drodze robił się szalony wprost upał, zwłaszcza, że o cieniu nie było mowy, bo gościnniec szeroki, a cień wobec prostopadłych promieni może być tylko bezpośrednio pod koroną drzewa. W dodatku mnie i naszego towarzysza p. P. zaczęła piec jak ogniem skóra na rękach. Nieprzezornie jechaliśmy bez rękawiczek, i mieliśmy ręce, jak oparzone w ukropie.

Zajechaliśmy do tutejszego resthauzu, gdzie poprzednio telegraficznie się zapowiedzieliśmy i zamówiliśmy lunch. Obiad, podany zaraz, był bardzo dziwny, złożony z samych morskich potraw. Twarde mięso z olbrzymiego morskiego żółwia, które włóknami tak się zaplątywało między zęby, że trudno sobie było poradzić; dalej raki i pająki morskie, ryby wcale dobre, jarzyny

z jakichś morskich porostów. Naprawdę smaczne były jedynie owoce. Pilnował obsługi i podawania potraw przedsiębiorca, stary i okrutnie komiczny Singalez. Figura tak przedziwna, taką wywołująca wesołość każdym pojawieniem się, ruchem i powiedzeniem, że z prawdziwą przyjemnością kupiłem sobie jego fotografię.

Po obiedzie, ponieważ było ciągle jeszcze gorąco i należało spocząć i upałał przeczekać, udajemy się nad ocean, gdzie na piasku nad samą falą poukładaliśmy się w cieniu palm na krótką drzemkę. Ale przebudzenie nasze było nieco mokre! Nie zastanowiliśmy się, że może być przypływ i spaliśmy spokojnie: naraz budzi mnie woda, która mi sięgła do pasa, a równocześnie widzę, jak naszego towarzysza w jednej chwili przykrywa całego fala, jak kołdrą. Był to tak komiczny widok, że nie mogliśmy długo pohamować śmiechu.

O wpół do piątej pojechaliśmy samochodem do starego fortu, wznoszącego się na wysokiej skale na szpicu przylądka, panującego nad portem i licznymi głęboko wrzynającymi się w ląd zatokami. Trzeba było znów piąć się na stromą skałę, pod czujną strażą oficera angielskiego, który nasze aparaty fotograficzne wziął w przechowanie i oka z nas nie spuszczał. Z góry, z wieży żelaznej, na którą nam wyjść pozwolono, widok wprost przepyszny na miasto wśród zie-

leni i na cały szereg dziwnej formy zatok. Ma się wrażenie, że to łańcuch wysp, na których wśród palm i roślinności pobudowano białe domy — a nie ład stały. Nie możemy się jednak długo cieszyć niezwykłym widokiem, bo nasz szofer napominał, by przed zamknięciem urzędu pocztowego telegrafować do Kendi, by nam na jutro przysłali samochodem kilka zapasowych gum, gdyż inaczej nie mógłby się puszczać w drogę.

Po nadaniu telegramu jedziemy na przeciwny koniec największego półwyspu, gdzie się wznosi na cyplu skalistym, w morze rzuconym, wśród pięknych ogrodów, dawny pałac admirałski, obecnie mieszkanie gubernatora wschodniej prowincji Ceylonu. Na samym cyplu nadmorskim zobaczyliśmy po raz pierwszy gromady dużych pajaków morskich, z oczami osadzonymi jakby na długich kijach, które skręcały w naszą stronę, a potem umykały na długich nogach, by ukryć się w fali. Cypel ten, to rafa koralowa; na dnie płytkiego w tym miejscu i cichego morza, widać jakby czarodziejskie podwodne ogrody o różnych kształtach i barwach.

Po zachodzie już słońca wracamy do resthauzu wysoką nadbrzeżną drogą, mając przed sobą niżej widok na cały główny półwysep, na którym wznosi się miasto. Morze, z jednej i drugiej strony półwyspu, krwawo czerwone a na tem tle przepyszenie odbija się zielony wąski półwysep,

bielejący licznymi domami. Morze stało się szybko ciemno miedziane, zgasła świetna zieloność; w nocy już stanęliśmy w resthauzie, gdzie czekał nas podobny do południowego, urozmaicony tylko twardą kurą, posiłek, a potem wypoczynek w przewiewnym pokoju, na dość miękkich łóżkach, z gromadą dorodnych jaszczurek na suficie.

Zbudzono nas rano niemiłą wieścią. Doręczono nam wraz z przyniesioną herbatą telegram od przedsiębiorcy samochodów z Kendi, że samochodu z pneumatykami przysłać nie może, bo wszystkie są już zajęte, posyła jednak żądane gumy kolejną do Anuradżapury, a stamtąd przyjdą zwykłą pocztą do Trinkomali. Co robić wobec tego? Odbywamy naradę z szoferem. Mieliśmy zamiar wracać z Trinkomali do Kendi nie tą samą znaną już drogą przez Anuradżapurę, lecz bliższą, wprost przez wschodnią część wyspy. Droga ta prowadzi przez najmniej zaludnione, najdziksze lesiste okolice. Po drodze mieliśmy zwiedzić ciekawsze podobno o wiele od Anuradżapury opuszczone, zarosłe dżanglą wielkie miasto Pollonarua z lepiej o wiele zachowanymi, bo o 1200 lat późniejszymi ruinami. Miasto to bowiem opuszczone zostało przez mieszkańców w 12-ym wieku naszej ery. Zwiedzane jest mniej, gdyż w całej tej części wyspy nie ma kolei, a resthauzy rzadkie i małe. Dalej mieliśmy

jechać nad największemi na wyspie leśnemi jeziorami Mineri i Giritella, koło źródeł gorących i przez tzw. rezerwaty myśliwskie t. j. części puszczy, zostawionej na swobodną, chronioną gorliwie rozmnożę zwierzyny, gdzie nikomu pod żadnym warunkiem nie wolno polować.

Szofer jednak nie chciał z jednym tylko zapasowym pneumatykiem jechać tą drogą, upatrując w tem zbyt wielkie ryzyko i strasząc nas, że w razie prawdopodobnego pęknięcia dwóch tylko pneumatyków, możemy zostać wśród puszczy i jezior, na mało uczęszczanej drodze, bez żadnej z nikąd pomocy, nie mając może gdzie nocować ani co jeść po za owocami. Czekać w Trinkomali na nadejście pocztą gum, znaczyło siedzieć tu co najmniej dwa dni. Ostatecznie więc z żalem urządziliśmy wracać tą samą drogą do Anuradżapury, gdyż na niej kursuje codzień pocztowy samochód, który w razie przypadku mógłby nas zabrać.

Wyruszyliśmy o 9 rano. Po drodze mijamy istotnie wolno idący wielki motorowy omnibus. Przed samą Anuradżapurą pęka nam na świeżo rozsypanym zwirze pneumatyk. Szofer musi założyć ostatni, jaki nam pozostał w zapasie. W Anuradżapurze jedziemy odrazu z otrzymanym w Trinkomali telegramem na dworzec kolejowy, by się dopytać o wysłane z Kendi pod naszym adresem pneumatyki. Pociąg z Colombo przyszedł, ale, niestety, gumy nim nie nadeszły.

Upadła więc nadzieja powrotu samochodem do Kendi, bo nie mając już gum w zapasie, nie możemy się puszczać w drogę, zdala od kolei. Po-
stanawiamy zostawić szofera z samochodem, by
sobie czekał na gumy, pieniądze za wynajem sa-
mochodu na trzy dni odsyłamy na ręce menedże-
ra hotelu Kendi; polecamy też, by nam wypra-
wił koleją do Colombo pozostawione w Kendi
kufry. Sami popołudniowym pociągiem jedziemy
do Colombo, by tam przepędzić cztery jeszcze
dni, w tem święta wielkanocne, a potem odcho-
dzącym 25 marca statkiem „Africa“ wracać do
Europy.

Tak niefortunnie skończyła się, urwana nieste-
ty w połowie nasza samochodowa wycieczka po
wyspie.

W DRODZE POWROTNEJ.

W sklepach Colombo. — Drogie kamienie. — Ich autentyczność i ceny. — Indye a Ceylon. — Zalety Ceylonu. — Na statku. — Ranne przechadzki na pokładzie. — Piękna Hiszpanka z Manilli. — Przygoda z rybą latającą. — Cmentarze adeńskie. — W białem mieście. — Cysterny skalne. — Romantyczne widoki. — Półwysep Adenu. — Słówko o fotografii. — Zakończenie.

Ostatnie półtora dnia w Colombo poświęciliśmy głównie na zwiedzanie sklepów i drobne zakupy pamiątek. W sklepach Colombo można znaleźć wszystko, co widzi się w Dżajpur, Agra, Benares, Dardżilingu i w Madżurze, tylko że po znacznie wyższych, niż na miejscu, cenach. Są też prześliczne japońskie i chińskie wyroby, zwłaszcza tanie jedwabne kimoua i wogóle jedwabie. Specjalnością jednak miejscową są szkatułki i rozmaite wyroby z kołców jeżozwierz, oryginalne, ale nie ładne; dalej słonie hebano-

we z kłami z kości słoniowej. Kupuje się je, zależnie od wielkości, po 3 do 10 rupij sztuka. Wreszcie wyroby szyldkretowe, przedewszystkiem małe modele rikszy i łodzi singalezkich. Przy zakupnie tych wyrobów trzeba być ostrożnym, bo dużo jest z imitującego szyldkret celuloиду. Ale na to łatwa rada: wystarczy tylko wspomnieć o t. zw. próbie ogniowej i wyjąć z kieszeni zapalki, aby kupiec z przerażeniem w oczach przyznał się odrazu, co szyldkret, a co imitacja. Na próbę podświecenia zapalką godzi się tylko przy prawdziwym szyldkrecie, bo wyroby celuloidowe spłonęłyby naturalnie w momencie.

Osobliwością Ceylonu są drogie kamienie, przedewszystkiem szafiry różnych rodzajów i barw, aleksandryty, turmaliny, chryzolity, crysoprasy, opale, beryle i wreszcie kamienie księżycowe oraz kocie oczka. Ceylon jest bowiem krajem drogich kamieni. Tutejsze szafiry zwłaszcza są śliczne: nie tylko szafirowe i niebieskie w rozmaitych odcieniach, ale także białe jak dyamenty, żółte i nawet różowe. Są to jednak, według krystalizacyi i składu cząstek, nie co innego, tylko szafiry. Najpiękniejsze są t. zw. szafiry gwiazdziste, szlifowane na okrągło, załamujące światło w ten sposób, że poruszając kamieniem, widać się wyraźnie latającą gwiazdę. Są one przeważnie niebieskie, trafiają się jednak także różowe i te są droższe.

Ostrzegano nas nieraz, że w Colombo niebezpiecznie kupować drogie kamienie, że łatwo być oszukanym, że jeżeli się ma szczęście, to można kupić istotnie ładne kamienie nie drożej, niż u pierwszorzędnego złotnika w Wiedniu lub Karlsbadzie. Tymczasem tak nie jest. Są tu firmy angielskie, pewne i solidne, gdzie kupować można bezpiecznie; zdarza się jednak dostać tanio ładne kamienie także u Singalezów i Arabów, próbując oczywiście, czy rysują szkło i badając je przez lupę. Niebezpiecznie jest tylko kupować rubiny, bo rubinów na Ceylonie nie ma, a te, co są w handlach, to przeważnie sztucznie składowane z cząstek. Natomiast znajdujących tylko na Ceylonie szafirów gwiaździstych imitować się nie da. Szafiry gwiaździste wielkości grochu można tu kupić po 15 do 20 rupij za sztukę.

Śmiesznie tanie kupno kilku szafirów udało się w moich oczach młodemu Niemcowi ze Szwajcaryi, którego poznaliśmy w Colombo. Oglądał wraz z nami w hotelu przy obiedzie przyniesione przez ulicznego handlarza kamienie; wreszcie wybrał kilka różnokolorowych szafirów, które badał pod światło przez małą lupę. Singalez zażądał wysokiej ceny. Szwajcar ofiarował dwudziestą część żądanej ceny, twierdząc, że kamienie mają drobne skazy. Kupiec zaczął się zaklinać, że skazy najmniejszej nie ma. Na to wyjął Szwajcar lupkę, taką, jaką się u nas za 10 ko-

ron kupuje, i wykazał, że skaży są istotnie. Zdziwiony Singalez tak się zapalił do małej lupy, że ofiarował za nią dwa z wybranych szafirów. Targi skończyły się w ten sposób, że w zamian za szkielecko, kupione w Genewie za 12 fr., otrzymał Szwajcar trzy szafiry, wartające mimo skaz z pewnością 4 funty angielskie.

Wśród oglądania wielu ciekawych rzeczy po sklepach i małych wycieczek, mijał szybko czas: wreszcie 25 marca popołudniu uwiadomiono nas, że wracający z Szangaju statek „Africa“ nadszedł i zarzucił kotwicę. Okręt miał stać wprawdzie i ładować węgiel do 8 wieczór, woleliśmy jednak zaraz po obiedzie załatwić hotelowe rachunki i pojechać na statek z kuframi, by po zakwaterowaniu się w kabinach wrócić jeszcze do Colombo i do hotelu Galle Face na szklanek wody sodowej z cytryną. Nasi singalezcy kelnerzy w momencie nazbierali dla mej żony ogromny pęk kwiatów żółtych, czerwonych i białych hibiscusów, co tem więcej było nam miłym, że napiwki już poprzednio dostali i wiedzieli, że więcej już nie mogą się spodziewać. Potem jeszcze jedna pożegnalna przejażdżka rikszami nad słodkie jeziora — i na statek, by się nie spóźnić na obiad wieczorny.

Skończyły się więc nasze wędrówki po Ceylonie. Jakie z nich wynosimy wrażenia? Indyje z pewnością stokroć więcej pod każdym wzglę-

dem zajmujące, ale Ceylon tak uroczy, jak żaden inny obcy kraj na świecie. Lepsze pod każdym względem urządzenia hotelowe, większa niż w Indyach cywilizacja i większe bezpieczeństwo zdrowia, bo zaraźliwych chorób, dżumy i cholery, nie ma tu zupełnie, nie ma więc też tego bądź co bądź nie milego w Indyach niepokoju o własne i towarzyszy zdrowie. Przy tem ludność przemiła i przyjaźnie dla Europejczyków usposobiona, co jest zapewne w znacznej części zasługą Anglików. Mieli tu jednak mniej trudne zadanie. Buddyzm bowiem, przez znaczną większość mieszkańców wyspy wyznawany, zubożętnia politycznie ludy i czyni je łatwą do opanowania i utrzymania zdobyczą. Patryotyzm, dążenie do samodzielności politycznej, są to rzeczy ludom buddyjskim mało znane. Dla tego może Singalezi tak łatwymi są do rządzenia.

Ceylon jest bezsprzecznie najbliższym Europie i najdostępniejszym z krajów o równikowej już przyrodzie. Kto więc chce z najmniejszym nakładem czasu i pieniędzy zobaczyć równikową wegetację, lub komu dla wypoczynku i ukojenia nerwów wskazaną jest dłuższa morska podróż w ciepłe kraje, niech się wybierze do Ceylonu. W przeciągu 45-iu dni można całą podróż odbyć, z czego 34 dni odpadnie na jazdę po spokojnych ciepłych morzach, a 11 dni zostanie na zwiedzenie wyspy. A jest ta wyspa nie tylko

atrakcją dla przyrodnika, ale też rajem prawdziwym dla turysty, a także i dla myśliwego. Na Ceylonie nie ma tygrysów, nie ma też odpowiednich terenów dla tzw. pig sticker's, o inną zaś zwierzynę i inne rodzaje polowań nie są Anglicy zazdrośni.

Na Ceylonie też każdy Europejczyk na wszystko może polować. Tylko za strzałowe do słonia płaci się 100 rupii, bawołu 25, a jelenia Sambar 10 rupii. Inna zwierzyna może być strzelaną bez opłaty jakiegokolwiek strzałowego.

* * *

Nasz statek „Africa“ pełen pasażerów rozmaitych narodowości. Najwięcej naturalnie Anglików, jadących na dłuższe urlopy z Chin, z Singapur i Ceylonu; potem Niemców z cesarstwa, Niemców austriackich i ze Szwajcaryi, Włochów, Amerykanów angielskich i romańskich z południowej Ameryki, Hiszpanów, wreszcie Portugalczyków — z każdego z tych narodów po kika ciekawych okazów. Siedem cichych, pogodnych dni podróży przez Ocean indyjski zbliżyło ze sobą towarzystwo. Kwitną gry ruchowe na pokładzie, spaceru, gra w karty i długie wieczorne pogawędki.

Mężczyźni na statku wstają bardzo rano. Między 6 a 8 rano pokłady spacerowe cie-

kawy przedstawiają obraz. Kobiety ani jednej, bo etykieta okrętowa nie pozwala im pokazywać się na pokładzie przed 8 rano; to też mężczyźni wychodzą i przechadzają się w strojach prosto z łóżka lub z kąpiali, najczęściej w pajdżamach i boso lub też w zarzuconych na gołe ciało przescieradłach. Jest to bowiem jedyna pora, kiedy można użyć rozkosznego chłodu w zupełnym negliżu. W tych samych nocnych strojach schodzi się o wpół do 8-mej do sali jadalnej na pierwsze śniadanie. Wygląda to komicznie, zwłaszcza że pajdżamy są przeważnie w jasnych barwach lub drukowane w smoki, słonie albo też w stojące na zadnich łapach tygrysy. Jakby uciekło całe towarzystwo klaunów z cyrku.

O 8 panowie znikają, by się ubrać równie lekko, najczęściej w białe ubrania bez bielizny pod spodem, z zapinaną wysoko pod brodą marynarką. Pokłady i jadalnię zajmują teraz panie w lekkich jedwabnych kimonach. Na statku kilka pięknych kobiet. Urodą gasi wszystkie młodzieńca Hiszpanka z Manilli, która świeżo wyszła za mąż za szwajcarskiego Niemca i jedzie z mężem po raz pierwszy do jego ojczyzny. Fotografują ją wszyscy; flirt kwitnie. Manillanka ma tylko tę wadę, że najzupełniej niepotrzebnie maluje się i szpeci szminką. W dziewiętnastej wiośnie życia jest to już poprostu nie do darowa-

nia nonsensem. Ale to już podobno taki zwyczaj na całych Filipinach i w wielkim świecie Manilli.

Trzeciego ranka podróży spotkała tę damę niemiła przygoda i kompromitacja. Ryba latająca wpadła jej przez okno do kabiny, gdy jeszcze spała, i tłukąc się po łóżku, dostała się pod kołdrę. Zbudzona nagle i przerażona, wypadła z piskiem z kabiny na korytarz, pełny o tej porze wracających z kąpeli mężczyzn, a za nią wypadła chmura białego i różowego pyłu, gdyż w prędkości wysypała swoje środki upiększające. Ostatecznie mąż rybę złapał, żonę z powrotem przywołał, ale służba nie mogła się kabiny doczyścić, a młoda Manillanka chodziła przez parę godzin mocno zażenowana. Można sobie wyobrazić jakie na temat tej przygody sypały się dowcipy w gronie młodych a nie mających nic do roboty mężczyzn.

Wieczorem w salonie do palenia zbiera się całe towarzystwo. Osobno Anglicy przy „soda and whisky“, osobno zaś Niemcy przy piwie. Inne narody, a i my także, przyłączamy się raz do angielskiej, to znów do niemieckiej grupy. Między Anglikami a Niemcami, choć uprzejmie ze sobą rozmawiają, nie ma wiele wspólnego. Ciągłe nawzajem ze siebie przedrwiwają. Zwłaszcza w grupie angielskiej opowiadają liczne anegdotki o niemieckich turystach w Ceylonie.

Po siedmiu dniach rozkosznej, spokojnej podróży stajemy w porcie Adenu. Tym razem mamy więcej szczęścia niż w drodze do Bombeju, bo przyjechaliśmy w południe i po spożyciu obiadu mamy sześć godzin czasu do chwili odjazdu, możemy więc popłynąć na ląd i zwiedzić dziki południowy przylądek Arabii. Wylądowawszy, nie zatrzymujemy się na razie w Steamer Point, tj. europejskiem mieście portowem, lecz bierzemy kryty płóciennym dachem tarantas i jedziemy w głąb półwyspu do arabskiego miasta Adenu. Po 10 minutach jazdy w górę zastępują nam drogę prostopadłe, wysoko sterzące, czerwonej barwy skały. Przejeżdżamy wykuty w skale tunel. Za tunelem zamknięta ze wszech stron urwiskami dolina — dolina cmentarna.

Szeregiem ciągną się: cmentarz arabski, żydowski i angielski, a na górze, na skale wyniosłej, wieża milczenia Parsów, z krążącemi nad nią stadami sępów. Cmentarze te rozpaczliwie smutny przedstawiają widok. Na spalonej słońcem, zasianej głazami równinie cmentarnej, niema nie tylko drzewka żadnego ani krzaka, ale nawet nędznej trawki. Ani śladu zieleni; żadnej zgoła vegetacyi. Tylko żelazne ogrodzenie angielskiego cmentarza pomalowano na zielono, by choć złudzenie vegetacyi mieli ci, co tu zmarłych grzebią lub odwiedzają ich groby.

Za polem cmentarnem małe białe miasteczko. Parterowe domki kamienne, zamieszkałe przeważnie przez murzynów Somali. Stamtąd już górską, wijącą się między głazy droga do Adenu. Na drodze ruch znaczny. Idą szeregi wychudzonych jak szkielety wielbłądów, niemniej chude muły i osły, obładowane towarem, prowadzone przez suchych Arabów w białych szatach, lub nagich, czarnych jak heban, pięknie zbudowanych Somalisów. Wreszcie otwiera się pod nami dolina, okolona urwistemi górami. Zjeżdżamy do niej przez wąwóz. Otoczenie przypomina turnie Czarnego stawu nad Morskiem Okiem, tylko że dolina między turniami rozleglejsza, a na jej dnie nie ciemne jezioro lecz olśniewająco białe miasto — Aden. Urwiska przed nami, dziksze o wiele, niż stoki Rysów, które mają przecie ozdobę w płatach śniegu i odrobinie zieloności. Tu tylko nagie całkiem, czerwone skały.

W białem mieście, położonem na dnie wygasłego krateru, ludno i gwarno. Zwłaszcza na placu targowym i w bazarach. Najwspanialsze sklepy są własnością Parsów, którzy nawet w tej nagiej, bezpłodnej osadzie umieją dorabiać się milionów. W ich rękach jest cały wielki handel, cały import, a na jałową skałę Adenu wszystko przywozić trzeba, począwszy od paszy dla wielbłądów i koni, a skończywszy na europejskich artykułach, koniecznych dla tych nieszczęśliwych

Europejczyków, którzy mieszkać tu muszą jako angielscy żołnierze lub funkcjonariusze.

Specjalnościami Adenu są przedewszystkiem strusie pióra. Doskonałe i niezwykle tanie są też wyrabiane tu papierosy. Dalej liczne sklepy ze skórami dzikich zwierząt, tygrysów, lwów, panter, z kłami i pazurami drapieżców. Do wyboru też kły słoniowe, rogi nosorożców i rożki najprzeróżniejszych gatunków antylop. Handel tymi artykułami kwitnie bardzo; widocznie nie wszyscy wracający przez Aden europejscy myśliwi zdobywają trofea myśliwskie z bronią w rękę. Zwłaszcza wracający z Indyj lub wschodniej Afryki Niemcy wolą sobie zapolować na ptaszki lub antylopy, a potem w Adenie kupić kilka lwich skór, by się mieć czem przed znajomymi pochwalić.

Przypatrzwszy się życiu arabskiemu w białem mieście, jedziemy dalej ku rozpadlinie, skąd piechotą wdzieramy się powoli pod górę dla zobaczenia sławnych tutejszych cystern skalnych. Jest tych olbrzymich, kutych w kamieniu, terasowato jedno nad drugimi się wznoszących rezerwoarów aż 50 podobno. Nie widzieliśmy oczywiście wszystkich. Niektóre z nich przypominają żywo salomonowe cysterny w Palestynie koło Hebronu. Najstarsze z cystern sięgają, według twierdzenia archeologów, wieku 1700 lat przed Chrystusem. Stwierdzonem jest jednak,

że największa ich część założoną została w VI wieku naszej ery przez Persów. Trzyście najniżej położonych zbudowali a właściwie odbudowali Anglicy po r. 1860. Wszystkie razem mogą pomieścić 30 milionów hektolitrow wody.

Gdy raz w rok a czasem i rzadziej przeciągnie nad Adenem tropikalna burza z ulewą, napełniają się odrazu wszystkie cysterny z góry spadającą i spływającą ze stoków wodą. Musi to na rok, a i na dwa całe lata wystarczyć. W chwili gdy tu jesteśmy, wody już mało i niedługo mają zacząć przekraplać wodę morską, do czego istnieją osobne urządzenia. Do najwyższych cystern nie drapaliśmy się, ale już z połowy drogi mieliśmy romantyczny widok na wyglądający z gardzieli skalnej nisko pod nami biały Aden, na poszarpane szczyty gór i jak przez okno, przez przełęcz na kawałek morza.

Tą samą drogą, otwierającą coraz to nowe widoki na szafirowe morze w ramach czerwonych poszarpanych skał. Zboczywszy nieco, widzimy tutejszą produkcję soli, morskie saliny, należące do włoskiej spółki. Podobnie jak w Grecji lub Sycylii, pompuje się wodę morską w płytkie nadbrzeżne baseny, gdzie w momencie wyparuje, osadzając masę soli.

Wracamy do Steamer Point a mając jeszcze przeszło godzinę czasu, chodzimy trochę po przeźważnie europejskiem mieście portowem. Jest kil-

ka porządnych hoteli, z których najokazalej przedstawia się nadbrzeżny piętrowy hotel l'Univers; dużo sklepów Parsów, pałac wicegubernatora, a w pobliżu naturalnie place sportowe. Nie zielone wprawdzie, bo o zieloność trudno; jedynie kilka nędznych palm utrzymuje się przy życiu kosztownem, ciągłym podlewaniem.

Słońce zniża się właśnie ku zachodowi i na placach sportowych zaroilo się od biało ubranych Anglików. Jest ich tu sporo, zwłaszcza wojskowych, na tej bowiem skale, będącej silną twierdzą morską, trzyma Anglia dużo stosunkowo wojska, zwłaszcza artylerji, do obsługi olbrzymich armat, wycierających z poza nadbrzeżnych zrębów. Aden jest bowiem drugim Gibraltarem, broniącym wraz z przeciwległą ufortyfikowaną wyspą Perim nie tyle wyjścia z morza Czerwonego co głównie — drogi do Indyj. Jest też Aden politycznie częścią Indyj. Tutejszy wicegubernator słucha rozkazów gubernatora z Bombaju, od którego jest o 1700 mil morskich odległy.

Prażony słońcem półwysep Adenu uchodzi za jeden z najgorętszych punktów na kuli ziemskiej. Gorący jest istotnie bardzo. Doświadczaliśmy tego w ciągu kilku godzin zwiedzania; gorąco to jednak jest suche, więc nie tak męczące, jak w innych, mniej może gorących, ale wilgotnych krajach tropikalnych. Za to światło

słoneczne o wiele więcej rażące niż w Ceylonie; bez ciemnych szkieł pokazywać się w słońcu nie sposób. Nawet na miejscu urodzeni Parsowie, choć do klimatu i słońca przyzwyczajeni, nie ruszają się bez ochraniaczy oczu. Przy fotografowaniu musi się też w Adenie silnie blendować i brać jaknajkrótszy moment, podczas gdy w bliższym równiku Ceylonie, z powodu oparów i przewagi zielonych światła, trzeba przy fotografowaniu eksponować tak, jak w środkowej Europie, jak u nas niemal.

* * *

Na tej fotograficznej uwadze kończę moje szkice z indyjskich wędrówek. Jako owoc pobieżnych studyów, przelotnych spostrzeżeń i wrażeń z krótkiej stosunkowo podróży, nie mają te szkice pretensyi do dokładności. Błędów, zbyt może ogólnikowych i pośpiesznych sądów, nie zdołałem zapewne uniknąć. Jeżeli Bóg pozwoli mi jeszcze raz kiedy pojechać do Indyj, do czego nie brak mi ochoty, będę mógł głębiej ujętymi spostrzeżeniami podzielić się znów z czytelnikami.

W Marienbadzie d. 28 lipca 1913 r.

155
8.5B 89, 100, 102, 112, 150, 157, 168, 170

SPIS ROZDZIAŁÓW.

BOMBEJ	Str. 9
Wylądowanie. Hotel Tadż Mahal. Bombej od morza. Europejskie gmachy. Black Town. Miasto krajowców. Czterdzieści języków. Dżuma i cholera. Tiffin. Malabar Hill. Wieże milczenia Parsów. Latające trumny. Parsowie. Ich pochodzenie. religia i obecne stanowisko w Bombeju. Świątynia Welkeszwar. Wieczorne corso. Indyjskie wrony. Pinjrapol. Przytułek dla zwierząt. Sekta Dżajnów. Park Wiktoryi. Latające lisy. Wycieczka na wyspę Elephanta. Skalne świątynie Hindusów. Ogólne wrażenie z Bombeju.	
RADŻPUTANA	37
Jak się podróżuje kolejami indyjskimi? Urządzenia przedziałów. Prowincya Gutszerad. Radżputana. Kraj synów królewskich. Słoneczne. księżycowe i ogniowe rody. Katedra heraldyki. 470 przodków. Na własnym okręcie podczas potopu. Przez Radżputanę. Aczmir. Dżajpur. Hinduski hotel. Fantastyczne miasto. Orientalne pochody. Kolorowane słonie i oswojone pantery. Różowe pałace. Dżaj Sing. Amerykański prototyp. Kontrasty. Pałac maharadży. Ogrody. Krokodyle jezioro. Tygrysy. Stajnia. Hinduskie muzeum. Amber. Jazda na słoniu. Umarłe miasto.	

AGRA 59

Wjazd do Agry. Pierwsze wrażenia. Wielcy Mogołowie. Ich historia, państwo i pomniki. Dżingis i Timur. „Kulawy podpalacz i rzeźnik świata“. Wielki Akbar. Jego następcy. Angielscy spadkobiercy Mogołów. Fort Agry. Najpiękniejszy na świecie grobowiec. Tadż Mahal. Pomnik miłości małżeńskiej. Wielki marnotrawca. Tadż przy księżycu. Białe zjawisko. Śpiew ulemów. Grobowiec Akbara w Sikandra. Sarkofag na słonecznej terasie. Itimad-ud-daulah. Meczety Agry. Pałace. Turyści amerykańscy. Bazary. Zakład więzienny.

DELHI I GWOLIOR 85

Dełhi. Miasto namiotów. Zakładanie nowej stolicy. Groźby Bengalczyków. Powody przeniesienia stolicy. Rozmowa z Prusakiem. Największy w Indyach meczet. Dżama Maszid. Zamek Wielkich Mogołów. Po zamachu na wicekróla. Tszandni Czauk. Bazary indyjskie. Ich charakter. Apteki hinduskie. Tandeciarze i ich skarby. Kampania delhicka. Jej zabytki. Obiad hinduski. Gwoliór. Stare pałace i świątynie. Nowe miasto Laszkar. Pałace maharadży. Wasale Anglii. Ich bogactwa. Ambicje i próżności. Szkoła książąt. Rezydenci angielscy.

BENARES 113

Międzyrzeczne równiny. Benares i jego znaczenie. Łodzią po Gangesie. Rytualne kąpiele. Święte schody. Obrzędy palenia zwłok. Przekłety brzeg. Świątynie Benaresu. Święte małpy i krowy. Świątynia Nepalu. Zewnętrzne objawy kultu

hinduskiego. Ascetyzm i zmysłowość. Kult zwierząt i kult zwierzęcy. Podstawy kształcenia dusz. Panteistyczne odruchy. Hinduizm a umysły europejskie. Annie Besant. Jej historia i działalność. Związki teozoficzne. Co to jest teozofia? Tajemna wiedza Indyj. Kuglarstwa fakirów. Bazy w Benares.

KALKATTA I DARDŻILING 143

Pejzaż delty rzecznej. Białe miasto europejskie. Zielony plac Mejdenu. Miasto Azyatów. Początek Kalkatty. Ogród botaniczny. Napad wron. Kościoły katolickie. Muzeum. Zuchwali Bengalczycy. Fantastyczna świątynia Dżajnów. Wycieczka w Himalaje. Śliczna górská kolejka. Podróż w chmurach. Dardżiling. Zamiast gór chmury. Zawiedzione nadzieje. Tybetańskie wyroby. Wśród morza mgieł. Chwilowe widoki. Zawierucha śnieżna. Odcięci od świata. Powrót z nieudanej wyprawy.

POŁUDNIOWE INDYE 162

Podróż na południe półwyspu. Madras. Miasto ogrodowe. Nieznośne gorąco. Akwaryum. Ogrody gubernatora. Marina. Bazy. Natręctwo ludności. Hotel w wagonie. Rasa drawidyjska. Madżura. Drawidyjskie świątynie. Stary pałac maharadzów. Angielskie rozprawy sądowe. Tuti-korin. Pożegnanie Indyj. W drodze na Ceylon.

COLOMBO 182

Ceylon a Indye. Wjazd do portu Colombo. Wyładowanie. Pierwsze wrażenia. Hotel Galle Face.

Egzotyczni goście. Singalezka służba. Place i gry sportowe. Ich znaczenie pedagogiczne. Słodkie jeziora. Park Wiktoryi. Muzeum. Parne noce, Owoce Ceylonu. Za cenę aresztu. Znaczenie portu Colombo. Miasto krajowców. Singalez czy Singalezka? Rezerwoary wodne. Colombo pod względem religijnym. Wzrost katolicyzmu. Katolickie kościoły. Okolice miasta. Do świątyń buddyjskich w Kelanyi. Mount Lavinia.

W GÓRACH CEYLONU 215

Koleje i drogi na Ceylonie. Wagony. Anglicy i Singalezi. W drodze do Nurelii. Plantacye herbaty i kauczuku. Nuwara Eliya. Wystawa kwieciarska. Górski ogród botaniczny. Nieudana wycieczka. Z Nurelii do Kendi. Stara stolica singalezka. Równikowy ogród botaniczny. Dla przyrodników. Wycieczka do seminaryum katolickiego. Dziewiczy las. Dzieci buddyjskie a katolickie. Kąpiel słoń. Ząb Buddy. Trybunał singalezki. Raj roślinności.

PRZEZ UMARŁE MIASTA I PRZEZ PUSZCZE . . 237

Matale. W Dambulla. Mozolna wycieczka. Cave Temple. Wodne bawoły. Sigiri. Umarłe miasto. Samotny posąg Buddy. Dagoby. Klasztory buddyjskie. Drzewo Bo. Resthauzy rządowe na Ceylonie. Do Trinkomali. Grób Mahindy. W dziewiczym lesie. Flora i Fauna. Latające lisy i wiewiórki. Spotkanie z okularnikiem. Kameleony. Wrony i wróble na Ceylonie. Ptaki i motyle. Tyśiąconogi. Mrówki cejlońskie. Mimosa pudica. W Trinkomali. Siesta nad morzem. Na przyładku. Pająki morskie. Przygody samochodowe.

W DRODZE POWROTNEJ	268
------------------------------	-----

W sklepach Colombo. Drogie kamienie. Ich autentyczność i ceny. Indye a Ceylon. Zalety Ceylonu. Na statku. Ranne przechadzki na pokładzie. Piękna Hiszpanka z Manilli. Przygoda z rybą latającą. Cmentarze adeńskie. W białym mieście. Cysterny skalne. Romantyczne widoki. Półwysep Adenu. Słówko o fotografii. Zakończenie.

SPIS RYCIN.

	Str.
AMBER. — Stary zamek Maharadzy	16
AGRA. — Tadź Mahal	32
SIKANDRA. — Brama Grobu Akbara	48
DELHI. — Wielki Meczet	64
„ — Kutab minar.	80
GWOLIOR. — Ruiny Świątyni Dżajnow	96
BENARES. — Kąpiele rytualne	112
„ — Palenie zwłok	128
KALKATTA. — Świątynia Dżajnow	144
„ — Wnętrze Świątyni Dżajnow	160
MADURA. — Święty Basen	176
„ — Mała Świątynia	129
CEYLON. — Łodzie rybackie	208
„ — Jezioro w Kendi	224
„ — Kąpiel słoni	240
ANURADŻAPURA. — Stary posąg Buddy	256

